

William Golding

CHYTRUS

Przełożył i przypisami opatrzył Krzysztof Filip Rudolf

1.

Walczył na wszystkie sposoby, był samym jądrem wijącego się i wierzgającego węża swego ciała. Nie było góry ani dołu, światła ani powietrza. Poczuł, jak jego usta rozwierają się i wystrzela z nich przeraźliwy wrzask:

- Pomocy!

Razem z wrzaskiem uciekło powietrze, a jego miejsce wypełniła woda - paląca woda, jak kamienie raniąca gardło i usta. Wygiął ciało w kierunku miejsca, gdzie wcześniej było powietrze, lecz natrafił tylko na czarną, dławiącą kipiela. Ciało opanowała panika, a usta otworzyły się z wysiłkiem, aż do bólu szeroko rozwartych szczęk. Do środka wdarła się woda, prac w dół, bez litości. Wraz z nią wpadło na chwilę powietrze, więc chyba kierował się w odpowiednią stronę. Woda jednak pochwyciła go znowu i zakreśliła nim tak, że zapomniał, gdzie znajdowało się powietrze. Uszy rozdzierał ryk turbin, a ze środka, jak z pocisku smugowego, strzelały zielone iskry. Był tam też silnik tłokowy, który pędził w zawrotnym tempie, wprawiając w drżenie cały wszechświat. Potem na chwilę zjawiono się powietrze - chłodna maska na twarzy, w którą wbił zęby. Zmieszana z powietrzem woda wtoczyła się do jego ciała jak żwir. Mięśnie, nerwy i krew, walczące z wysiłkiem płuca, maszyna wewnątrz głowy - wszystko to pracowało przez chwilę w odwiecznym rytmie. Bryłki twardej wody przedarły się przez gardło, wargi zwały się i rozstały, język wygiął się w łuk, w mózgu rozpałił się neonowy szlak.

- Mam...

Lecz mężczyzna spoczywał zawieszony poza tym całym zamieszaniem, oddzielony od swego szarpiącego się ciała. Świetliste obrazy, które przed nim rozrzucano, były skąpane w świetle, nie zwracał jednak na nie uwagi. Gdyby mógł kontrolować nerwy swej twarzy lub gdyby twarz była tak ukształtowana, by wyrazić stan jego świadomości, kiedy spoczywał tak zawieszony między życiem a śmiercią, tę twarz zniekształcałyby wściekły grymas. Lecz jego prawdziwa szczęka była wykrzywiona i odległa, a z ust wylewała się woda. Zielony pocisk wylatujący ze środka zaczął się skręcać, tworząc tarczę. To gardło, tak oddalone od charczącego mężczyzny, wymiotowało wodą i wciągało ją z powrotem. Twarde bryłki wody już nie sprawiały bólu. Zapanowało coś na kształt rozejmu, obserwacja ciała. Nie było twarzy - był tylko grymas.

Obraz się uspokoił i mężczyzna skupił na nim wzrok. Nie widział podobnej rzeczy od tak wielu lat, że jego grymas, zabarwiony zainteresowaniem, stracił nieco na intensywności. Dokładnie przyjrzał się całemu obrazkowi.

Na stole stał słoik, jaśniejac w silnym świetle. Mógł to być ogromny słoik na środku sceny lub mały słoiczek niemal dotykający twarzy, lecz interesujące w nim było to, że można było wejrzeć w inny świat, odrębny, a zarazem łatwy do opanowania. Był niemal całkowicie wypełniony czystą wodą, w której unosiła się maleńka, szklana figurynka. Słoik zamykała cienka membrana z białej gumy. Przyglądał się temu słoikowi, nie poruszając się ani nie myśląc o niczym, podczas gdy jego odległe ciało uspokoiło się i rozluźniło. Najbardziej frapująca w tym słoiku była owa figurynka, utrzymywana przez przeciwstawne siły w stanie chwiejnej równowagi. Wystarczy położyć palec na membranie, by ścisnąć zamknięte tam powietrze, a ono z kolei jeszcze mocniej naprze na wodę. Wtedy podniesie się poziom wody w małej rurce umieszczonej wewnątrz figurynki, która zacznie tonąć. Zmieniając nacisk na membranę, można robić z tą małą figurynką, co się chce; ma się ją wówczas całkowicie w swojej mocy. Można mruknąć: "A teraz toń!" I pójdzie na dno, coraz niżej i niżej. Można ją zatrzymać, dać chwilę wytchnienia. Potem niech się przedziera chwilę ku powierzchni, zanim pośle się ją, rozważnie, powoli, bezlitośnie, niżej i niżej.

Chwiejna równowaga szklanej figurynki odnosiła się do jego ciała. W nagłym, bezsłownym olśnieniu pojął, że to on sam dotyka powierzchni morza, zawieszony w takiej właśnie niebezpiecznej równowadze, pomiędzy unoszeniem się na powierzchni i tonięciem. Grymas pomyślał jakieś słowa. Nie wyartykułował ich, lecz zdał sobie z nich sprawę, jak w blasku światła.

Oczywiście. Mój pas ratunkowy.

Umocowany taśmami pod jedną i drugą pachą. Taśmy opinały ramiona - teraz nawet je czuł - biegły wokół klatki piersiowej, zapięte z przodu pod nieprzemakalnym sztormiakiem i bajową bluzą. Był ledwie nadmuchany, zgodnie z zaleceniami władz, gdyż mocno wypełniony powietrzem mógł pęknąć przy uderzeniu o powierzchnię wody. Najpierw odpłynąć od okrętu, a dopiero potem nadmuchać pas.

Gdy sobie uświadomił, że ma pas, napłynęły falą obrazy - polakierowana tablica, na której zapisano polecenia, ilustracje przedstawiające pas ratunkowy z wężykiem i metalową rurką przewleczoną przez taśmy. Nagle pojął, kim jest i gdzie się znajduje. Był zawieszony w wodzie jak owa szklana figurynka; nie walczył, lecz zwisał bezwładnie. Fale regularnie obmywały jego głowę.

Usta wypełniła woda i zakrztusił się. Błyski pocisku smugowego przebiły mrok. Poczuł, że coś ciągnie go w dół. Grymas wrócił z obrazem ciężkich gumiaków i zaczął poruszać nogami. Zahaczył jednym palcem o brzeg buta i popchnął, lecz na próżno. Zebrawszy się w sobie, odnalazł swe ręce, oddalone, choć ciągle pomocne. Zaciśnął usta i

wykonał ponurą sztuczkę akrobatyczną, podczas gdy pocisk smugowy w jego głowie wciąż błyskał. Poczuł, jak wali mu serce, i przez chwilę był to dlań jedyny punkt odniesienia pośród bezkształtnych ciemności. Podciągnął prawą nogę do lewego uda i naprężył rozmokłe ręce. Gdy but zsunął się po łydce, zrzucił go jednym kopnięciem. Palce jego nóg uwolniły się od gumowego okrycia, które dotknęło go raz jeszcze, po czym przepadło na zawsze. Z wysiłkiem podciągnął do góry lewą nogę i przez chwilę szamotał się z drugim butem, który w końcu zszedł. Obie nogi były wolne. Rozluźnił się i zwisał bezwładnie, podtrzymywany przez pas.

Jego usta były zmyślne. Rozwierały się i zamykały, wpuszczając powietrze, lecz nie wodę. Ciało też pojęło, o co chodzi. Raz na jakiś czas kurczyło żołądek w twarde węzeł, a wargi wyrzucały strugi morskiej wody. Znowu opanowało go przerażenie - nie zwierzęcy strach, lecz głęboki lęk przed długotrwałym i samotnym umieraniem. Grymas powrócił, teraz jednak miał twarz, której mógł używać, i powietrze dla gardła. Za grymasem kryło się coś znaczącego, co nie zamierzało marnować powietrza na żadne dźwięki. Był tam jakiś zamysł, który z braku czasu i doświadczenia nie potrafił pojąć swej bezwzględności. Nie mógł wykorzystać tego mechanizmu do regularnego oddychania, lecz między jednym a drugim zanurzeniem pochłaniał hausty powietrza.

Gdy łykał powietrze, każdy jego haust przynosił nową myśl. Znowu przypomniał sobie o swoich rękach - były gdzieś daleko, pogrążone w mroku. Przyciągnął je bliżej i zaczął gmerać przy twardym, namokniętym ubraniu. Guzik był obolały i trudno go było przekonać, by zechciał przejść przez dziurkę. Wreszcie pętelka ześlizgnęła się z kołka zapinającego jego bluzę. Leżąc niemal bez ruchu, stwierdził, iż morze całkowicie go ignoruje, traktując go jak szklaną figurynkę marynarza lub kłodę, którą wkrótce zatopi, lecz którą jeszcze przez kilka chwil zachowa na powierzchni. Między jednym a drugim grzbietem zawsze czekało powietrze.

Chwycił gumowy wężyk i przeciągnął go przez taśmy. Czuł wyraźnie sflaczałą gumę, która ledwo utrzymywała go na powierzchni. Chwycił zębami zaworek wężyka i zaczął odkręcać go dwoma palcami, podczas gdy pozostałe palce pilnowały, by nie uszło powietrze. Wywalczył go trochę między jedną a drugą falą i wdmuchnął przez gumowy wężyk. Wśród nie kończącej się przeplatanki grzbietów i dolin odmierzał powietrze, które mogło wpaść mu do płuc, aż w końcu jego serce zaczęło poruszać się z trudem jak ranny człowiek, a zielony pocisk smugowy błyskał i wirował. Pas stwardniał, lecz cały proces był tak rozciągnięty w czasie, że nie zauważył, kiedy to się stało. Naraz, gwałtownie, fale zaczęły przelewać się po jego barkach, a każdy kolejny pogrzeb w ich odmętach był jak mokre klaśnięcie, uderzenie w

twarz. Odkrył, że nie musi walczyć o powietrze. Mocno i regularnie dmuchał w wężyk aż pas się rozrósł i zaczął go uwierać. Jednak nie przestał zaraz dmuchać. Zabawiał się z powietrzem, raz wypuszczając odrobinę, to znów dmuchając, gdyż bał się przerwać tę jedyną czynność, którą w jakiś sposób mógł sobie pomóc. Jego głowa, szyja i ramiona wystawały teraz dłużej z wody. Były zimniejsze niż reszta ciała. Zesztywniały na wietrze. Zaczęły drżeć. Wypuścił z ust gumowy ustnik.

- Ratunku! Ratunku!

Przez wężyk uciekało powietrze i począł z nim walczyć. Skręcił go mocno i zabezpieczył. Przestał krzyczeć i wytężył wzrok, chcąc przebić się przez ciemność, lecz ta oblepiała gałki jego oczu. Mimo że podniósł rękę do twarzy, niczego nie dostrzegł. Natychmiast do lęku przed osamotnieniem i utonięciem doszedł lęk przed ślepotą. Zaczął się niezdarnie wdrapywać na grzbiety fal.

- Ratunku! Jest tam ktoś? Ratunku! Rozbitek!

Przez chwilę leżał, drżący, nasłuchując odpowiedzi, lecz dobiegł go tylko syk i chlupot oblewającej go zewsząd wody. Zwiesił głowę.

Zlizał z warg sól.

- Ruszaj się.

Zaczął łagodnie uderzać wodę. Z ust wydobywały się bełkotliwe słowa:

- Dlaczego ściągnąłem te buty? W niczym mi to nie ulżyło.

Znów zwiesił głowę.

- Zimno. Nie mogę przemarznąć. Gdybym miał te buty, mógłbym ściągać je i zakładać, ściągać i zakładać...

Nagle pomyślał o łodzi, pogrążającej się w wodzie, idącej na dno, od którego wciąż dzieliła ją dobra mila, i od razu ten cały mokry ogrom zdusił jego ciało, jak gdyby spoczywał zatopiony na wielkiej głębokości. Zacisnął szczękające zęby, a jego twarz zastygła w skurczu. Wygiął ciało w łuk, podciągając obie stopy, jak najdalej od tej głębi, przelewającej się, żarłocznej, skłębionej kipieli.

- Ratunku! Ratunku!

Zaczął młócić wodę rękami, chcąc za wszelką cenę obrócić się dokoła swej osi. Cały czas wbijał wzrok w ciemność, lecz nie wiedział, czy już powrócił do pierwotnej pozycji, gdyż otaczający go mrok był gładki i wszędzie taki sam. Nie było żadnego wraku, tonącego dzioba, rozbitków walczących o życie - tylko on i ciemność kładąca się na gałkach jego oczu. I ruch wód.

Począł krzyczeć, wzywając innych, kogokolwiek:

- Nat! Nathaniel! Na miłość boską! Nathaniel! Ratunku!

Jego głos zamarł, a twarz się rozluźniła. Opadł bezwładnie w swoim pasie, pozwalając falom robić z nim, co zechcą. Zęby znów się rozszczękały i raz po raz drzenie to udzielało się całemu ciału. Jego nogi, tam w dole, były nie tyle zimne, co ściśnięte, zduszone bez litości przez morze, więc to, co w nich odczuwał, nie było reakcją na temperaturę, a raczej na ciężar, który mógł je zmiażdżyć i rozsadzić. Próbował coś zrobić z rękami - nie było jednak miejsca, gdzie mogły uciec przed bólem. W karku odezwał się ból, nie narastający, lecz nagły niczym ukłucie, nie pozwalając mu oderwać podbródka od piersi. Przez to jednak twarz zanurzyła się w wodzie, którą wciągnął nosem, dławiąc się i charcząc. Odplunął, znosząc przez chwilę ból w karku. Wbił rękę między pas ratunkowy a podbródek i przez dwie fale czuł ulgę, po czym ból wrócił. Wysunął rękę, a twarz opadła mu na wodę. Położył się na wznak, mimo bólu przeginając głowę w taki sposób, że gdyby jego oczy były otwarte, spoglądałby prosto w niebo. Ucisk na nogi stał się znośny. Już nie były ciałem - przekształciły się w jakąś inną substancję, zmartwiałą i nie sprawiającą kłopotu. Ta część ciała, której morze nie zaatakowało i nie zdołało całkowicie pokonać, wykonywała raz na czas jakiś niewielkie ruchy. Teraz trzeba było zbadać wieczność, nierozłącznie splecioną z bólem, doświadczyć jej. Grymas nie zniknął. Myślał. Myśli rodziły się z trudem, niespójne, lecz jakże istotne.

Niebawem zaświta.

Muszę posuwać się ruch za ruchem.

Dość myśleć jeden ruch naprzód.

Niebawem zaświta.

Zobaczę szczątki.

Nie umrę.

Nie mogę umrzeć.

Nie ja...

Drogocenny.

Uniósł się, szarpnięty nagłym przyplływem uczuć, nie mającym nic wspólnego z dotykiem fal. Z jego oczu wypływała słona woda. Pociągnął nosem i przełknął nerwowo ślinę.

- Ratunku, niech mi ktoś pomoże!

Jego ciało uniosło się i opadło łagodnie.

Gdybym był niżej, dostałbym się może i do łodzi nawet. Albo na tratwę. Ale akurat mnie musiała przypaść ta cholerna wachta. I to mnie musiało zmieść z tego cholernego pomostu. Okręt musiał pewnie pójść na sterburtę, jeśli on otrzymał rozkaz na czas, i zatonął

lub przewrócił się. Oni na pewno są gdzieś w ciemnościach, tam gdzie zatonął, wypytyując się, czy nie stracili ducha - węzły i punkciki głów wśród fal, ropy i unoszących się szczątków. Gdy się przejaśni, muszę ich odnaleźć; na Boga, muszę ich odnaleźć. Albo ich wypatrzą i zabiorą, a ja zostanę, wzdęty jak hamak. O Boże!

- Ratunku! Nathaniel! Ratunku!

Moje rozkazy też były słuszne. Gdybym je wydał dziesięć sekund wcześniej, byłbym, kurna, bohaterem... Ster prawo na burt, na miłość boską!

Musiało nas walnąć dokładnie pod mostkiem. A mój rozkaz był słuszny. I wypieprzyło mnie niezły kawał.

Stężały grymas tak długo urabiał drewnianą twarz, aż górna warga uniosła się, odsłaniając szczękające zęby.

Targnął nim słaby gniew, a krew napłynęła ciepłą falą, rozgrzewając z lekka policzki i tył oczu. Otworzyły się.

Później, podskakując i rozpryskując wodę, spojrział w górę. Faktura mroku zaczęła się zmieniać: były tam smugi i plamy, które nie pochodziły z oka. Przez moment - zanim zdołał sobie przypomnieć, jak należy używać wzroku - plamy te oblepiły jego oczy jak ciemność. Potem wzrok jego okrzepł i z wnętrza głowy, przez łuki czaszki, zaczął dostrzegać przypadkowe składanki zrodzone ze słabego światła i mgły. Bez względu jednak na to, jak bardzo mrugał oczami i wytężał wzrok, wciąż zostawały poza nim. Wysunął głowę naprzód i ujrzał, delikatniejszy niż cień, pofałdowany i zmieniający się kształt fali, która po chwili uniosła jego ciało. Przez ułamek sekundy widział jej nietrwały zarys na tle nieba, a potem, niesiony przez wodę, dostrzegł jak przez mgłę czarny grzbiet następnej, spadającej nań fali. Próbował płynąć. Jego ręce były plamami lśnącymi w wodzie, a wykonywane ruchy zdawały się zdejmować z jego nóg ogromny ciężar. W głowie rozbłyskiwały myśli.

Płynęliśmy na północny wschód. Wydałem rozkaz. Gdyby okręt zaczął skręcać, byłby teraz gdzieś tam, na wschodzie. Wiatr wiał z zachodu. Tam, skąd jeden za drugim pędzą grzbiety fal, jest wschód.

Jego ruchy i oddech stały się gwałtowniejsze. Płynął nieporadnie, unoszony przez pas ratunkowy. Po chwili przestał, pozwalając się nieść falom. Zacisnął zęby, wyjął zatyczkę z pasa ratunkowego i tak długo wypuszczał powietrze, aż znalazł się nieco niżej w wodzie. Wtedy znów zaczął płynąć. Oddychał z trudem. Natężając wzrok aż do bólu, patrzył spoza łuków swej czaszki na tył każdej spływającej zeń fali. Jego nogi zwolniły i znieruchomiały, ramiona opadły. Gdzieś w ciemnych głębiach czaszki mózg wciąż poruszał rękoma i nogami, choć od dawna już unosiły się bezwładnie w wodzie.

Coraz wyraźniejsza stawała się ziarnistość nieba. Jego odcień zmieniał się mgliście, z czerni i mroku przechodząc w szarość. Bardzo blisko widać było postrzępione wzgórki na powierzchni wody. Jego mózg znów zaczął poruszać rękami i nogami.

Falą napłynęły obrazy, próbując wcisnąć się między niego a zew, który kazał mu płynąć na wschód. Ponownie zjawił się ten słoik, tym razem wyzuty z jakiegokolwiek znaczenia. Był tam jakiś człowiek, krótka rozmowa i blat biurka, tak lśniący, że odbijały się w nim uśmiechnięte zęby. Był także długi rząd suszących się wielkich masek, głos zza tych zębów, które odbijały się w biurku, odezwał się miękko:

- Jak myślicie, która z nich byłaby właściwa dla Christophera?

Była jeszcze podstawa kompasu z ledwo widocznym światełkiem, wykrzyczany rozkaz, który zawisł w neonowym świetle na oczach nieba i ziemi.

- Ster prawo na burt, na miłość boską!

Do jego ust wtargnęła woda. Zacharczał, dławiąc się, i odzyskał przytomność. Dzień trwał bezlitośnie w szarości i zieleni. Morze było znajome i bezkresne. Wody dymiły. Wpłynąwszy na szeroki, potargany grzbiet, dostrzegł dwa kolejne, dymiące grzbiety, a dalej już jedynie niewyraźny krąg, który mógł być mgłą, drobnutką mżawką lub deszczem. Wbijał wzrok w ów krąg, obracając się, ustalając kierunek z ruchu fal, aż zlustrował każdy punkt. Pełgający płomień w jego wnętrzościach, który miał przetrwać, został zaatakowany. Leżał bezbronny wewnątrz swych ubrań i rozmokłego ciała.

- Nie umrę! Nie!

Ten mglisty krąg był wszędzie taki sam. Grzbiety fal pojawiały się z tamtej strony, wyłaniały się z mgły, porywały go, unosiły na moment, a potem rzucały w dół i umykały, lecz gdy za chwilę następna fala chwyciła go i dźwigała w górę, mógł dojrzeć ginący zarys poprzedniej. Potem lądował w dole, widząc kolejną falę, która pędziła skłębiona w jego kierunku.

Przeklinając, zaczął bić wodę zbielełymi dłońmi. Z zaciekłym wysiłkiem utrzymywał się na grzbietach fal. Lecz nawet odgłosy jego ust i ciała ginęły rozmyte w bezliku dźwięków przemieszczających się wód. Znieruchomiał, czując obmacujące jego żołądek palce chłodu. Głowa opadała mu na piersi, a woda słabo, uporczywie przelewała się po jego twarzy. Myśleć. To moja ostatnia szansa. Myśleć, co można zrobić.

Okręt zatonął na Atlantyku. Setki mil od lądu. Płynął samotnie, wysłany na pomocny wschód od konwoju, by przerwać ciszę w eterze. Może ten U-boot krąży gdzieś w pobliżu, by wyłowić jakiegoś ocalałego marynarza i wziąć go na spytki. Albo czeka na jakąkolwiek jednostkę, która przyplynie w sukurs tym, co ocaleli. W każdej chwili może się wynurzyć,

rozcinając fale swym ciężkim cielskiem, jak do połowy zalana przez przyptyw skała. Jego peryskop zwarzy oblewającą go wodę, oko stworzenia lądowego, które pokonało rytm i prawo morza. Być może właśnie teraz przepływa pode mną, niewyraźny i śmigły jak rekin, a może leży pod moimi drewnianymi stopami na słonym, wodnym łożu, podparty poduszkami, a jego załoga pogrążona jest we śnie. Rozbitkowie, jakaś tratwa, statek wielorybiczny, łódź ratunkowa, szczątki okrętu unoszą się pewnie na falach, może dwa lub trzy grzbiety dalej, ukryte we mgle i czekające na ratunek z jakąś konserwą i szczeniakiem.

Znów zaczął obracać się w wodzie, wpatrując się łzawiącymi oczami we mgłę, po czym wbił wzrok w niebo, które zdawało się wisieć nie wyżej niż dach. Następnie przepatrzył obszar wokół siebie, szukając szczątków okrętu albo jakiejś głowy. Nie dostrzegł jednak niczego. Okręt znikł zupełnie, jakby czyjaś dłoń wychyliła się z głębi i wciągnęła go jednym ruchem pod wodę. Gdy pomyślał o tej mili, wygiął ciało w łuk, wykrzywił twarz i zaczął krzyczeć:

- Ratunku, niech was diabli, spieprzajcie, kij wam w dupę, ratunku!

Potem załkał i zadrżał, a chłód ścisnął go jak ta dłoń wciągająca okręt w głębinę. Krzyk umilkł w czkawce, a on sam jął się znów obracać wśród dymu i zielonej kipieli.

Jedna część otaczającego go kręgu była jaśniejsza niż pozostałe. Fale przelewały się ku lewej stronie tej niewyraźnej jasności, a tam, gdzie rozpościerała się owa jasność, mgła była jeszcze bardziej nieprzenikniona niż z tyłu za nim. Pozostał zwrócony twarzą ku tej jasności nie dlatego, że była mu w jakiś sposób konieczna, lecz raczej z tej przyczyny, iż rozbiła jednorodność otaczającego go kręgu i zdawała się cieplejsza od całej reszty. Znów zaczął bezwiednie płynąć, jak gdyby podążanie za tą jasnością było dlań czymś nieuniknionym. W tym świetle unoszącym się nad wodą dym przybierał konsystencję trwałą. Światło przebijało się przez wodę, stawiając między nim a czubkami niestrudzonych grzbietów ścianę butelkowej zieleni. Gdy fala mijała go, przez moment mógł zajrzeć w jej głąb, lecz nie było tam nic prócz wody - ani źdźbła wodorostu, ani skrawka czegoś uchwytnego, pływającego, poruszającego się - nic prócz zielonej, zimnej, zaciętej, idiotycznej wody. Za to na pewno były tam ręce i dwa przedramiona okryte nieprzemakalnym materiałem, i jeszcze ciężki, dyszący oddech. Był także odgłos idiotycznych, szepczących, skręcających się, drobnych kaskad, które dzwoniły w uszach jak miniaturowe fale na płaskiej plaży; niespodziewane syknięcia i klapsy, ryki i urywane sylaby, i łagodne tarcie wiatru. Owe ręce pod jasną stroną kręgu były ważne, lecz wokół była pustka, której nie mogły uchwycić. Pod nimi i pod toczącym zmagania, konającym ciałem trwała nieskończona drobina czegoś miękkiego i zimnego.

Targnęła nim świadomość głębi, więc przyciągnął swe martwe stopy do brzucha, próbując odgrodzić je od całego oceanu. Wygiął się w łuk i wbił wzrok przed siebie, uniósł się na fali ponad przepastną głębią wód, a jego usta otwały się, by krzyknąć w tę jasność.

Przez czas pewien nie zamykały się. Potem zęby zatrzaskały się ze szczękiem, a ramiona poczęły odpychać zalewającą go wodę. Z uporem przedzierał się naprzód.

- Ahoj! Na litość boską! Rozbitek! Rozbitek! Trochę w prawo! - Młóćąc rękami i nogami, przeszedł w nieporadny kraul. Przetoczyła się nad nim jedna z fal, a on wynurzył się do piersi z wody. - Ratunku! Ratunku! Na litość boską!

Opadając, poszedł pod wodę, lecz wypłynął z wysiłkiem i strząsnął falę z głowy. Płomień z brzucha rozszedł się na wszystkie strony, a serce z bólem pchnęło oporną krew po całym ciele. We mgle, na lewo od jaskrawej plamy, był jakiś statek. Zwrócony doń prawą stroną dziobu... albo - i myśl ta sprawiła, że rozbryztał wodę wokół siebie - lewą stroną rufy, czyli się oddalał. Lecz nawet wśród szалу wykonywanych ruchów zdał sobie sprawę, że to niemożliwe, gdyż w takim razie statek minąłby go kilka chwil wcześniej. Więc się zbliżał, by przebić się przez krąg widoczności kilka jardów od niego.

Lub zatrzymał się.

Wówczas on również się zatrzymał i położył się na wodzie. Ten kształt, ledwie majacząca w oddali bryła mroku, był tak niewyraźny, że nie potrafił określić ani odległości, ani rozmiaru. Dziób statku wydawał się mniej oddalony niż wcześniej i teraz widział go, nawet gdy znajdował się w dolinie fali. Znów zaczął płynąć, ale za każdym razem, gdy wznosił się na fali, krzyczał:

- Ratunku! Rozbitek!

Cóż jednak mogło mieć taki przechyl? Frachtowiec? Opuszczony frachtowiec, porzucony i czekający na zatopienie? Na pewno załatwiłaby go jedna salwa torped. Opuszczony liniowiec? W takim razie - sądząc po rozmiarach - musi być to statek klasy "Queen" - ale skąd ten przechyl? Słońce i mgła doskonale się równoważyły. Słońce rozświetlało mgłę, choć jej nie przebijało. I ponuro, w słonecznej mgle, gdzie nic innego być nie mogło, majaczył kształt okrętu-widma.

Znów zaczął płynąć, zdając sobie nagle sprawę z rozpaczliwego wyczerpania całego ciała. Pierwsze dzikie podniecenie tym, że w ogóle coś zobaczył, wypaliło się w nim i ogień przygasł raz jeszcze. Płynął ponuro, wbijając ramiona w wodę, wybiegając naprzód wzrokiem zza łuków czaszki, zupełnie jakby go to mogło wybawić z opresji. Kształt poruszył się. Choć robił się większy, jego zarysy nie zyskiwały na wyrazistości. Od czasu do czasu przelewało się przed nim coś, co wydawało odgłos przypominający dźwięk fali dziobowej. Przestał tam

patrzeć, lecz na przemian płynął i wrzeszczał, resztką sił. Wokół siebie czuł jakąś zieloną siłę, rosnącą, by pozbawić go wszystkiego; nad nim była mgła i błyski; przed jego oczami pulsowała czerwień - jego ciało poddało się legło bezwładnie na fali, a ów kształt dźwigał się nad nim coraz wyżej. Poprzez zgrzyty i głuchoe uderzenia jego rąk dochodził doń odgłos rozbijających się fal przyboju. Uniósł głowę, a na tle nieba wyrosła przed nim skała z wiszącą nad nią mewą. Wznosząc się i opadając, widział, jak kolejna fala obniża się, wyrzuca białą, spienioną dłoń i znika, jakby połknięta przez skałę. Zaczął wykonywać w myślach pływackie ruchy, choć wiedział, że ciało nie jest mu już posłuszne. Grzbiet następnej fali oddzielającej go od skały został ścięty, dziwacznie wygładzony, po czym gwałtownie rozstrzelił się w pianę. Poszedł pod wodę, dostrzegając nie rozumiejącym wzrokiem, że zielona woda nie jest już pusta. Była tam żółtość i brąz. Umilkły chaotyczne, wariackie głosy rozszalałych wód, a w jego uszach rozbrzmiał nagły ryk. Potem zanurzył się w rozśpiewany świat, gdzie miotaly się i skręcały wokół jego głowy włochate kształty i gdzie jawiły się z bliska wyraźne szczegóły poszarpanej skały. Brązowe wici uderzyły go po twarzy, a potem, z druzgocącym wstrząsem, uderzył o coś twardego. Była to absolutna różnica, to coś znajdowało się pod jego ciałem, dotykało kolan i twarzy, mógł na tym zacisnąć palce i przez moment udało mu się na tym utrzymać. Jego usta - podobnie jak oczy - były niepotrzebnie otwarte i przez chwilę dostąpił bliskiego i żarliwego zjednoczenia z trzema skałoczepami, dwoma małymi i jednym dużym, oddalonymi od jego twarzy o niespełna cal. Jednakże po długim przebywaniu w świecie niepochwytnej wilgoci coś tak trwałego przeraziło go, wywołując w nim apokaliptyczną trwogę. Nie drgało, jak drga kadłub okrętu; było bezlitosne, rodziło panikę. Nie musiało wcale przerywać bezcelowej krzątaniny tysięcy mil wody i dlatego tu właśnie rozpętała się między żywiołami niespodziewana wojna. Uczuł, jak fala odrywa go od skałoczepów, okręca, otrząsa i wpycha w głąb, gdzie wodorosty i mrok. Sznury roślin przytrzymały go, ześlizgnęły się i puściły. Dostrzegł światło, chwytając w usta powietrze z pianą. Przed oczyma mignęła mu poszarpana ściana skalna pokryta drzewkami rozprysniętej wody, a widok tej skały zawisłej nad wodami Atlantyku był tak straszliwy, że zmarnował całe swoje powietrze na przeraźliwy wrzask godny dzikiego zwierza. Znowu zanurzył się w zieloną cichość, potem wypłynął i cisnęło nim w bok. Morze już nie zabawiało się z nim. Uspokoilo swoje dzikie ruchy, trzymało go łagodnie, niosąc delikatnie i starannie jak pies myśliwski aportujący upolowanego ptaka. Pod stopami i kolanami poczuł dotknięcie czegoś twardego. Morze położyło go łagodnie i wycofało się. Jego twarz, klatka piersiowa, boki i czoło dotykały czegoś twardego. Morze wróciło, łaszac się do jego twarzy i oblizując ją. Myślami wykonał ruchy, które pozostały w myślach. Morze znowu powróciło i znowu myślami wykonał

ruchy - tym razem ciało posłuchało, gdyż woda ujęła część jego ciężaru. Pchnęła go naprzód, przez twarde przedmioty. Każda fala, każdy ruch wody przesuwały go naprzód. Poczł, że morze spływa do jego stóp, obwąchuje je, a potem wraca i wsuwa nos pod jego pachę. Już nie lizało jego twarzy. Przed nim znajdował się jakiś wzór, zajmujący całą przestrzeń pod łukami czaszki. Nie znaczył nic. Morze znów trąciło go pyskiem pod pachę. Leżał nieruchomo.

2.

Wzór był bielą i czernią, głównie jednak bielą. Składał się z dwóch warstw ułożonych jedna za drugą, każda dla jednego oka. Leżał bez ruchu, bez myśli, a wzór zmieniał się nieznacznie z cichym szmerem. Twardości pod policzkiem coraz bardziej dawały się we znaki. Najpierw uciskały, potem piekły bez ciepła, a w końcu sprawiały wyraźny ból. Ich uporczywość była tak dręcząca, że przywodziła na myśl ómienie chorego zęba. Dzięki nim jednak zebrał się w sobie, poczuł, że znów jest jednością.

Jednak tym, co przywróciło go do życia, nie było uczucie bólu ani czarno-biały wzór, lecz raczej rozliczne dźwięki. Choć morze potraktowało go tak delikatnie, wszędzie wokół ryczało, bijąc samo w siebie z głuchym łoskotem. Także wiatr, który mógł się wreszcie zmagać z czymś innym niż służalczo uległa woda, syczał wokół skały, dysząc w jej szczelinach. Wszystkie te dźwięki składały się na język, który wciskał się w mroczną, beznamietną głowę, zapewniając, że jest ona gdzieś, gdzieś - aż wreszcie, gdy nad wyciem wiatru rozbrzysnął krzyk mewy, jego błędząca po omacku świadomość zrozumiała: bez względu na to, gdzie jesteś, jesteś tutaj!

I był tam, znosząc ból, w pełnym zjednoczeniu z ową podtrzymującą jego ciało trwałością. Przypomniawszy sobie, jak używa się oczu, i połączył obie linie wzroku, przez co wzory zlały się w jedno, dając poczucie odległości. Pod głową leżały płaskie kamyki uciskające policzki i szczękę. Były z białego kwarcu, nieco zmatowiałe i wygładzone, tworząc mozaikę z elementów w kształcie ziemniaków. Ich białość łagodziły żółte plamy i jakieś ciemne cętki. Za nimi znajdowało się coś bielszego. Przyjrzał się temu obojętnie, dostrzegając zbielejące zmarszczki, niebieskie nasady paznokci, pomarszczone czubki palców. Nie ruszył głową, lecz jego wzrok powędrował wzdłuż rękawa aż do ramienia. Potem powrócił spojrzeniem na kamyki i obserwował je leniwie, jak gdyby za chwilę miały wykonać jakąś operację, na którą czekał bez większego zaangażowania. Dłoń leżała nieruchomo.

Woda obmywała kamyki. Nieznacznie nimi poruszała, uspokajała się i odpływała, a kamyki postukiwały grzechotliwie. Przesmykiwała wzdłuż jego ciała, lekko kołyszając stopami. Wciąż patrzył na kamyki, a powracająca woda wpadła mu z pluskiem do otwartych ust. Zaczął się trząść, nie zmieniając wyrazu twarzy, i po chwili to głębokie drżenie ogarnęło całe ciało. Zdawało mu się, że kamyki przemieszczają się wewnątrz jego głowy, ponieważ

ruch przesuwającej się w przód i w tył białej ręki dokładnie odpowiadał ruchowi jego ciała. Wciąż pod twarzą czuł ucisk kamyków.

Pojawiające się w jego mózgu i znikające obrazy nie mogły nim poruszyć, gdyż były zbyt małe i odległe. Kobięce ciało, białe i ze szczegółami, ciało jakiegoś chłopca, kasa biletowa, pomost bojowy na okręcie, jakiś rozkaz wychwycony z przestworzy w neonowym błysku, jakiś wysoki, chudy mężczyzna stojący pokornie w ciemnościach na szczycie zejściówki i jeszcze człowiek zawieszony wśród fal, jak szklana figurynka żeglarza w słoiku. Między kamykami a obrazami nie było wyboru. Co pewien czas jedne brały górę nad drugimi. Poszczególne kamyki nie były większe od obrazków. Czasami cały kamyk wypełniony był przez obrazek, zupełnie jakby to było okno, judasz, przez który można podglądać inny świat lub inny wymiar. Słowa i dźwięki czasem przybierały dlań wyraźny kształt, jak wykrzyczany rozkaz. Nie rozbrzmiewały, by zniknąć. Raz stworzone, pozostawały, twarde i niezniszczalne jak kamyki. Niektóre znajdowały się wewnątrz czaszki, ukryte za łukami brwi i mrocznym cieniem nosa. Znajdowały się w samym środku nieokreślonego mroku, ponad ogniem twardości. Popatrzysz leniwie, można było dostrzec, co znajduje się za nimi.

Na ciele poczuł nowy rodzaj chłodu. Skradał się po jego plecach, wczołgawszy się pod ciasne warstwy ubrania. To było powietrze, lecz odnosiło się wrażenie, że jest to wolno tłący się ogień. Ledwo to zauważył, gdy powracająca fala wlała mu się do ust. Zadławił się, zakłócając tym samym rytm drżącego ciała.

Począł eksperymentować. Odkrył, że może podciągać jedną nogę, a potem drugą. Jego dłoń powędrowała nad głowę. Po głębszym namyśle zrozumiał, że gdzieś po tamtej stronie znajduje się jego druga ręka, i wysłał do niej wiadomość. Odnalazł rękę, poruszył nadgarstkiem. Wciąż wyrastały z niej palce, choć nie mógł nimi ruszać - gdy wykonał ruch całym ramieniem, poczuł tylko, że drewniane czubki przegarniają niewidzialne kamyki. Skulił wszystkie cztery kończyny i zaczął wykonywać ruchy jak przy pływaniu. Wspomogło go drżenie, wywołane w jego ciele przez chłód. Jego oddech stał się krótki, a serce znów zaczęło walić mu w piersiach. Znikły bezładne obrazki, nie zostawiając nic prócz kamyków, ich stuku oraz łomotu serca. Przez mózg przemknęła mu cenna myśl, cenna nie dlatego, że mógł ją niezwłocznie wykorzystać, lecz z tego względu, że zwracała mu część jego osobowości. Chciał wyrazić tę myśl, uformował słowa, lecz nie przebiły się przez barierę jego zębów.

- Pewnie tyle ważyłbym na Jowiszu.

W tej chwili stał się panem. Wiedział, że jego ciało waży mniej więcej tyle co zwykle, że jest wyczerpane i że usiłuje wdrapać się na niewielki kamienisty stok. Oderwał twarz od

kamyków, które zostawiły na niej swoje ślady, i odepchnął się kolanami. Zgrzytnęły zaciśnięte zęby. W odpowiednich momentach rozdymał wsparcią o kamienie klatkę piersiową i kontrolował drżenie ciała, by nie utrudniały mu tej mozolnej wędrówki. Czuł, że każda fala obmywa coraz dalsze partie jego stóp. Gdy wspinaczka stawała się zbyt rozpaczliwa, zatrzymywał się, dysząc ciężko, czekając, aż wszystko dokoła odzyska swój zwykły kształt. Woda już nie dochodziła do jego stóp.

Lewa ręka - ta ukryta - dotknęła czegoś, co tym razem nie ustąpiło z lekkim mlaśnięciem. Odwrócił głowę i spojrzał spod łuków brwiowych. Było to coś szarawożółtego. Miało dużo dziur, przypominających ślady po ospie, i wyżłobień, upstrzonych czerwonymi galaretowatymi grudkami. W każdy otwór wciskały się sklepienia żółtych skałoczepów. Nad nimi zwieszały się brązowe liście i zielone pajęczyny wodorostów. Białe kamyki prowadziły prosto do czarnego kąta. Na wszystkim pobłyskiwała cienka warstewka wody, opadały krople wody, maleńkie, schwymane przypadkowo sadzawki, drgające i ściekające po wodorostach. Zaczął szarpać kamienie, wspierając się plecami o skałę i podciągając stopy. Zobaczył je teraz po raz pierwszy, odległe zarysy, pogrubione i niedźwiedziowate w żeglarskich pończochach. Dzięki nim odzyskał kolejną część utraconego siebie. Wsunął lewą dłoń pod ucho i zaczął się podnosić. Ramię uniosło się nieco. Odpychał się stopami, podciągając się jednocześnie na rękach. Plecy wspierały się o kąt, gdzie spływała woda z maleńkich sadzawek. Wysoko w górze była głowa. Ujął udo oboma rękami i podciągnął je do klatki piersiowej. Potem drugie. Wbił się w ów kąt i spojrzał w dół na kamyki. Usta znów się rozwarły.

Prawdę mówiąc, to tych kamyków nie było aż tak wiele. Boki trójkąta tworzonego przez nie w cieniu skały miały najwyżej długość człowieka. Wypełniały rozpadlinę i były nieruchome.

Oderwał wzrok od kamyków i przeniósł go na wodę. W porównaniu z morzem była niemal zupełnie spokojna. Sprawiał to skalny krąg, na który rzuciły go skały. Stąd widać było sąsiednią skałę. Była taka sama jak jego, szara, z kremowymi naroślami pąkli i piany. Każda fala potykała się o nią, więc choć woda pędziła, wałąc z łoskotem o obie strony rozpadliny, między nim a kremową skałą rozciągało się kilka jardów zielonej, czystej wody. Dalej rozciągał się jedynie dymiący przestwór napierających fal, nasyconych rozmytym blaskiem słońca.

Zamknął oczy, ignorując przesuwane się za nimi obrazy. Pracujący bez pośpiechu mózg skupił się na jednej myśli. Niewielki ogień wewnątrz jego ciała był na wpół zgasły, lecz - ku jego zdumieniu - wciąż się żarzył, mimo wysiłków Atlantyku. Świadomie skulił całe

ciało wokół tego ognia i poczał go podsycać. Była tam zaledwie iskierka. Obrazy i uroczyste słowa pojawiły się same.

W górze nad nim zakrzyczał jakiś ptak, a jego głos spłynął z podmuchem wiatru. To odwróciło jego uwagę od iskierki ognia i sprawiło, iż na powrót otworzył oczy. Tym razem odzyskał tak wiele z utraconego siebie, że mógł się rozejrzeć i obrzucić spojrzeniem wszystko, co go otaczało. Po obu stronach wznosiły się ciemne ściany skał, rysujące wyraźną krawędź jaśniejszego światła. Dostrzegł blask słońca na otoczonym pianą głazie i nieubłagany marsz wzburzonych wód, niosących swą własną, drobnutką, świecącą w słońcu mgiełkę. Przekręcił głowę i uniósł wzrok.

Nad wodorostami i skałoczepami skała była gładza i obydwie jej części zbliżały się do siebie. W górze był rozstęp, przez który przechodziło światło i coś jakby uwięzła w nim chmura. Na jego oczach jakaś mewa przemknęła przez rozstęp, wydając głośny krzyk. Stwierdził, że spoglądanie w górę sprawia mu ból, więc zwrócił się ku swemu ciału, badając garby kolan pod kombinezonem i bajową bluzą. Przyjrzał się uważnie jednemu guzikowi.

Usta zamknęły się, by po chwili się rozewrzeć. Ze środka wydobyły się dźwięki. Poprawił je, układając w niepewne słowa:

- Znam cię. Nathaniel cię przyszył. Poprosiłem go. Powiedział, że to dobry pretekst, by wyrwać się z mesy i mieć chwilę spokoju. - Znów zamknął oczy, a jego palce niezdarnie obmacały guzik. - Miałem ten sztormiak, gdy byłem zwykłym marynarzem. Przed Nathanielem przyszywał te guziki Lofty. - Pokiwał głową w kierunku kolan. - Jeszcze świtówka. Trzeba przeżyć świtówkę.

Wyraźne i ostre chrapnięcie zakłóciło te wszystkie obrazy. Drżenie nieco osłabło, lecz w dalszym ciągu płynęło z jego ramion, więc niebawem zsunęły się z kolan, a dłonie spoczęły na kamieniach. Potrząsnął głową. Między kolejnymi chrapnięciami czuł twarde, kłujące w stopy kamyki, jeszcze twardsze dla pośladków, gdy powoli wysunął spod nich stopy. Chaos przesuających się obrazów groził zarówno zniszczeniem całej osobowości, jak i zgaszeniem owej iskierki ognia. Przebił się przez ich płataninę, uniósł powieki i rozejrzał się dokoła.

Tam, w dole, obmywane wodą falowały kamyki. Nieco wyżej skała, która go ocaliła, oblepiona była gęstą pianą, z której zwieszały się pienne języki. Na zewnątrz świeciła popołudniowa jasność, lecz rozpadlina ociekała wilgocią i cuchnęła jak portowa latryna. W jego ustach powstał kwaczący dźwięk. Umysł uformował pytanie: Gdzie jest ta cholerna skała? Było to jednak ryzyko, obraza ciemnej rozpadliny, więc zmienił je jeszcze w gardle:

- Gdzie ja, u diabła, jestem?

Zwykły czubek skały, szczyt w łańcuchu gór, pojedynczy ząb wstawiony w odwieczną szczękę pogrążonego w odmętach świata, sterczący wśród niepojętego ogromu całego oceanu - i jak daleko od suchego lądu? Jakieś złe przeczucie, nie owa konwulsyjna wręcz panika towarzysząca jego początkowym zmaganiom w wodzie, lecz dogłębne i nieokreślone przerażenie sprawiło, iż wbił w skałę zeszywniałe palce. Nawet uniósł się do połowy i oparł o wodorosty i galaretowate grudki.

- Myśl, ty przeklęty durniu, myśl.

Horyzont mglistych wód trwał nieruchomo, fale odbijały się od skały, a kamyki drżały.

- Myśl.

Przykucnął, obserwując skałę. Choć leżał bez ruchu, ciało nie przestawało drżeć. Zauważył, jak zewnętrzna część skały rozbija fale i oswaja je, przez co woda tuż przy rozpadlinie stawała się nieruchawa i nieszkodliwa. Powoli powrócił na miejsce w kącie. Iskierka wciąż się tliła, a serce dostarczało jej tego, czego potrzebowała. Przyglądał się zewnętrznej skale, lecz coraz mniej widział. Brakowało tam nazwy. Ta nazwa widniała na mapie, gdzieś hen na Atlantyku, tak dziwacznie odizolowana, że marynarze, do pewnego stopnia potrafiący śmiać się z wiatru i pogody, ukuli na jej temat żart. Marszcząc brwi, widział ową mapę oczyma duszy, choć niezbyt wyraźnie. Widział, jak commander¹ nawigator i dowódca krążownika pochylają się nad mapą, widział siebie, stojącego w gotowości pisarza okrętowego, i tamtych, uśmiechających się do siebie. Kapitan odezwał się z tym swoim szybkim i ostrym akcentem z Dartmouth - odezwał się ze śmiechem:

- To takie bliskie skojarzenie².

To miejsce mogło sobie być takim bliskim skojarzeniem. A teraz leżeć skulony na tym bliskim skojarzeniu nie wiadomo ile mil od Hebrydów? Jaka korzyść z tej iskierki, jeśli ma zgasnąć w rozpadlinie na tym idiotycznym pustkowiu? Plunął słowami na obraz kapitana:

- W niczym mi to nie ulżyło.

Kości wygięły swoje stawy, a on zaczął się zsuwać po skale. Wpadł ciężko do kąta, a jego głowa opadła. Zachrapał.

Wewnątrz jednak, gdzie owo chrapanie dotykało jedynie samej powierzchni, wśród obrazów i odkryć, wśród kształtodźwięków i zlekceważonych uczuć, świadomość nieustannie poruszała się i szperała jak zwierzę, które nieustannie bada wnętrze swojej klatki. Odrzuciła

¹ W Royal Navy stopień pośredni między porucznikiem a kapitanem (przyp. red.).

² Skała, na której znalazł się Martin, nazywała się Rockall, co dowódcy krążownika kojarzyło się i rymowało z wulgarnym zwrotem "fuck all".

pełne szczegółów kobiece ciała, niespiesznie przebrała przypadkowe słowa, zignorowała ból i uporczywą obecność drżącego ciała. Cały czas szukała myśli. Odnalazła ją, oczyściła ze śmiecia, uniosła i użyła całego aparatu ciała, by nadać jej siłę i znaczenie. - Jestem inteligentny.

Za pochrapywaniami nastąpił okres czarnego zawieszenia; potem prawa ręka, tak bardzo odległa, posłuchała rozkazu i zaczęła manipulować przy sztormiaku. Uniosła klapę i wsunęła się do środka. Palce natrafiły na sznurek i złożony scyzoryk. Pozostały przy tym znalezisku.

Zamrugał oczami i otworzył je, a krużganki jego czaszki stały się ramą dla zielonego morza. Przez chwilę oczy te patrzyły, odbierając wrażenia niewidzącym wzrokiem. Potem całe ciało gwałtownie drgnęło. Iskra przerodziła się w płomień, ciało zaczęło się wspinać, zginać, dłoń wymknęła się z kieszeni sztormiaka i chwyciła skałę. Oczy przejrzały i mruganie ustało.

Gdy jedna z fal przelała się po zewnętrznej skale, jego oczy dostrzegły brąz ukrytych w jej głębi wodorostów. Naraz woda, tańcząca przed kamykami swój zielony taniec, zgubiła rytm. Spieniona linia rozpękała się i z sykiem podeszła po kamykach aż do jego stóp. Potem piana wsiąkła i znikła, a kamyki zaszczeptały jak zęby. Patrzył, jak po każdej z fal grzebienie piany zgarniają coraz więcej kamyków, zostawiając ich z każdym powrotem coraz mniej. Zewnętrzna skała już nie była barierą, a jedynie obronnym gestem. Coraz bardziej widoczny stawał się bezpośredni związek między ową rozpadliną a nieubłaganym naporem zielonych, dymiących wód. Odwrócił się gwałtownie od tego bezmiaru i przywarł do skały. Ciemna, latrynalna rozpadlina z jej ociekającymi wodorostami, bezmyślnym, siedzącym życiem muszli i meduz tylko dwa razy dziennie, dzięki uprzejmości Księżyca, stawała się lądem. Czyniła wrażenie stałej i niewzruszonej, lecz w rzeczywistości była morską pułapką, równie obcą oddychającemu życiu jak miękki wszechplusk poprzedniej nocy i owa mila, dzieląca go od dna.

Odzyskał przytomność wraz z krzykiem mewy, wsparł czoło o skałę i próbował uspokoić bicie serca. Piana obryzgała mu stopy. Zerknął w dół, omijając je spojrzeniem. Oparcie z kamyków znacznie się przeredziło, a te, które zetknęły się z jego dłońmi, gdy został wyrzucony na brzeg, były żółtozielone pod roztańczoną wodą. Znów zwrócił się do skały i powiedział głośno:

- Wspinaj się.

Obrócił się i wymacał uchwyty w rozpadlinie. Było ich tam sporo. Jego słabe, nasiąknięte wodą ręce wczepiały się w ich mokre występy. Na chwilę oparł się o skałę, by zebrać siły. Uniósł prawą stopę i opuścił ją w otwór przypominający popielniczkę. Brzeg popielniczki nie był ostry i jego stopa nic nie wyczuła. Oderwał czoło od porośniętej wodorostami powierzchni i zaczął się podnosić, aż prawa noga się wyprostowała. Jego lewa noga zwisała bezwładnie i uderzyła o skałę. Zaczepił palcami o występ i trwał tak przez chwilę, z dala od kamyków, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Rozpadlina wyrosła przy jego twarzy, a on spojrzał na tajemne, nieprzerwanie kapiące krople w ciemnym kącie, jak gdyby zazdrościł im ich spokoju. Czas sączył się leniwie. Obydwa obrazy oddaliły się od siebie.

Kamyki w dole zagrzechotały i ostatni jęzor wody wślizgnął się do rozpadliny. Spuścił głowę i spojrzał w dół, omijając pas ratunkowy, przez rozpięty sztormiak - tam, gdzie w kącie leżały mokre kamyki. Dostrzegł też swoje pończochy i myślami wsunął w nie stopy.

- Szkoda, że nie mam swoich butów.

Ostrożnie przesunął prawą stopę, tak ustawiając lewe kolano, by bez trudu mogło znieść ciężar jego ciała. Zauważył, że jego stopy dość wybiórczo traktują rzeczywistość. Czuły skałę tylko dlatego, że była ostra. Gdy tracił je z oczu lub gdy nie czuł w nich bólu, przestawały być częścią jego ciała.

Warkocz jednej z fal dotarł aż do samego kąta i uderzył z pluskiem w czubek skały. Cienki język piany wdarł się między jego nogi, ominął pas ratunkowy i zmoczył mu twarz. Wydał dźwięk i dopiero wtedy stwierdził, w jak opłakanym stanie znajduje się owo ciało, które na sobie nosi. Dźwięk począł się w gardle, zabulgotał i ugrzązł. Usta były poza tym rozwarte, a zuchwa spoczywała bezwładnie na twardym kołnierzu sztormiaka. Gdy bulgot się nasilił, zacisnął zęby. Słowa splątały się między nimi a zamrożoną materią górnej wargi.

- Jak trup!

Kolejna fala dotarła do środka i rozprysnęła się, moczając mu twarz. Wytężył wszystkie siły i rozpoczął wspinaczkę. Tak długo przesunął się po nieregularnej powierzchni skalnej ściany, aż dotarł tam, gdzie nie było już skałoczepów i mały i nic nie przywierało do skały prócz jego własnego ciała i maleńkich pąkli oraz plamek wodorostów. Wiatr nieustannie wpychał go w rozpadlinę, a do jego uszu docierały oderwane dźwięki szumiącego morza.

Rozstęp zwęził się i jego głowa wychynęła przez otwór, niewiele szerszy od jego ciała. Wsparłszy się na łokciach, spojrzał w górę.

Ponad najwyższą częścią rozstępu skała rozszerzała się, tworząc komin. Jego ściany nie były zupełnie gładkie, lecz wystarczająco, by ciało ześlizgiwało się z jego powierzchni.

Biegły ukośnie do szczytu skały jak dach. Długość drogi od jego twarzy do przypominającego klif górnego brzegu komina równała się dwóm długościom człowieka. Powoli zaczął obracać głowę, szukając uchwytów, lecz nie dostrzegł żadnego. Jedynie w połowie drogi znajdowało się zagłębienie, zbyt jednak płytkie. Chwyty zmartwiałych palców na zaokrąglonej krawędzi nie byłyby zbyt pewny.

Z kąta na dole doszedł go głuchy dźwięk. Wpadł tam z hukiem zwał wody, rozprysnął się i spłynął. Zerknął w dół, omijając wzrokiem pas ratunkowy, w przestrzeń między stopami. Kamyki były coraz mniej wyraźne, wyłaniały się tylko na krótką chwilę, by zaraz zniknąć pod grzywą zielonej wody. Rozpylona ciecz wpadła między jego ciało a skałę.

Podciągnął się, aż ciało od pasa wsparło się o powierzchnię stoku. Stopy odnalazły zagłębienia, gdzie wcześniej spoczywały jego łokcie. Kolana powoli się rozprostowały. Ciężko chwytając powietrze, wyciągnął przed siebie rękę. Palce zacisnęły się na zaokrąglonej krawędzi wgłębienia. Pociągnął.

Wyjął jedną stopę z zagłębienia i podgiął kolano. Poruszył drugim.

Zawisł zaledwie kilka cali od szczytu, trzymając się jedną ręką i przywarcieniem ciała. Palce prawej ręki zdrząły i puściły. Ześlizgnęły się z zaokrąglonego brzegu. Ciało zjechało w dół, zatrzymując się znów w górnej części rozpadliny. Leżał bez ruchu, nie widząc skały, z wyprostowaną prawą ręką skierowaną w górę.

Morze zajmowało rozpadlinę. Co kilka sekund fale powracały z głuchym łoskotem. Na powierzchnię znajdującego się przed nim komina spadały ciężkie krople i spływały strumyczkami w dół. Po gwałtownej eksplozji jednej z fal strugi wody bryznęły na jego nogi. Oderwał twarz od skały, a grymas stoczył walkę ze sztywnymi mięśniami.

- Jak skałoczep.

Przez chwilę, skulony, leżał na szczycie rozpadliny. Kamyki już przestały pojawiać się w kącie. Były zaledwie rozedrganym wspomnieniem samych siebie pośród kolejnych wyprysków piany. Potem znikły, z nimi znikła skała, a następna eksplozja wody zmoczyła go od stóp do głów. Strząsnął ją z twarzy. Spoglądał w dół na rozpadlinę, jak gdyby woda wcale się nie liczyła.

Wykrzyknął:

- Jak skałoczep!

Opuścił stopy, wymacał występy i zniżył się z rozmysłem, przywierając do skały za każdym razem, gdy woda biła weń i cofała się. Wstrzymywał oddech, a po odejściu fali odpluwał wodę. Nie było w niej już zimna, lecz raczej moc. Im bardziej obniżał swe ciało ku kamykom, tym silniejsze otrzymywał ciosy i tym większy ciężar ścigał go za każdym razem

w dół. Puścił występy i gdy tylko osunął się kilka ostatnich cali, fala pochwyciła go i cisnąwszy brutalnie w kąt, próbowała porwać ze sobą. Gdy stawał chwiejnie na nogi między wtargnięciem jednej a drugiej fali, woda nad kamykami sięgała mu do kolan, a same kamyki przesuwały się nieustannie. Upadł na czworaki i skrył się w zielonej masie, która uderzyła w dolną część kąta i wybijała w górę jak pianisty pień drzewa. Dotarł chwiejnie do kąta i uchwycił go dłońmi. Woda szarpała nim, lecz nie ustępował. Wyciągnął nóż i otworzył go. Dał nurka i natychmiast przed jego oczami pojawiły się wizje skały i wodorostów. Ryk morza zgasł śpiewną nutą w jego uszach. Potem znów się wynurzył, ze zwisającym swobodnie nożem i dwoma skałoczepami w ręce, a morze przewróciło go do góry nogami. Znalazł skałę i przywarł do niej, broniąc się przed porywającym go wirem. Gdy fale zostawiały go na chwilę w spokoju, otwierał usta i dyszał ciężko, jak gdyby zdobywał nowe terytorium. Znalazł uchwyty w kacie, a morze wybuchło, próbując cisnąć go w górę tak, że musiał wyteńczyć wszystkie siły, by utrzymać się na dole. Po każdym ciosie rozpląszczał się na skale, usiłując się przeciwstawić spływającej wodzie. W miarę jak się unosił, bezmiar wód tracił swój ołowiany ciężar, lecz stawał się bardziej zindywidualizowany i zajadły. Woda szarpała go za ubranie, uderzała w krocze, wydymała sztormiak, zawijając jego poły powyżej pasa. Gdy spoglądał w dół, trafiała go prosto w twarz lub waliła w bebechy i szarpała w górę.

Fale uniosły go i przepchnęły gwałtownie przez najwęższą część rozpadliny. Gdy woda się cofnęła, otworzył oczy i odetchnął pośród piany spływającej po twarzy. Do nasady nosa przykleił się kosmyk włosów - widział jego rozdwojony koniuszek. Znów uderzył go spadający strumień, po czym spłynął gwałtownie, a on pozostał na swoim miejscu, wbity całą masą w najwęższą część rozpadliny. Całe jego ciało drżało. Położył się na zboczu i zaczął rozprostowywać nogi. Jego twarz przesunęła się po skale; obmyła go fala. Zaczął gmerać w zakamarkach sztormiaka. Wyciągnął jednego skałoczepa i umieścił go na skale obok nadgarstka. Znów pojawiła się woda i odeszła. Odwrócił nóż i postukał skałoczepa rękojęścią. Małż przechylił się lekko i przyssał do kamiennego podłoża. Nagle przygniótł ich jakiś ciężar, a człowiek i skałoczep przywarli razem do skały.

Jego nogi były sztywne i wyprostowane, a oczy zamknięte. Poprowadził prawe ramię szerokim łukiem i zaczął macać nad głową. Znalazł łagodne wgłębienie, zbyt gładkie, by nadawało się na uchwyt. Ręka wróciła, zanurzyła się w wodzie i poczęła po omacku przeszukiwać sztormiak. Wyciągnął ją i gdy powędrowała w górę, w dłoni tkwił drugi skałoczep. Mężczyzna przypatrywał się skale z odległości cala lub dwóch, lecz bez zainteresowania. Całe życie, jakie w nim pozostało, skupiło się w pełznącej prawej ręce. Odnalazł niewielkie wgłębienie i umieścił skałoczepa za jego brzgiem. Ciało uniosło się o

kilka cali i spoczęło bez ruchu, czekając na powrót wody. Gdy przetoczyła się przez niego kolejna kaskada, ręka wróciła, ujęła nóż, uniosła się lekko i uderzyła po omacku w skałę. Palce wznowiły nieporadne poszukiwania, odnalazły małża i uderzyły go rękojęścią noża.

Odwrócił twarz, przetrwał kolejną falę i zadumał się nad umieszczonym w górze skałoczepem. Jego ręka puściła nóż, który wysunął się, zabrzączał i zwisał bezwładnie u pasa. Wyjął wężyk i odkręcił końcówkę. Powietrze uciekło, a jego leżące w lejku ciało nieco się spłaszczyło. Położył głowę na skale i znieruchomiał. Mokra powierzchnia w pobliżu jego ust była lekko zamazana, nabierając ostrości wraz z powrotem kolejnej kaskady wód. Co pewien czas rozlegał się brzęk zwisającego noża.

Znów odwrócił głowę i spojrzał w górę. Palce zacisnęły się na skorupie małża. Teraz poruszyła się jego prawa noga. Jej palce z drzeniem macały w poszukiwaniu pierwszego skałoczepa, podczas gdy palce ręki szukały drugiego. Jednak nie znalazły go - zrobiło to kolano. Ręka zluzowała uchwyt, opuściła się do kolana i podciągnęła nogę. Grymas ukryty za zeszywniałą twarzą odczuł skałoczepa jako ból w zgięciu kolana. Zęby się zwarły. Całe ciało zaczęło się kręcić; dłoń znów powędrowała do wyższego skałoczepa i pociągnęła. Mężczyzna przesuwiał się w górę jak po stromiźnie dachu. Lewa noga weszła w zagłębienie, a stopa w pończosze wypchnęła pierwszą stopę. Bok stopy znów dotykał skałoczepa. Noga wyprostowała się. Wróciła kolejna fala i spłynęła po skale.

Mężczyzna leżał wsparty jedną stopą o skałoczepa, utrzymywany tam głównie przez tarcie. Lecz jego stopa spoczywała na skałoczepie, a drugiego widział nie opodal swoich oczu. Wyciągnął rękę do góry i znalazł uchwyt dla palców, wystarczający pod warunkiem, że druga utrzyma się na skałoczepie przy jego twarzy. Wspinał się coraz wyżej, wyżej, wyżej, aż wymacał krawędź dla palców. Uniósł ramię i chwycił. Podciągał się oboma rękami, odpychał oboma nogami. Poniżej krawędzi dostrzegł skalny rów, mignęło mu morze, biel na skałach i kotłowanina wód. Rzucił się do przodu.

3.

Leżał w rowie. Widział zwietrzałą ścianę skalną i długi, ginący w oddali zbiornik wodny. Jego ciało znajdowało się w jakimś innym miejscu, nie mającym nic wspólnego z całym otoczeniem. Było zwichnięte, rozrzucone gdzieś za nim, nogi w dwóch różnych światach, szyja wygięta. Prawe ramię zgięte pod ciałem, to samo nadgarstek. Wyczuwał rękę i silny ucisk kłykci na żebra, lecz ból nie był aż tak wielki, by uzasadniać tytaniczny wysiłek wykonania jakiegokolwiek ruchu. Lewa ręka leżała wzdłuż rowu i była do połowy zanurzona w wodzie. Odległość jego prawego oka od wody była tak niewielka, że napięcie powierzchniowe sprawiało lekki ból przy mruganiu, a cienka warstwa wody chwyciła go za rzęsy. Gdy ujrzał ją w pełni świadomie, jej powierzchnia zdążyła się już uspokoić, lecz jego prawy policzek i kącik ust były cały czas zanurzone, powodując drżenie. Drugie oko znajdowało się nad wodą i spoglądało na rów. Jego dno było brudnobiałe, z dziwnej bieli, w której błyszczał odbłask nieba. Poczł ukłucie w kąciku ust. Od czasu do czasu powierzchnia wody pokrywała się na chwilę dołkami, a z każdego dołka rozchodziły się nachodzące na siebie kręgi. Przyglądało się im lewe oko, obserwując je spoza mrocznego łuku, gdzie czaszka zataczała kręgi wokół oczodołu. U dołu, prostą linią, ciągnął się jego nos. Łuk wypełniała lśniąca woda.

Zaczął powoli myśleć.

Sturlałem się do rowu. Moja głowa utknęła w dalszym krańcu, a szyja jest wygięta. Moje nogi na pewno są gdzieś wyżej, przerzucone przez skałę. Czuję ból w udach, ponieważ pod ciężarem nóg wbijają się w krawędź skały. Palce prawej stopy bolą bardziej niż pozostała część nogi. Leżę na zagiętej ręce i dlatego czuję wyraźny ból w okolicach żeber. Moje palce mogłyby właściwie być drewniane. Ta bielsza biel tam pod wodą to moja ręka, ukryta.

W powietrzu rozległ się krzyk, skrzeczenie i łopot skrzydeł. Jakaś mewa hamowała powoli przy ścianie na końcu rowu, z rozcapierzonymi łapami i szponami. Nad rowem rozbrzmiał jej gniewny wrzask, szerokie skrzydła wykonały zadanie i mewa zawisła stopę lub dwie nad skałą. Poczł chłodny powiew na policzku. Połączone błonami palce łapek uniosły się, ruch skrzydeł się uspokoił i mewa odleciała. Jej nagłe pojawienie się wzburzyło nieznacznie białą wodę uderzającą o jego policzek, zamknięte oko i kącik ust. Ukłucia przybrały na sile.

Ból nie doskwierał aż tak, by popchnąć do działania. Nawet ukłucia były gdzieś poza jego głową. Lewe oko obserwowało bielszą biel dłoni pod wodą. Wróciło kilka obrazów z przeszłości. Wśród nich nowe, przedstawiające mężczyznę, który wspina się po skale i

umieszcza tam skałoczepy. Obrazy te poruszyły nim żywiej niż ukłucia bólu. To przez nie lewa ręka skurczyła się pod wodą, a rękaw sztormiaka zafalował. Oddech zniemacka stał się gwałtowny, tworząc zmarszczki na powierzchni wody, które odbiegły od niego i wróciły. Jedna z nich wpłynęła mu z pluskiem do ust.

Natychmiast przez ciało przebiegł skurcz i zaczął walczyć. Nogi kopały i rzucały się na boki. Głowa kręciła się, trąc o skałę. Wymachiwał w białej wodzie oboma rękami, podnosząc się nieco. Czuł ślisko-gładką wilgotność spływającą z twarzy i ukłucie bólu w kąciuku oka. Odplunął, a twarz wykrzywił mu grymas. Krótkim spojrzeniem obrzucił rowy pokryte grubą warstwą brudnej bieli, uwięzione tam odrobiny jakichś płynów i mewę krążącą nad zielonymi wodami. Jął się z wysiłkiem posuwać naprzód. Wpadł do następnego rowu, wspiął się po ścianie, dostrzegł kupę potrzaskanych skał, pośliznął się i potknął. Zsuwał się, a chwilami nawet spadał. Wokół dość płaskich skał krążyła woda. Splątany świat wodorostów. Wiatr posuwał się w tym samym kierunku i przynaglał go, by nie ustawał w drodze. Dopóki mu ulegał, wiatr był zadowolony, lecz wystarczyła chwila, krótki przystanek, a ciskał jego niepewnym ciałem z wielką siłą, wydając na uderzenia i szarpnięcia skały. Nie ogarniał wzrokiem ani otwartego morza, ani nieba, ani skały, lecz tylko mgnienia znajomych mu przejawów bytu, jakieś pęknięcie lub punkt, skrawek żółtawej powierzchni, która miała wymierzyć mu cios, niemożliwe do uniknięcia pięści skał, uderzające go obojętnie, wykrzesujące z jego ciała iskierki światła. Spadając, ciągnął za sobą ból w kąciuku oka. Ten ból był najważniejszy, gdyż wbijał się igłą w zamieszkiwaną przez niego ciemną czaszkę. Tego bólu nie dało się uniknąć. Całe jego ciało krążyło wokół niego. Po chwili miał w rękach brązowe wodorosty, a morze obmywało jego głowę i ramiona. Podciągnął się i legł na gładkiej skale, przeciętej w środku kałużą. Pod wodą część jego twarzy i oko krążyły tam i z powrotem. Gdy poruszył łagodnie rękami, dał się słyszeć szmer wody. Dłonie wynurzyły się i obmacaly otoczenie, zbierając ślady zielonych wodorostów.

Dźwignął się na kolana i przytknął tę zieleń do oka i prawej strony twarzy. Potem znów opadł na skałę, pomiędzy meduzy, wypełnione muszelkami zagłębienia i obozowiska skałoczepów, pozwalając ranić się zaskorupionym pajdom. Lewą rękę umieścił delikatnie na udzie i zerknął na nią z ukosa. Palce były na wpół zgięte. Przez białą skórę prześwitywał błękit, a cała ich powierzchnia pocięta była regularnymi liniami zmarszczek. Igła dosięgła go ukrytego za ciemnym łukiem czaszki. Gdy poruszał okiem, igła robiła to samo. Otworzył oko i natychmiast zalała je woda spod zielonych wodorostów.

Zaczął prychać i wydawać dźwięki powstające gdzieś głęboko w piersi. Były to twarde grudki dźwięku, które szarpały nim, wychodząc na zewnątrz. Z oczu wypłynęła

kolejna porcja słonej wody, łącząc się ze śladami morza i płynu pokrywającego jego policzki. Całe ciało opanowało drzenie.

Nieco dalej był występ w skale, a w nim głębszy zbiornik. Zsunął się wolno i z wysiłkiem, położył się w poprzek i znowu zanurzył swój prawy policzek. Otwierał oko i zamykał, a woda obmywała bolesny kącik. Pojawiające się w pamięci obrazy odeszły tak daleko, że można je było zignorować. Pomacał dłońmi wokół siebie i zanurzył je w wodzie. Od czasu do czasu jakiś twardy dźwięk podrywał całe jego ciało.

Ta sama mewa wróciła teraz z towarzyszkami, a ich nakładające się na siebie krzyki znaczyły ślad ich lotu nad jego głową. Również od morza dochodziły dźwięki - mokre bulgoty gdzieś poniżej jego ucha i regularny, głuchy łoskot fal, które - choć tłumione przez masyw skały - wciąż były w stanie ją ominąć i posłać pieniste odnogi w międzyskalne zagłębienia. Myśl, że musi zlekceważyć swój ból, pojawiła się i rozsiała w centrum jego świadomości, tak iż nie sposób było udawać, że jej tam nie ma. Otworzył oczy, nie zważając na igłę, i spojrzał w dół na swoje zbiele ręce. Zaczął mamrotać:

- Schronienie. Muszę znaleźć schronienie. Jeśli tego nie zrobię, zginę.

Odwrócił ostrożnie głowę, obrzucając spojrzeniem drogę, którą przebył. Pojedyncze części skalne, które uderzały weń, gdy spadał, teraz składały się w całość. Jego oczy obejmowały każdorazowo po kilka jardów, powierzchnie wynurzające się w miarę jak ostrze igły wykłuwało zeń wodę. Raz jeszcze spróbował wspiąć się po skale. Wiatr nieco osłabł, choć ciągle jeszcze opadały na niego strugi deszczu. Wydźwignął się na niewysokie urwisko, stanowiące przeszkodę, której pokonanie wymagało namysłu i wydania oddzielnych dyspozycji dla poszczególnych kończyn. Leżał przez chwilę na szczycie niewielkiego urwiska, obserwując wodne strzępy dochodzące aż do górnych części skały. Słońce tkwiło tuż ponad jej wyższą częścią, gdzie czekały na niego białe rowy. Światło zmagало się z chmurami, rozrzedzonym deszczem, a wokół skały kołowały jakieś ptaki. Słońce, choć niewyraźne, zbierało wodę z jego oczu, więc zmrużył je i nagle krzyknął głośno pomimo kłującej go igły. Czołgając się przez pozbawione bieli rowy i wyżłobienia, polegał tylko na dotyku, a potem jednym oku. Podnosząc nogi nad splekanymi ścianami rowów, odnosił wrażenie, iż należą one do jakiegoś innego ciała. Natychmiast też, wraz z zelżeniem bólu w oku, ogarnął go ziąb i wyczerpanie. Położył się na wznak w wyżłobionej rozpadlinie, przestając się troszczyć o ciało. Przywarł do niego straszliwy chłód, był wewnątrz ubrań i pod skórą.

Chłód i wyczerpanie odezwały się doń wyraźnie. "Zaprzestań walki" - mówiły. - "Leż spokojnie. Przestań liczyć, że kiedyś powrócisz, że będziesz żyć. Poddaj się, ustąp. W tych

białych ciałach nie ma ani powabu, ani podniecenia. Twarze, słowa - to wszystko przydarzyło się komuś innemu, gdzieś indziej. Godzina na tej skale to całe życie. Cóż masz do stracenia? Tu nie ma nic, prócz udręki. Poddaj się. Ustąp".

Jego ciało znów zaczęło pełznąć. Nie była to reakcja mięśni czy nerwów, które nie pozwalały się zgnieść; wynikało to z tego, że głosy bólu uderzały weń jak fale bijące w burty okrętu. W samym środku tych obrazów, bólów i głosów tkwiło zjawisko jak stalowa sztaba - coś, co tak niewątpliwie było centrum wszystkiego, że nie mogło zbadać nawet samego siebie. Wśród mroków czaszki, istniało, mroczniejszy mrok, samoistne i niezniszczalne.

- Schronienie. Muszę znaleźć schronienie.

We wnętrzu zawrzało. Pomimo ukłuć igły rozejrzało się na boki, zebrało myśli. Doszło do wniosku, że musi pełznąć raczej tam niż gdzieś indziej. Odrzuciło chyba z tuzin dostrzeżonych miejsc, obserwując teren przed pełznącym ciałem. Uniosło świetliste okno pod łukiem, przechyliło sklepienie czaszki z jednej strony na drugą, co przywodziło na myśl niespieszny ruch głowy gąsienicy, próbującej złapać się nowego liścia. Gdy ciało znalazło się w pobliżu ewentualnego schronienia, głowa wciąż obracała się to w jedną, to w drugą stronę, poruszając się szybciej niż powolne myśli w jej wnętrzu.

Od ściany rowu odpadła płyta skalna i osunęła się w dół. W ten sposób między ułomkiem skały, ścianą rowu i jego dnem powstała trójkątna dziura. Był tam tylko ślad deszczowej wody i ani odrobiny bieli. Dziura biegła w dół zgodnie z linią rowu, a w jej wnętrzu panował mrok. Nawet zdawała się bardziej sucha niż reszta skały. Wreszcie jego głowa znieruchomiła i położył się pod tą dziurą, podczas gdy słońce powoli kryło się za widnokrzem. Zaczął obracać swe ciało wewnątrz rowu, pośród plątaniny nasiąkniętego wodą ubrania. Nie odzywał się ani słowem, lecz dyszał ciężko z otwartymi ustami. Powoli obracał się tak, by jego białe pończochy mierzyły w rozpadlinę. Leżąc tyłem do trójkątnej dziury, wsunął tam obie stopy. Potem położył się na brzuchu i zaczął się wić falistym ruchem, jak wąż nie mogący zrzucić swojej skóry. Jego oczy były otwarte i niewidzące. Sięgnął ręką i obciągnął sztormiak oraz bluzę po obu bokach. Sztormiak był twardy, a on wsuwał się, wykonując nieskończoną serię maleńkich ruchów, zupełnie jak homar wciskający się tyłem do głębokiej rozpadliny pod wodą. Tkwił w dziurze aż po ramiona, w mocnym uścisku skały. Wygiął pas ratunkowy, by miękka guma biegła wokół klatki piersiowej. Leniwe myśli rodziły się i zamierały, a oczy, poza wodą wypływającą z igły w prawym oku, świeciły pustką. Wymacawszy ręką wężyk, zaczął dmuchać, aż pas stwardniał. Skrzyżował ramiona, układając białe dłonie po obu stronach. Lewym policzkiem opadł na rękaw sztormiaka i zamknął oczy - nie zacisnął ich, lecz lekko przymknął. Usta wciąż były szeroko otwarte, dolna szczęka

zwisła. Co pewien czas z rozpadliny wydobywało się drżenie, na co reagowały jego ramiona i głowa. Woda powoli wyciekała z rękawów, spływała z włosów i nosa, kapała z pomarszczonego wokół szyi ubrania. Oczy otwały się na oścież, podobnie jak usta, gdyż tak łatwiej było kontrolować igłę. Tylko wtedy, gdy mrugał oczami, do których wpadała woda, klucie wracało na swoje miejsce.

Widział mewy kołyszące się nad skałą, krążące coraz niżej. Siadały z krzykiem na czubku skały, z uniesionymi głowami i sztywnymi językami w rozwartych szeroko dziobach. Niebo poszarzało, a wody zaczęły dymić. Ptaki krzyczały i potrząsały skrzydłami, składały je jedno na drugie i sadowiły się na skale jak białe kamyki, moszcząc wygodnie głowy. Szarówka zgęstniała w mrok, w którym widać było tylko kilka ptaków i plamy ich odchodów wyglądających jak białe łaty piany na wodzie. Rowy wypełniała ciemność, gdyż w dole, przy jego schronieniu, nie było brudnej bieli. Wśród nich majaczyły skały. Wiatr dmuchał chłodno i miękko nad największą z nich, a jego niewidzialny, łagodny strumień powodował nieustający, ledwie słyszalny syk. Co pewien czas jakaś fala wpadała z łoskotem w skalny kąt. Potem, po krótkiej przerwie, słychać było trzepot wody wlewającej się przez komin.

Mężczyzna leżał w rozpadlinie, skulony, wtulając lewy policzek w czarny nieprzemakalny rękaw, a z obydwu stron widniały połyskujące plamy jego rąk. Od czasu do czasu, gdy przez ciało przebiegało drżenie, rozlegało się skrzypienie sztormiaka.

4.

Mężczyzna tkwił w dwóch rozpadlinach. Najpierw była skała, zamknięta i nie ciepła, choć przynajmniej nie chłodna chłodem morza czy powietrza. Skała była niebytem. Unieruchamiała jego ciało tak, że tłumiła przebiegające przez niego drzenie; nie kołała jednak, wchłaniała. Niemal w całym swym ciele odczuwał ból, lecz ból jakby odległy, który można było pomylić z ogniem. W jego stopach tlił się słaby płomień i nieco silniejszy w każdym kolanie. Dostrzegał ten płomień oczyma duszy, gdyż jego ciało było drugą i wewnętrzną rozpadliną, w której zamieszkiwał. Tak więc pod każdym kolaniem pełgał niewielki płomień, pożerający kilka skrzyżowanych patyków i pracowicie trzaskający, jak ogień, który zapala się pod konającym wielbłądem. Lecz mężczyzna był inteligentny. Zniósł te płomienie, choć zamiast ciepła przynosiły mu jedynie ból. Trzeba było je znieść, gdyż powstanie na nogi wiązałoby się jedynie z jeszcze większym bólem - większą liczbą patyków i większym żarem ogarniającym całe ciało. On sam znajdował się na dalekim krańcu tej wewnętrznej rozpadliny ciała. Na owym dalekim krańcu, z dala od płomieni, spoczywała masa jego samego, w pasie ratunkowym, który poruszał się z każdym jego oddechem. Poza tą masą znajdował się okrągły, kościany glob świata wraz z nim samym zawieszony gdzieś w jego wnętrzu. Jedna połowa tego świata płonęła, podczas gdy drugą skuwał lód, a wszystkiemu towarzyszył bardziej równomierny i znośny ból. Tylko gdzieś w górnej połowie tego świata pojawiało się czasami ukłucie jak olbrzymia wężąca za nim igła. Wtedy czynił sejsmiczne skręty całych kontynentów po tej stronie, a ukłucia stawały się częstsze i już nie tak głębokie, w wyniku czego zmieniała się natura tej części globu. W przestrzeni pojawiały się ciemne i szare kształty oraz plama galaktycznej bieli, będąca - z czego niejasno zdawał sobie sprawę - połączoną z nim ręką. Całą drugą połowę globu okrywał mrok i ona w niczym mu nie przeszkadzała. Unosił się we wnętrzu tego globu, jak nasiąknięte wodą ciało. Znał aksjomat istnienia, mówiący, że gdy tak unosi się na wodzie, musi się cieszyć z najdrobniejszych przejawów współczucia. Wszystkie odrośla, z którymi był połączony, ich odległe, wolno tłące się ognie, ich obcegi i koła tortur, były na szczęście dostatecznie daleko. Gdyby tylko mógł utrafić w jakiś szczególny tryb biernego istnienia, osiągnąć niezmiernie delikatną równowagę wewnętrzną, może dzięki naturze drugiej rozpadliny unosiłby się, nieruchomo i bez bólu, w samym centrum tego globu. Czasami był bliski celu. Malał, a glob się rozrastał tak, że płonące odrośla stawały się częściami odrębnych kosmosów. Jednakże wszechświatem tym targały wstrząsy, poczynające się gdzieś w oddali i nadpływające jak fale. A potem na powrót

rósł, wypełniając sobą każdy zakątek, przesuwał napięte w krzyku nerwy nad płomieniem ognisk, i rozdymał się, wypełniał cały glob, a igła, przebijając boleśnie kącik oka, ginęła w mrokach jego głowy. Jak przez mgłę widział jedną białą dłoń, czując bezustanne ukłucia bólu. Potem powoli powracał do centrum globu, kurczył się i unosił bezwładnie w środku mrocznego świata. To przerodziło się w rytm, niezmienny, otrzymany w spadku po stuleciach.

Obrazy zdarzeń, w których brał udział on, lub inni, nie pozostawały bez wpływu na ów rytm, choć nie naruszały jego zasady. W porównaniu z jego ogniskami płonęły nagłym blaskiem. Były tam fale większe niż jego wszechświat, a wśród nich unosiła się szklana figurynka marynarza. W neonowym błysku był pewien porządek. Była tam kobieta, tym razem nie jedno z białych ciał widzianych ze szczegółami, lecz z twarzą. Był tam mrok i nieczułość płynącego przez noc okrętu, wznoszący się pokład, powolne pochylenie i warkot. Szedł przez pomost bojowy w kierunku kolumny kompasu i jego słabego światła. Słyszał, jak Nat opuszcza lewoburtowe stanowisko obserwacyjne, jak schodzi po drabinie. Zorientował się po odgłosach, że ma on na nogach zwykłe buty, nie żeglarskie czy też płócienne z gumowymi cholewami. Nat z babską uwagą opuszczał swoje długie, pajęczko niezgrabne ciało; po tylu miesiącach nie potrafił ani się ubrać jak trzeba, ani schodzić po drabinie jak prawdziwy marynarz. Świt zastał go drżącego w niewłaściwym stroju - odstraszał go używany w mesie język, był jej pośmiewiskiem, pokornym, posłusznym i nie nadającym się do niczego.

Spojrzał krótko na horyzont za prawą burtą, a potem tam, gdzie płynął konwój - jednostki stawały się powoli widoczne w jaśniejącym świetle dnia. Przecinały horyzont jak gromada ponurych żelaznych ścian, na których teraz widać było długie, rozmyte, rdzawe łyzy.

Jednakże Nat posuwał się nieporadnie w kierunku rufy, marząc o pięciu minutach samotności przy relingu i spotkaniu ze swymi eonami. Szedł niepewnie ku wyrzutni bomb głębinowych na prawej burcie nie dlatego, że wołał tę stronę od lewego nadburcia, lecz po prostu dlatego, że zawsze tam chodził. Gotów był znieść silny wiatr i smród silnika, osobliwy brud i zaniedbanie niszczyciela, ponieważ był z dala od samego życia z wszystkimi jego dotykami, smakami, obrazami, dźwiękami i zapachami. Znosił to wszystko, aż przyzwyczajenie uczyniło go obojętnym. Tu, w Royal Navy, nigdy nie stanie mocno na nogach, gdyż te jego wielkie nogi zawsze były gdzieś daleko, jakby przypadkowo tylko przymocowane do tego ciała, podczas gdy mieszkający we wnętrzu człowiek modlił się, czekając na spotkanie ze swymi eonami.

Oficer wachtowy odliczał czas do kolejnego zwrotu. Uważnie przyjrzał się wskazówce sekundowej.

- Ster prawo piętnaście.

Na lewo od dziobu *Wilbeeste* również skręcał. W zielonym świetle widać było skłębioną wodę pod jego rufą, tam, gdzie ster odbił. Gdy pomost przechylał się pod jego stopami, rufa *Wilbeeste* zdawała się zmieniać położenie, aż wreszcie okręt ustawił się równolegle przed trawersem.

- Ster zero.

Wilbeeste wciąż skręcał. Złączony podeszwami stóp, za pośrednictwem stalowego pokładu, z długim, drżącym ciągiem modrych wód, mógł dokładnie obliczyć stopień przechyłu okrętu na lewą burtę w czasie zwrotu. Lecz zachowanie wody było trudne do przewidzenia. Gdy skręcał o ostatnie kilka stopni, dostrzegł, jak szara hałda, siódma fala, przelewa się przez jego dziób i znika pod spodem. Wprawiona w silne kołysanie rufa zsunęła się z grzbietu fali i teraz, w nagłym przechyle, okręt zszedł już dziesięć stopni z kursu.

- Tak trzymać.

I do diabła z tą cholerną marynarką i z tą cholerną wojną. Ziewnął sennie i ujrzał skłębioną kipieli pod rufą wracającego na właściwy kurs *Wilbeeste*. Ognie na krańcu tej drugiej rozpadliny zapłonęły, igła zakłuła i na powrót znalazł się w swoim ciele. Ognie znów przygasły w swoim zwykłym rytmie.

Niszczyciele w osłonie jednocześnie zawróciły. W przerwach między rozkazami wsłuchiwał się w drżący świst azdyka³. Robiło się coraz jaśniej. Grupa statków handlowych sunęła naprzód z prędkością sześciu węzłów, a niszczyciele jak forysie oczyszczały im drogę, omiatając morze swymi niewidzialnymi miotłami, zmieniając jednocześnie kurs, idealnie zgrane.

Usłyszał za sobą kroki i zakrzętnął się, próbując ustalić położenie okrętu, gdyż mógł to być kapitan. Ze szczególną uwagą sprawdził położenie *Wilbeeste*. Lecz krokom nie towarzyszył głos.

Odwrócił się jak gdyby nigdy nic i ujrzał podoficera Roberta - salutującego.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, panie poruczniku.

- No i cóż tam? Skombinowaliście jakiegoś szczeniaczka?

³ Azdyk (lub asdic) - hydrolokator akustyczny (skrót od Allied Submarine Detection Investigation Committee).

Blisko osadzone oczy pod daszkiem lekko stężyły, lecz same usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Mogłem, sir... - A potem szybka kalkulacja, korzyść dla siebie, szeroki uśmiech. - Ostatnio coś jakoś kiepsko u mnie z rumem. Ale jeśli tylko...

- W porządku, dzięki.

I co teraz? Pochwała na piśmie? Wniosek o awans? Coś niewielkiego i bez przesady?

Lecz podoficer Roberts miał swój głęboko ukryty plan. Bez względu na to, co to było i dokąd mógł prowadzić ów skomplikowany system zobowiązań, teraz nie wymagało to odeń niczego poza wdzięczną opinią o jego rozsądku i zrozumieniu.

- Chodzi mi o Waltersona, panie poruczniku.

Pełen zaskoczenia śmiech.

- O mojego starego przyjaciela Nata? A cóż on takiego robi? Chyba nie zasłużył sobie na pakę, co?

- Och nie, panie poruczniku, nic takiego. Tylko że...

- Co?

- No cóż, niech pan teraz spojrzy, sir. Na rufie, po prawej stronie.

Podeszli razem do prawego skrzydła pomostu bojowego. Nathaniel wciąż kontaktował się z eonami, stopy wsparte o centex, kościsty zad na relingu tuż za wyrzutnią. Twarz kryła się w rękach, a jego nienaturalnie długie ciało chwiało się zgodnie z ruchem fal.

- Idiota.

- To mu się zdarza zbyt często, sir. - Podoficer Roberts podszedł bliżej. Łgarz. Czuć go było rumem. - Mogłem go wsadzić za to do paki, ale pomyślałem sobie, że skoro to pański przyjaciel z cywila... - Urwał.

- W porządku. Sam powiem mu kilka słów.

- Dziękuję, sir.

- To ja dziękuję.

- Nie zapomnę o szczeniaczku, sir.

- Dzięki.

Podoficer Roberts zasalutował i znikł mu z oczu. Zszedł po drabince.

- Ster lewo piętnaście.

Samotność, ogień pod kolanami i kłująca igła. Samotność nad pokładem, gdzie lufa pelotki unosiła się nad centexem. Uśmiechnął się do siebie ponuro i odtworzył wewnątrz głowy Nathaniela. Na pewno spoczął na burcie, pełen nadziei, szukając odosobnienia między obsługą działa i wachtą przy wyrzutni bomb głębinowych. Jednakże dla zwykłego marynarza

nie ma samotności na małych okrętach, jeżeli nie jest dostatecznie zorientowany, gdzie znaleźć sobie jakieś spokojne miejsce. Z pewnością zabłąkał się na rufę, uciekając przez tłuszczą z dziobówki, przed brudem strasznym i tłoczonym do jego umiarkowanej i wietrznej odmiany. Był zbyt głupi, by pojąć, że napchana ludźmi mesa właśnie przez swoje zatłoczenie jest mu w stanie zapewnić swoisty rodzaj odosobnienia, podobny do tego, który można osiągnąć w londyńskim tłumie. Tak więc, modląc się, znosić musiał ponury wzrok marynarzy pełniących wachtę przy wyrzutni bomb głębinowych, przy czym nie pojmował, że patrzą nań tylko dlatego, że nie mają nic innego do roboty.

- Ster zero. Tak trzymać.

Zygzak.

I siedzi teraz i się modli, podczas gdy powinien leżeć zwinięty w kiwającym się hamaku, ponieważ powiedziano mu, że w czasie wachty musi obserwować pewien wycinek morza. Więc obserwował, posłuszny i nic nie rozumiejący.

Mroczny ośrodek głowy obrócił się i ujrzał skulonego obserwatora na lewym oku, kiwającą się antenę radionamiernika, komin z drżącym, rozgrzanym powietrzem i śladami dymu, po czym spojrział w dół na prawą burtę.

Nathaniel wciąż jeszcze tam był. Jego nieprawdopodobny wzrost, tym bardziej niezwykły, że połączony z chudością, czynił z relingu niepewny parapet. Siedział z szeroko rozstawionymi nogami. Jego stopy pozwalały mu się utrzymać na pokładzie za sprawą samego tarcia. Mroczny ośrodek dostrzegł, że Nathaniel odrywa ręce od twarzy, chwyta za reling i wstaje. Zaczął iść przez pokład w kierunku dziobu, na szeroko rozstawionych nogach, z rękami wyciągniętymi dla zachowania równowagi. Jego idiotyczna czapka marynarska leżała równo na czubku głowy, a czarne, kręcone włosy - lekko wyprostowane przez nocną wilgoć - wystawały spod niej ze wszystkich stron. Przypadkowo dostrzegł pomost i poważnie uniósł prawą dłoń w kierunku prawej strony głowy. Nie pozwoliłby sobie na nadmierną swobodę, pomyślał mroczny ośrodek, zna swoje miejsce, równie pokorny w mundurze jak w cywilu, śmieszny, zawsze taki sam.

Jednakże owo krótkie ćwiczenie prawej ręki naruszyło równowagę tej cienkiej postaci; zachwiał się, znów spróbował zaszalutować - bez powodzenia - zamyślił się ciężko, stojąc z szeroko rozstawionymi nogami i rękami. Okręt uniósł się na fali, ręka drgnęła. Powędrowała gdzieś indziej, w kierunku obudowy silnika, dotknęła jej powierzchni, by sprawdzić, czy jest gorąca, uspokoiła się, skręciła ku dziobowi i powoli zaszalutowała w stronę pomostu.

Mroczny ośrodek począł wymachiwać wesoło w kierunku tej rysującej się w perspektywnym skrócie postaci. Nawet z tej odległości widać było zmianę na twarzy

Nathaniela. Pojawiła się na niej radość płynąca z rozpoznania, lecz nie był to ten przyklejony i dopasowany uśmiech, którym uśmiechał się podoficer Roberts pod swoimi zbyt blisko osadzonymi oczami - raczej rodził się spontanicznie gdzieś w przypuszczalnym ośrodku ukrytym za twarzą, świadectwo czystej życzliwości powodującej wściekłą i zarazem radosną zadyszkę. Po tej stronie jakiś wstrząs poruszył spodnie warstwy globu, a igła zaczęła kłuć i szperać w ośrodku, który cały ten czas unosił się bezboleśnie na powierzchni.

Uchwycił się podstawy kompasu i skały i wykrzyknął, pełen bólu i frustracji:

- Czyż nikt nie rozumie, co czuję?

I znów leżał rozciągnięty wzdłuż tuneli wewnętrznej rozpadliny, a ognie w jego ciele płonęły i pryskały.

Naraz wśród gąszczu dźwięków pojawił się jakiś nowy. Wiązał się z tymi nieruchomymi plamami bieli. Stały się wyraźniejsze niż przedtem. Wówczas pojął, że upłynęło już trochę czasu. To, co zdawało się jakimś odwiecznym rytmem, okazało się godzinami mroku, w którym teraz zajaśniało słabe światło, spajające jego osobowość, zakreślające jego granice i pozwalające mu na zachowanie normalności. Tym dźwiękiem było gardłowe kwaknięcie jednej z wysiadujących jaja mew.

Leżał wśród swoich bólów, dumając nad światłem i faktem pojawienia się nowego dnia. Mógł obejrzeć swoją drewnianą lewą rękę, gdyby tylko z dostateczną ostrożnością pomanipulował rozpalonym kącikiem oka. Siłą woli nakazał swym palcom, by się zgięły. Drgnąwszy, skurczyły się. W tym momencie powrócił do nich, stał się człowiekiem wciśniętym głęboko w rozpadlinę nagiej skały. Wiedza i pamięć powróciły we właściwym porządku, przypomniał sobie komin, rów. Stał się rozbitkiem ponad wszelką wątpliwość i odczuł ciężar wszystkich spoczywających na nim obowiązków. Próbował się podnieść, wyciągając ciało z przestrzeni między skałami. Gdy się poruszył, mewy zbudziły się hałaśliwie ze snu, wzbijając się w powietrze. Powracały, podfruwając w jego stronę i wydając głośne okrzyki, po czym znów się oddalały. Nie przypominały mew z zamieszkanymi plaż i wybrzeży, które wystrzegają się ludzi, choć zarazem nie było w nich nic z pierwotnej niewinności nie skażonej cywilizacją natury. Były to mewy czasu wojny, które - natknąwszy się na samotnego człowieka otoczonego zewsząd wodą - z wrogością odnosiły się do ciepła jego ciała i jego powolnych, przypadkowych poruszeń. Zbliżając się doń i wymachując skrzydłami, zdawały się mówić, że lepiej by było, gdyby nie żył, unosząc się na powierzchni wody jak wzdęty hamak. Stał się chwiejnie na nogach i zamierzył się w ich kierunku drewnianymi ramionami.

- Już! Wynocha! Spieprzać!

Uniosły się, hałaśliwie krążąc wokół niego, po czym wróciły, bijąc skrzydłami o jego twarz. Zamachnął się w przerażeniu tak mocno, że jedna z nich opadła, ledwie zdolawszy poruszyć skrzydłem. Wtedy odfrunęły, krążąc i nie spuszczać zeń wzroku. Miały wąskie głowy. Skrzydlate gady. Targnął nim głęboko zakorzeniony wstręt do stworzeń ze szponami, a w ich gładkich kształtach dopatrywać się zaczął dziwności nietoperzy i wampirów.

- Już mi stąd! Co wy sobie myślicie?

Zataczały coraz szersze kręgi. Odleciały w kierunku otwartego morza.

Znów skupił całą uwagę na sobie. Jego ciało zdawało się składać z samych bólów i zeszywnień. Zepsuł się nawet jego system kontrolny, gdyż do każdej z nóg trzeba było specjalnie wysyłać osobny rozkaz, jak gdyby były jakimiś nieporęcznymi, przymocowanymi do jego ciała szczudłami. Złamał szczudła w połowie i podniósł się na nogi. Odkrył wówczas nowe płomienie - małe, wyraźnie bolesne wysepki wśród ogólnego bólu. Ten w kąciku prawego oka był tak blisko niego, że nawet nie musiał go odkrywać. Wstał, opierając się plecami o ścianę rowu, i rozejrzał się wokoło.

Ranek był ponury, lecz wiatr ucichł i woda poruszała się, nie posuwając się naprzód. Zdał sobie sprawę z jednej rzeczy: dźwięku morza, którego marynarz płynący na okręcie nigdy nie słyszy. Był tam łagodny pomruk złożony z rozbryzgów drobnych fal, był nieustanny bulgot i cmoknięcia, od kamiennych młaśnięć aż po pełne zadumy połknięcia. Były tam dźwięki, które zdawało się, że już-już zostaną wyartykułowane, lecz sepleniąc, przechodziły w płynne klaśnięcia jak apetyt⁴. Nad tym wszystkim unosiła się wyraźna nuta, śpiewny syk, miękkie zderzenie powietrza z kamieniem, nieustające, delikatne, nie kończące się tarcie.

Tuż nad nim rozbrzmiał krzyk mewy, a on uniosł ramię i spojrzął pod łokciem, lecz mewa oddaliła się od skały. Gdy ucichł jej krzyk, znów zapanowała łagodność, wymijająca i nie sprawiająca przykrości.

Spojrzął w dół na horyzont i przesunął językiem wzdłuż górnej wargi. Znów się wysunął, dotknął próbnie i zniknął. Przełknął. Oczy otworzyły się szeroko, a on nie zwracał uwagi na ból. Zaczął szybko oddychać.

- Wody!

Jego ciało, podobnie jak w chwili rozpaczliwego kryzysu w wodzie, stało się sprawne i posłuszne. Wygramolił się z rowu i stanął na nogach, które już nie były drewniane. Wspiął się po zwałonych skarpach, które nigdy nie podtrzymywały niczego prócz swego własnego

⁴ Tak w oryginale (przyp. red.).

ciężaru; ślizgał się wśród białych kałuż w rowach, blisko szczytu skały. Doszedł do skraju urwiska, na który przedtem się wspiał, a jakaś zabłąkana mewa wymknęła mu się spod nóg. Obracał się dookoła na obydwu stopach, lecz horyzont był wszędzie taki sam. Jedynym punktem odniesienia była dlań leżąca pod nim skała. Zrobił jeszcze jedno okrążenie.

Wreszcie odwrócił się tyłem do skały i zaczął schodzić, tym razem powoli, od rowu do rowu. Znalazłszy się pod poziomem białych ptasich odchodów, zaczął badać skałę cal po calu. Przykucnął nad jednym z rowów, chwytając się jego niższej części, i obrzucił go serią szybkich spojrzeń, jak gdyby usiłował śledzić lot muszki. Dostrzegł wodę w płaskiej skale, wsparł ręce po obu stronach kałuży i wsunął język do środka. Zaokrąglone usta zacisnęły się wokół języka, próbując ssać. Kałuża zmieniła się w wilgotną plamę na skale. Czołgał się dalej. Dotarł do poziomej rozpadliny po jednej stronie rowu. Pod nią był odrywający się kawałek skały - tam też złapało się trochę wody. Przybliżył czoło do skały, potem przekręcił się tak, by policzek znajdował się ponad pęknięciem, ale wciąż nie mógł dosięgnąć. Napierał z uporem, tarł wargami o skałę, lecz woda wciąż znajdowała się poza jego zasięgiem. Chwycił nadpęknięty kawałek skały i szarpnął go z taką wściekłością, że odpadł. Woda połała się w dół i błysnęła cienką warstwą na dnie rowu. Stał z kawałkiem skały w ręce, a serce łomotało mu z wysiłku.

- Ruszże łbem, stary. Ruszże łbem.

Spojrzał w dół na poszarpany stok skalny. Jego oczy zaczęły metodycznie lustrować skałę. Spostrzegł, że wciąż trzyma w ręce ukraszony kawałek skały, i upuścił go. Przeszukał całą skałę wzdłuż i z powrotem od rowu do rowu. Natrafił na gnijące rybie ości i martwą mewę, której sterczący w górę mostek przypominał stępkę jakiejś opuszczonej łodzi. Znalazł plamy szarych i żółtych porostów, śladowe ilości ziemi, kępkę mchu. Były tam puste muszle krabów, resztki zeschniętych wodorostów i szczypce homara.

Na położonym niżej krańcu skały znajdowały się zagłębienia wypełnione wodą, lecz niestety słoną. Znów wspiał się na stok, zapomniawszy o igle i ogniach. Obmacał rozpadlinę, w której leżał przez całą noc, lecz skała była prawie sucha. Wgramolił się na przewróconą płytę skalną, która przedtem udzieliła mu schronienia.

Płyta składała się z dwóch części. Niegdyś musiała tu być jedna, ogromna, ustawiona na sztorc warstwa skalna, która przetrwała, podczas gdy reszta, wietrzejąc, odpadała. Potem upadła i rozpękła się na dwie części. Większy kawałek leżał w poprzek rowu, na samym skraju skały. Jego część wystawała w kierunku morza, a położony poniżej rów przypominał rynsztok.

Położył się i wsunął się do środka. Chwila przerwy. Potem zaczął podrzucać ogonem jak foka, przemieszczająca się naprzód za pomocą płetw. Opuścił głowę i zaczął ssać. Potem legł nieruchomo.

Miejsce, w którym znalazł wodę, przypominało niewielką jaskinię. Dno rowu opadało łagodnie pod wodą, więc ten kraniec zbiornika był płytki. Miejsca było tyle, że mógł leżeć wsparty na szeroko rozstawionych łokciach, gdyż płyta rozbiła ścianę po prawej stronie. Kamień tworzący sklepienie leżał w poprzek pod pewnym kątem, a daleki koniec jaskini nie był całkowicie zatkany. Wysoko w górze, przy sklepieniu, znajdował się niewielki otwór, przez który docierało światło i widać było kawałek nieba. Światło z nieba odbijało się od powierzchni wody, rysując delikatne linie, drżące na kamiennym sklepieniu. Woda nadawała się do picia, lecz jej smak nie sprawiał mu przyjemności. Wyczuwał w niej smak rzeczy, które miały w sobie coś mgliście nieprzyjemnego, choć trudno było oddzielić poszczególne elementy. Woda nie tyle gasiła pragnienie, co raczej chwilowo je tłumiała. Zdawało się, że jest jej mnóstwo, gdyż zbiornik ciągnął się przed nim na kilka jardów, a jego kraniec wyglądał na głęboki. Opuścił głowę i zaczął ssać. Teraz, gdy jego półtora oka przywykło do światła, dostrzegł, że na dnie leży osad, czerwonawy i śliski. Nie był twardy i łatwo go było poruszyć, więc gdy pił, osad unosił się cienkimi smużkami, krążył w wodzie, nieruchomiał i opadał. Przyglądał mu się tępo. Po chwili zaczął mruzczyć:

- Ratunek. Pomyśleć o ratunku.

Wycofując się z wysiłkiem, mocno uderzył czaszką o kamienną płytę. Przeczochał się wzdłuż rowu, wdrapał się na szczyt skały i obiegł wzrokiem horyzont. Uklęknął i opuścił się na rękach. W głowie zaczęły przebłyskiwać myśli.

- Nie mogę tu siedzieć przez cały czas. Nie będę mógł krzyczeć, gdy będą przepływać. Muszę zrobić człowieka, który stanie tu za mnie. Jeśli dostrzegą coś na kształt człowieka, na pewno się zbliżą.

W pobliżu jego dłoni znajdował się kawał skały, oparty o ścianę. Zszedł niżej i z wysiłkiem uchwycił wielki ciężar. Na koniec ustawił głaz pod odpowiednim kątem, lecz zadrżał i głaz się przewrócił. Mężczyzna opadł i położył się na chwilę. Zostawił głaz tam, gdzie leżał, i zszedł z trudnością w kierunku niewielkiego urwiska i garści rozrzuconych kamieni, gdzie skąpał swe oko. W jednej ze skalnych kałuż natknął się na inkrustowany otoczak i dźwignął go. Przycisnął kamień do brzucha, zrobił kilka chwiejnych kroków, upuścił go na ziemię, podniósł i ruszył dalej. Cisnął go na wzniesienie ponad kominem i wrócił. Na skraju rowu stał kamień przypominający walizkę; zadumał się na chwilę, co ma z nim zrobić. Wsparł się plecami o ową walizkę, a stopami o przeciwległy brzeg rowu. Walizka

zachręściła i drgnęła. Wsunął ramię pod jeden jej koniec i spróbował dźwignąć. Sturlała się do sąsiedniego rowu i pękła. Wyszczerył ponuro zęby, uniósł z trudem większą jej część. Przystawił pękniętą walizkę do ściany, toczył ją, przemyślnie wpychał na kopce zwietrzałych, lecz opornych skał, ciągnął i pchał.

Na wzniesieniu stanęły dwa kamienie, jeden ze śladem krwi. Raz jeszcze przeciągnął wzrokiem po horyzoncie i zszedł ze wzniesienia. Zatrzymał się, przyłożył rękę do czoła, po czym przyjrzał się powierzchni dłoni. Ale krwi tam nie było.

Odezwał się głośno, a jego głos był bezbarwny i gardłowy zarazem:

- Zaczynam się pocić.

Znalazł trzeci kamień, lecz nie mógł go wytoczyć po ścianie rowu. Wycofał się z nim, przepchnął go po dnie zagłębienia nieco niżej, gdzie znalazł wyjście dostatecznie niskie, by wciągnąć go do góry. Gdy wreszcie dowlóknął się z nim do pozostałych, jego ręce były zupełnie zdarte. Ukląkł przy kamieniach i uważnie przyjrzał się morzu i niebu. Słońce już znikło na pobladłym niebie, a warstwa chmur była znacznie cieńsza. Leżał na trzech kamieniach, pozwalając się im ranić. Zza popołudniowej części skały słońce oświetlało jego lewe ucho.

Podniósł się i z wielkim trudem ustawił drugi kamień na trzecim, a pierwszy na drugim. Te trzy kamienie, od podstawy po czubek, mierzyły około dwóch stóp. Usiadł i oparł się o nie plecami. Horyzont świecił pustką, łagodne morze, słońce jak upominek. Jakaś mewa szybowała nad wodą, o rzut kamieniem od skały, jej kontury złagodzone, biała i nieszkodliwa. Zakrył ręką obolałe oko, by trochę odpoczęło, lecz wysiłek potrzebny do utrzymania jej w górze był tak wielki, że pozwolił dłoni opaść z powrotem na kolano. Zignorował oko i zaczął myśleć.

- Jedzenie?

Wstał i poszedł na dół, omijając rowy. Pochyłość kończyły wysokie na kilka stóp urwiska, a za nimi już tylko czubki pojedynczych skał naruszały gładką powierzchnię. Chwilowo musiał je zignorować, gdyż były nieosiągalne. Urwiska były poszarpane. Okrywała je skorupa maleńkich pąkli, które swą lepką wydzieliną spoiły się w ogromną kolonię, zanurzoną w wodzie tak głęboko, jak to mógł dostrzec swoim lepiej widzącym okiem. Były tam żółtawe skałoczepy i barwne ślimaki morskie schnące w załomach skały. Każdy skałoczep tkwił w osobnym zagłębieniu. Dostrzegł również pęki niebieskich małży, oplecione zielonymi pajęczynami wodorostów. Spojrzał raz jeszcze na skalną ścianę - pod zagłębieniem wypełnionym wodą, gdyż widział płytę sklepienia wystającą niczym trampolina — i zobaczył, jak małże zatriumfowały nad całą ścianą. Poniżej pewnej linii skała była aż niebieska od nich. Ostrożnie opuścił się jeszcze niżej i zbadał urwisko. Pod wodą zniwo

żywności było jeszcze obfitsze - znacznie większe małże, po których wędrowały ślimaki wodne. A wśród skałoczepów, małży, ślimaków i pąkli, krągłych jak wysane cukierki, widniały czerwone plamy galarety, ukwiały. Otwierały pod wodą usta okolone kołnierzem płatków, lecz u góry, przy jego twarzy, czekając na kolejny przyływ, były skurczone i obwisłe jak piersi, z których wysano mleko.

Głód skurczył się pod warstwą jego ubrań jak para rąk. Lecz wisząc tam z ustami pełnymi śliny, poczuł, że nagle ściska go za gardło jakiś smutek. Wisiał wczepiony w kremowobiałą ścianę i wsłuchiwał się w dźwięk poruszających się wód, cichutkie cykania i szepty, które wydawał ów ogromny, choć niezupełnie roślinny żywioł. Zmacał pas, wyciągnął linkę, rzucił ją i wolną ręką schwycił nóż. Przyłożył ostrze do ust, zacisnął na nim zęby i odciągnął rękojeść. Wbił czubek noża pod skałoczepa, który momentalnie się skurczył, i gdy przekręcał ostrze, poczuł jego siłę. Opuścił nóż na lince i złapał odpadającego skorupiaka. Obrócił go w dłoni i zajrzał przez szerszy koniec. Ujrzał owalną, brązową przysawkę, wciągniętą w głąb, nie dopuszczającą światła.

- A niech to szlag trafi!

Z rozmachem cisnął skałoczepa, który wpadł z cichym pluskiem do morza. Gdy rozeszły się kręgi na wodzie, dostrzegł, jak skałoczep, bielejąc, opada na dno. Przez chwilę nie odrywał wzroku od miejsca, w którym znikł. Potem znów wyjął nóż i zaczął dłubać wśród pąkli. Zapłakały, krwawiąc słoną, moczową wodą. Ukłuł jeden z ukwiałów koniuszkiem ostrza i galareta zwinęła się ciasno. Gdy przycisnął go z góry płazem noża, ciecz z otworu prysnęła mu prostu w oko. Uwięził ostrze w skalnym zagłębieniu i zamknął nóż. Wrócił na górę i usiadł na wysokiej skale, opierając się plecami o trzy kamienie - dwa pęknięte i jeden inkrustowany na wierzchu.

Tam, w środku, mężczyzna zdał sobie sprawę ze skurczu, jaki opanował całe jego ciało. Podciągnął stopy pod siebie i położył się na boku, kładąc twarz na skale. Jego ciało trzęsło się i drżało pod warstwą namokłych ubrań. Szepnął do kamienia:

- Nie możesz się poddać.

Natychmiast począł zczołgiwać się ze wzgórza. Z coraz większym wysiłkiem. Niedaleko od wody natrafił na kamienie, lecz ze względu na swój kształt nie nadawały się do niczego. Wybrał jeden, zanurzony w wodzie, i mozolnie wypchnął go na górę. Nowy kamień ustawił na szczycie zamiast starego, wsuwając go ze zgrzytem na miejsce, aż w końcu umieścił ten inkrustowany na samym wierzchu. Dwie stopy i sześć cali.

- Muszę. Muszę - wymamrotał.

Zszedł do skalnej ściany naprzeciwko małżowego urwiska. W skale były występy, a woda przelewała się tam i z powrotem. Była bardzo ciemna, a w głębi poruszała się długa kępa wodorostów, przywodząca na myśl paski, którymi objuczeni podróżni obwiązują czasami swoje walizki, gdy zepsują im się zamki. Pod powierzchnią brązowa kępa leżała zwinięta, lecz nieco dalej była wyprostowana i poruszała się powoli jak macki lub języki. Dalej rozciągała się czern głębokiej wody spływającej na dno głębokiego morza. Oderwał wzrok od tego widoku i wspiął się po jednym z występów, lecz skała wszędzie była lita i nigdzie nie mógł znaleźć żadnych odłamków, choć w jednym miejscu występ był pęknięty. Naciskał nań stopą, jednak bezskutecznie. Odwrócił się niezgrabnie i odszedł. W niższej części wielkiej skały znalazł kamień o niewłaściwym kształcie, zaniósł je po kolei do jednego z rowów i ułożył w stos. Obszukał dokładnie wszystkie rozpadliny, wyciągając odłamki i zaokrąglone zbitki żółciejącego kwarcu obrośniętego splątana czupryną wodorostów. Przyniósł je do figury, którą budował, i ułożył wokół kamienia na spodzie. Niektóre nie przekraczały wielkością ziemniaków i te wbijał w szpary między dużymi kamieniami tak długo, aż kamień na szczycie przestał się chwiać przy dotknięciu. Ostatni, nie mniejszy od jego głowy, ustawił na szczycie.

Trzy stopy.

Oddalił się nieco od stosu i rozejrzał dookoła. Z tego miejsca stos wznosił się od poziomu horyzontu aż ponad wysokość słońca. Dostrzegł to ze zdumieniem i spojrzął uważnie, by ustalić, gdzie jest zachód. Ujrzał w oddali tę skałę, która ocaliła mu życie, i mewy unoszące się tuż za kołnierzem piany.

Znowu poszedł na dół do miejsca, skąd oderwał skałoczeпа. Skrzywił się i wepchnął zaciśnięte pięści w namokłe kieszenie na brzuchu. Zawisł na niewielkim urwisku, odrywając palcami plamy czerwonej galarety. Umieścił je na skraju urwiska i przez chwilę w ogóle nie patrzył na nie. Potem skierował swoje półtora oka w tamtym kierunku i przyjrzał się im uważnie. Przypominały garść cukierków, lecz poruszały się nieznacznie, a czysta woda wyciekała spod nich cienkim strumyczkiem. Usiadł przy nich na brzegu urwiska, przestając je widzieć. Na jego twarzy pojawił się wyraz ogromnego bólu.

- A niech to szlag trafi!

Palce zacisnęły się na cukierku. Włożył go szybko do ust, odrzucił głowę w tył, przełknął i wzdrygnął się. Wziął następnego, połknął, potem następnego, tak szybko, jak tylko mógł. Połknął wszystkie bez żucia i siedział sztywno z rozedrganym gardłem. Uspokoił się nieco, krzywiąc twarz w bladym grymasie. Spojrzął na lewą rękę - był tam jeszcze ostatni cukierek, leżący w kropli wody przy małym palcu. Zamknął dłońią usta i spojrzął przez palce,

walcząc z żołądkiem. Wspiął się na skałę, gdzie była dziura z wodą, i zatrzymał się. Znów z dna podniosły się skręty czerwonego śluzu i szlamu. Niedaleko bliższego krańca kałuży widać było wstążkę czerwieni o średnicy mniej więcej pół cala.

Gdy uspokoił żołądek ciepłą wodą, wyczołgał się tyłem. Mewy krążyły teraz nad skałą; obrzucił je nienawistnym spojrzeniem.

- Nie dostaniecie mnie!

Znów wdrapał się na szczyt skały, gdzie stał jego karzeł, wysoki na trzy stopy. Horyzont jak okiem sięgnąć był pusty. Zlizął z warg resztkę wody.

- Mam pod dostatkiem wody...

Stał, patrząc na płytę ponad kałużą, sterczącą jak trampolina. Z wolna podszedł do urwiska, zszedł i zajrzał pod płytę. Ujście kałuży zamykała kupa potrzaskanych kamieni, powbijanych jeden w drugi. Poza nadwątlonym oknem swojego wzroku dostrzegł czerwony szlam, który unosił się splątany w spirale. Na pewno wypełnia szczeliny pomiędzy kamieniami, delikatną pieczęcią uniemożliwiając odpływ wody. W krótkim mgnieniu ujrzał ich ukryte powierzchnie, dziury, które czas zaprawiał czerwienią, aż zatkał je całkiem i zostawił ten przedziwny zbiorniczek pitnej wody wśród morza soli. Lecz pieczęć była tak delikatna, że lada dotyk mógł spowodować jej nieodwołalny odpływ...

Cofnął się, dyszący, z wytrzeszczonymi oczami.

- Nie myśl o tym!

Jął się wpychać tyłem do sypialnej szczeliny. Wcisnął się tam prawie po uszy, wypełniając ją całą swoim ciałem i ciężkimi ubraniami. Tak długo ciągnął rękawy bajowej kurtki, aż wysunęły się ze sztywnych rur sztormiaka i okryły obie dłonie. Po krótkich zmaganiach uchwycił je palcami i ścisnął pięści, chowając je we włochatym materiale. Pas ratunkowy raz jeszcze wsparł się o jego klatkę piersiową i gardło. Na zgiętym ramieniu ułożył policzek. Leżał tak, drżąc, jako że słońce już zaszło, a zielone niebo granatowało coraz bardziej i mewy obniżały swój lot. Ciało ulegało przebiegającym je drżeniom, lecz między kolejnymi atakami leżało bez ruchu. Usta były otwarte, a oczy wbite z napięciem w ciemność. Raz drgnął i usta przemówiły:

- Nie myśl o tym!

Jakaś mewa poruszyła się lekko i znieruchomiła.

5.

Nie mógł jednak wpaść do czeluści, gdyż był rozciągnięty na całą długość swego ciała. Jak przez mgłę czuł powracające siły, co sprawiało, że nie tylko dogłębnie czuł przenikający go chłód i fizyczną udrękę, lecz także rosła w nim irytacja. Zamiast apokaliptycznych wizji i głosów z poprzedniej nocy miał teraz swoje zmaltretowane i utyskujące ciało. Koniuszek igły w oku jakby się stępił, lecz zamiast znosić cokolwiek, byle nie te ukłucia, musiał nieustannie trzeć jedną stopą o drugą lub przyciskać ciało do kamiennej płyty, próbując nie dopuścić zimna do tej strony ciała, a tymczasem stwierdzał, że druga strona coraz wyraźniej domaga się uwagi. Dźwigał zamieszany przez siebie mroczny glob, odrywał go od twardej, drewnianej powierzchni, obracał go i układał na drugiej półkuli. Jeszcze jedno różniło tę noc od poprzedniej. Ognie zdążyły przygasnąć, lecz ciągle tam tkwiły, właśnie teraz, gdy miał czas i siły, by się nimi zająć. Zesztywnienie przeszło w trwałe poczucie napięcia, jakby ktoś bezlitośnie naciągał jego ciało. Także i skała, gdy powróciły do niego siły, zwiększała dodatkowo poczucie niewygody. To, co mroczny glob wziął w swoim krańcowym wyczerpaniu za gładką powierzchnię, było w rzeczywistości pofałdowane, z zarysowanymi gdzieś wybrzuszeniami. Zarysowania te przeszły w wyraźne poczucie niewygody, które z kolei przemieniło się w tępe poboiewanie. Po pewnym czasie w miejscu owych poboiewań pojawił się wyraźny ból, a potem ogień, którego trzeba było unikać. Tak więc dźwigał udo lub poruszał nim słabo, by po chwili stwierdzić, że wybrzuszenie znikło, zostawiając po sobie łagodnie pofałdowany teren. Wtedy jego udo rozpląszczało się ponownie, czekając w ciemnościach na niewygodę, poboiewanie, ból i ogień.

Na górnym krańcu, teraz, gdy w oknie panował mrok, mężczyzna stwierdził, że przerwy w bólu znów pełne są głosów i rzeczy, których nie sposób było nie dostrzec. Miał dość poplątany obraz drogi słońca, biegnącej pod nim poza centralne ognie ziemi. Lecz zarówno słońce, jak i ognie znajdowały się o wiele za daleko, by go ogrzać. Ujrzał czerwony szlam zatrzymujący pitną wodę, podwójną garść czerwonych cukierków, pusty horyzont.

- Przeżyję.

Dostrzegł słońce, przesuwające się pod nim w ślimaczym tempie. W jego mózgu panowało pomieszanie spowodowane obrotem Ziemi wokół swojej osi i jej całorocznej wędrówki dookoła słońca. Pojął, ile miesięcy człowiek musi przetrwać, nim ogrzeje go jaśniejsze światło wiosny. Obserwował słońce całymi miesiącami, bezmyślnie i nieświadomie. Obserwował je z różnych punktów, przez okna pociągu lub z pól. Mylił jego płomienie z innymi płomieniami, na działkach, w ogrodach, w paleniskach. Jeden z tych

płomieni z największym uporem nalegał, że tu właśnie jest rzeczywistość i że to jej należy się przyglądać. Płomień wydobywał się spoza krat paleniska. Stwierdził, że palenisko znajduje się w pokoju, i wówczas wszystko stało się znajome, wyszło z przeszłości i wiedział, gdzie jest, i że czas i słowa mają swoją wagę.

Naprzeciwno, na krześle, siedziała długa i chuda jak pająk postać. Spojrzała w górę spod czarnych, kręconych włosów, jak gdyby sprawdzała coś w encyklopedii po drugiej stronie sufitu.

- Bo weź na przykład nas, w naszej sytuacji, a niebo stanie się czystym zaprzeczeniem. Bezkształtnym i pustym. Rozumiesz? Coś w rodzaju czarnej błyskawicy niszczącej wszystko, co nazywamy życiem.

Lecz on śmiał się, szczególnie w odpowiedzi.

- Nie rozumiem i niewiele mnie to obchodzi, lecz przyjdę na twój wykład. Mój drogi Nathanielu, nawet nie masz pojęcia, jak rad jestem, że cię widzę.

Nathaniel przyjrzał mu się bardzo uważnie.

- I ja się cieszę, widząc ciebie.

- Okazujemy nasze uczucia, Nat. To mało angielskie.

Znów baczne spojrzenie.

- Zdaje mi się, że potrzebujesz mojego wykładu. Nie jesteś szczęśliwy, prawda?

- Niebo też specjalnie mnie nie interesuje. Należę ci czegoś.

- Nie, dziękuję.

Nathaniel wyplątał się z krzesła, stanął z rękoma opuszczonymi po bokach i lekko ugiętymi dłońmi. Jego oczy najpierw wbite były w pustkę, potem omiotły pokój. Podszedł do ściany i idiotycznie wysoko, na górnej półce, usadowił swój kościsty zad. Wypchnął te swoje nieprawdopodobne nogi na zewnątrz i rozrzucił je tak szeroko, że utrzymywał się niepewnie na miejscu jedynie dzięki tarciu podeszew. Znowu podniósł wzrok w kierunku encyklopedii.

- Można to nazwać wykładem na temat techniki umierania.

- Sam umrzesz dużo wcześniej niż ja. Noc jest chłodna, a ty... co masz na sobie?

Nathaniel spojrzał na śmiejące się okno, po czym przeniósł wzrok na siebie.

- Czyżby? Tak, chyba tak.

- Ja mam w planie cholernie długie życie. Chcę zdobyć wszystko, czego pragnę.

- A cóż to jest?

- Różne rzeczy.

- Ale nie jesteś szczęśliwy.

- Dlaczego akurat mnie mówisz takie rzeczy?

- Jest coś, co nas łączy. Coś się z nami stanie, a może pisane jest nam pracować razem. Posiadasz nadzwyczajne możliwości, jeśli chodzi o przetrwanie.

- W jakim celu?

- Aby osiągnąć niebo.

- Przez zaprzeczenie?

- Technika umierania wiodącego prosto do nieba.

- Nie, dziękuję. Bądź poważny, Nat.

- Wiesz dobrze, że mógłbyś. A ja... - Twarz Nata zmieniła się. Znow zwróciła się w jego stronę. Rumieniec na policzkach był bolesny. Oczy zajaśniały i zawisły nad nim. - A ja, ja mam przecucie. Proszę, nie śmieć się, lecz mam przecucie, można powiedzieć, że wiem... - Spod oczu wydobyło się lekkie sieknięcie. Stopy skrobały. - Mógłbyś rzec, iż wiem, jak bardzo jest dla ciebie ważne zrozumienie problemu nieba i umierania, gdyż już za kilka lat... - Przez chwilę panowała cisza - podwójny szok - gdyż dzwony za oknami pokoju przestały bić, jak gdyby zatrzymały się razem z głosem. Złośliwe ukłucie papierosa przeszło jego ramię i wbiło się w glob, a on strzepnął je i krzyknął. Potem położył się płasko na podłodze, szukając po omacku niedopałka pod fotelem, a falista powierzchnia podłogi stwarzała uczucie niewygody. Gdy tak leżał, te słowa ściagały go, napełniały brzęczeniem jego uszy, wywoływały zgiełk, sprawiały, iż jego serce waliło w nagłym, pełnym przerażenia zrozumieniu, jak gdyby dyszało z siebie słowami, których Nathaniel nie wypowiedział. - ...gdyż już za kilka lat umrzesz.

Z wściekłością i przerażeniem wykrzyczał prosto w te nie wypowiedziane słowa:

- Nat, ty przeklęty durniu! Ty cholerny, przeklęty durniu!

Słowa odbiły się echem od ścian rowu, a on oderwał policzek od rękawa sztormiaka. Z zewnątrz dochodziło światło, promienie słońca i krzyki mew.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli umrę! - wrzasnął.

Wydostał się szybko z rozpadliny i stanął w rowie. Morze i niebo były granatowe, a słońce stało na tyle wysoko, by nie odbijać się w wodzie oślepiającym blaskiem. Poczł je na twarzy i obydwoma rękami potarł porastający ją zarost. Krótkim spojrzeniem obrzucił horyzont i zszedł do rowu. Zaczł gmerać przy spodniach, spoglądając ukradkowo za siebie. Wtedy, po raz pierwszy na skale, rozdarł zarośniętą, zewnętrzną twarz krzykiem szyderczego śmiechu. Podszedł do skalnego karła i siknął w horyzont jak z polewaczki.

- Uprasza się panów o poprawienie swoich strojów przed wyjściem.

Zaczł grzebać przy guzikach sztormiaka, po czym szarpnął je gwałtownie. Chwycił tasiemki podtrzymujące pas ratunkowy wewnątrz bluzy. Zsunął z siebie jedno i drugie, po

czym cisnął je na ciężki stos. Stał, spoglądając w dół. Musnął spojrzeniem dwie faliste linie złotych galonów na obydwu ramionach, połączone guziki, czarną irchową marynarkę i spodnie. Ściągnął z siebie wszystko: marynarkę, wełniany sweter, czarny sweter, koszulę, podkoszulek, zdjął długie pończochy, skarpetki, majtki. Stał bez ruchu i badał swoje ciało.

Stopy tak bardzo rozmokły, że zdawało się, iż nie mają żadnego kształtu. Jeden duży palec był granatowoczarny od sińców i krzepnącej krwi. Na kolanach również były sińce, przechodzące w rozdarte rany, nie zacięcia czy ukłucia, lecz miejsca o rozmiarach monety sześciopensowej, skąd zdarta była skóra i ciało. Prawe biodro było granatowe, jakby ktoś przyłożył do niego rękę umoczoną w farbie.

Zbadał ramiona. Prawy łokieć był spuchnięty i sztywny, a wokół niego pełno sińców. Tu i ówdzie jego ciało upstrzyły plamki; nie było to jednak mięso, tylko krwawe, podskórne wylewy. Z czułością dotknął zarostu pokrywającego twarz. Prawe oko było zamglone, a policzek rozpalony i sztywny.

Zdjął podkoszulek i spróbował go wykręcić, lecz materiał trzymał wodę i nie chciał jej wypuścić. Lewą stopą przycisnął jeden koniec zwiniętego materiału, a drugi koniec skręcił, używając obydwu rąk. Pojawiła się wilgoć, zostawiając ślad na skale. To samo uczynił z pozostałymi częściami ubrania, które następnie rozłożył, by wyschły w słońcu. Potem usiadł obok kamiennego karła, pogrzebał w kieszeni kurtki i wyciągnął namokły plik papierów i małą brązową książeczkę. Kolor zszedł z okładki, plamiąc papiery, które wyglądały jak zardzewiałe. Rozłożył je wokół siebie i przeszukał kolejno wszystkie kieszenie. Znalazł dwie monety jednopensowe i jedną dwuszylingową. Ułożył z nich małą kupkę obok kamiennego karła. Wyciągnął z kieszeni sztormiaka swój nóż na lince i powiesił go sobie na szyi. Uczyniwszy to, uniośł rękę i szarpnął lekko za mały brązowy krążek, zwisający z szyi na białym sznurku. Wykrzywił twarz w grymasie. Podniósł się i wspiął na skałę tam, gdzie była kałuża z wodą. Wsunął się do środka i schylił. Z dna uniosły się czerwone sploty, przypominając mu o drugim, zatkanym końcu kałuży. Wycofał się ostrożnie, wstrzymując oddech.

Zszedł potem przez rowy na niższą część skały. Woda stała nisko i tony żywych meduz oblepiały galaretowatym pancerzem cały bok urwiska. Tam, gdzie stał z rozstawionymi palcami, które wystawały za krawędź, jedzenie było suche i rozmawiało nieustającym, cichutkim trzeszczeniem. Wodorosty okrywające muszle były przezroczyście i ledwo zielone. Zgramolił się w dół, czepiając się kolejnych szczelin w skale, krzywiąc się z bólu, gdy natrafiał stopą na ostre muszle. Próbował odrywać małże, lecz były mocno przyssane. Musiał je przekręcać, jak gdyby odrywał kości od ścięgien i wykręcał ze stawów. Ciskał je przez

głowę, a one, lecąc łukiem, spadały z grzechotem na skałę. Tak długo trzymał się wśród ostrych muszli, ponad drgającą wodą, że jego nogi zaczęły drżeć z wysiłku. Wspiął się na urwisko, odpoczął, wrócił i oderwał jeszcze kilka. Na skale leżało ich rozrzucone żniwo; niektóre mierzyły ponad cztery cale. Usiadł w słońcu, zmęczony, i zabrał się do nich. Nie tak bezbronne jak czerwone cukierki, były ściśnięte i ciasno sklezione i nigdzie nie można było wcisnąć ostrza noża. Położył jednego na skale i tak długo bił rękojeścią, aż skorupa pękła. Wyciągnął ze środka skomplikowane ciało i odwrócił wzrok w kierunku morza.

- Belgowie to jedzą.

Włożył ciało do ust i natychmiast połknął. Zacisnął zęby, rozbił kolejną muszlę. Niebawem miał obok siebie kupę surowego mięsa, które - białe i żółte - leżało na suchej skale. Jego szczęki poruszały się, a wzrok powędrował w stronę horyzontu. Gdy jadł, zamglona część prawego oka był lekko ściągnięta. Pomacał ręką wokół siebie i stwierdził, że mięso zniknęło. Zszedł więc na dół po resztę. Każdą muszlę otwierał nagłym uderzeniem noża. Gdy już pękały, wyciągał ze środka czerwone cukierki i wrzucał je do ust. Nieważne, czy jedzenie było czerwone, czy zielone. Chwycił kępkę zielonych wodorostów i zaczął je żuć jak liść sałaty. Potem wrócił do szczeliny z wodą, wsunął się do środka i leżał przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w połyskliwej powierzchni. Zaledwie zwilżył wargi, tak że skręty czerwonego szlamu lekko się poruszyły i zaraz opadły. Wyszedł stamtąd, powędrował na szczyt skały i rozejrzał się wokoło. Jak okiem sięgnąć wszędzie rysowała się równa i wyraźna kreska horyzontu.

Papiery i książeczka wciąż były wilgotne, lecz sięgnął po książeczkę i otworzył ją. Na wewnętrznej stronie okładki, pokryte przezroczystą folią, było zdjęcie. Wbił w nie wzrok i dostrzegł zamazaną podobiznę. Starannie ułożona fryzura, mocna, rozjaśniona uśmiechem twarz i biały, jedwabny szalik wokół szyi. Lecz szczegóły zniknęły na zawsze. Ów młody człowiek, uśmiechający się do niego niewyraźnie przez mgłę i brązowe plamy, był dlań tak daleki, jak upozowane portrety pradziadków w rozmazanym świetle o barwie sepia.

Mimo to nie odrywał wzroku od zdjęcia, poszukując tam bardziej tego, co pamiętał, niż tego, co widział. Muskał zarośnięty policzek i badawczo obserwował uśmiechniętą gładkość tkwiącej przed nim twarzy, układając rozczochrane włosy, dotykając czule bolesnego kącika oka. Po przeciwnej stronie zdjęcia był jakiś napis, lecz on również był rozmazany i zupełnie nieczytelny. Odłożył książeczkę, wymacał brązowy krążek wiszący na szyi. Odsunął go tak daleko, jak to było możliwe, przybliżając go do lewego oka. Odchylił z trudem głowę, ustawiając się w odpowiedniej odległości od krążka.

CHRISTOPHER

HADLEY

MARTIN

T Y. LIEUT., R.N.Y.R.

*C. of E.*⁵

Przeczytał cały napis raz jeszcze, słowo po słowie. Jego usta zaczęły się poruszać. Upuścił krążek, spojrzął na nasiąknięte solą i pocięte bliznami nogi, na brzuch i kępę włosów kryjącą genitalia.

Potem odezwał się głośno, chrypliwie, z czymś na kształt zadziwienia:

- Christopher Hadley Martin. Martin. Chris. Jestem tym, kim zawsze byłem.

Niespodziewanie zdało mu się, że wyszedł z dziwacznej izolacji wewnątrz globu swojej czaszki i normalnie się rozprzestrzenił, napełniając sobą wszystkie członki. Znów żył na powierzchni swych oczu, unosił się w powietrzu. Spadło na niego stłoczone światło dnia, blask słońca, w morzu migotała iskra. Twarda skała była spójna, jak przedmiot, z warstwami guana, słodką wodą i skorupiakami. Był to punkt na skończonym morzu, na przecięciu dwóch linii, były tam prawdziwe okręty przepływające pod horyzontem. Zerwał się pośpiesznie na nogi i zaczął się krzątać na skale, obracając schnące w słońcu ubrania. Powąchał kałesony i zaśmiał się. Potem wrócił do papierów i przełożył je na drugą stronę. Podniósł monety, brzęknął nimi w ręce i zrobił gest, jakby chciał rzucić je do morza. Zatrzymał się.

- To byłoby zbyt banalne. I oklepane. - Spojrzął na ciche morze. - Nie twierdzę, że jestem bohaterem. Lecz jestem zdrowy, wykształcony i inteligentny. I wygram z tobą.

Morze nie odpowiedziało ani słowem. Wykrzywił twarz w dość głupawym uśmiechu.

- Chciałem przez to podkreślić moją niezachwianą wolę przetrwania. I, rzecz jasna, mówię teraz sam do siebie. - Popatrzył na skałę. - Przede wszystkim muszę się rozejrzeć po moich włościach.

Skała zmalala - z wyspy stała się rzeczą. W świetle słońca i przy braku chłodu można ją było zbadać nie tylko wzrokiem, lecz i zrozumieniem. Dostrzegł też zaraz, że rowy to zerodowane końce pionowej warstwy skalnej, a dzielące je skały to twardsze warstwy, odporniejsze na działanie czynników atmosferycznych. Były popękany końcem głębokiego, błotnistej dna, które jakiś ciężar miażdżył tak długo, aż błoto rozgrzało się i częściowo zlało w jedno. Jakieś wstrząsy w górnych warstwach, nieodgadniona kontorsja, skurcz we

⁵ *TY. LIEUT.* (Temporary Lieutenant) - porucznik; *R.N.V.R.* (Royal Navy Volunteer Reserve) - Ochotnicza Rezerwa Królewskiej Marynarki Wojennej; *C. Of E.* (Church of England) - Kościół anglikański.

wnętrzościach ziemi oddarły to głębokie dno i cisnęły ów popękany koniec pionowo przez błoto i glinę, aż stanął na sztorc jak ząb, wystrzeliwujący z mięsistego dziąsła. Potem te mniej ściśnięte warstwy uległy erozji, tworząc rowy pełne ostrych brzegów, coś jak kartki w książce. Także ściany były miejscami popękane w różne przypadkowe kształty. Niektóre warstwy odpadły i leżały potrzaskane w rowach. Cała górna warstwa skały obniżała się, rów za rowem, od zachodu na wschód.

Uwarstwienia na ścianach urwiska były niewidoczne - rozmyte przez wodę i ozdobione delikatną koronką oblepiających je gęsto roślin-zwierząt. Ten szczyt był utwardzony bielą pod śmierzdzącą wodą, lecz tam, w dole, gdzie leżały niebieskie i porozbijane muszle małży, skała była czysta bądź też pokrywała ją pąkle i wodorosty. Za skałą krył się ustęp z płytką wodą, potem następna, mniejsza skała, następna i następna, biegnące z lekka zakrzywioną linią. Potem przerywające ciągłość wgłębienie, a po nim morze wspinało się stromo w kierunku nieba.

Spojrzał uroczyście na tę linię skał i zdał sobie sprawę, że myśli o nich jak o zębach. Złapał się na tym, iż wyobraża sobie, że wszystkie one wyłaniają się stopniowo ze szczęki - lecz prawda wyglądała inaczej. Zapadały się coraz głębiej, lub raczej ścierały się w nie kończącym się, powolnym ruchu. Były to stare zęby trzonowe, zużyte i starte. Stępiło je długie życie świata, ścierało je, gdy żyły to, czym żywią się skały.

Potrząsnął głową ze zdenerwowaniem, potem wstrzymał oddech, czując nagły ból w szyi.

- Ten proces jest tak powolny, że nie ma nic wspólnego z... - Urwał. Spojrzał w górę, potem obejrzał się przez ramię. Powtórzył te słowa ostrożnie, z tą samą intonacją i tą samą siłą: - Ten proces jest tak powolny...

W dźwięku wydobywającym się z jego ust było coś dziwnego. I nie chodziło mu bynajmniej o tę chrypliwość, zupełnie naturalną u człowieka wychodzącego właśnie z przeziębienia, lub takiego, który właśnie skończył krzyczeć na całe gardło. To było wytłumaczalne.

Zaśpiewał głośno:

- *Alouette, gentille Alouette.*

Ścisnął nos prawą ręką i spróbował przez niego dmuchnąć, a ciśnienie powietrza wyduło mu policzki. Nic nie strzeliło mu w uszach. Oczy bolały i wokół nich spływała woda. Zgiął się, oparł ręce na pokrytych bliznami kolanach i zaczął kręcić na boki głową. Wstrząsał nią gwałtownie, nie zważając na ból w szyi i pragnąc wyczuć to drobne drganie, będące znakiem, że gdzieś do uszu dostała mu się woda.

Wstał, zwrócony twarzą do ogromnego amfiteatru wód, i zaśpiewał gamę:

- La-la-la-la-la-la-la-la! - Dźwięk urwał mu się w ustach. Przyjął odpowiednią pozę i zadeklamował:

*Zdrożony księżyc niosąc chłodne światło swoje,
I teraz w szare brzasku kołacze podwoje.*

Zająknął się i zamilkł. Opuścił rękę i odwrócił przegub. Trzymał dłoń w odległości stopy od ust.

- Raz, dwa, trzy. Raz dwa, trzy. Słyszę was. Głośnij...

Zacisnął wargi i wolno opuścił rękę. Niebieski dach igloo ponad skałą powędrował w dal, a widzialny świat raptownie się rozszerzył. Woda pluskała wokół maleńkiej skałki na środku Atlantyku. Wysięk napiął mu twarz. Zrobił krok wśród rozrzuconych papierów.

- O Boże!

Chwycił kamiennego karła, przywarł do jego zgarbionych ramion i wbił wzrok przed siebie. Usta znów się rozwarły. Między żebrami widać było wyraźny trzepot serca. Kostki palców zbieleły.

Od karła doszedł grzechot. Kamienna głowa spadła z głuchym hukiem i potoczyła się z łoskotem w dół urwiska.

Łups.

Zaczął kłąć. Zszedł z trudem ze skały, znalazł zbyt ciężki kamień, przesunął o jakiś jard, a potem zrezygnował. Skoczył przez kamień i klnąc, wszedł do wody. W zasięgu wzroku nie dostrzegł jednak niczego, co byłoby poręczne. Wrócił szybko na szczyt i stanął, patrząc z przerażeniem na bezgłowego karła. Jeszcze raz wrócił do zbyt ciężkiego kamienia i znów zaczął się z nim zmagać. Przesunął go, przewrócił. Zbudował stopnie prowadzące na szczyt i począł go wpychać. Jego wysięk był większy niż siły, którymi dysponował. Krwawił. Wreszcie, zlany potem, stanął wśród papierów. Rozłożył karła na części i zbudował go od nowa na kamieniu, który - mimo wszystko - nie był zbyt ciężki dla wykształcenia, inteligencji i woli.

Cztery stopy.

W szczeliny wcisnął suche, białe ziemniaki.

- Z tych pokrzyw, niebezpieczeństwa...⁶

⁶ "Z tych pokrzyw, niebezpieczeństwa, zerwiemy ten kwiat - bezpieczeństwo" - słowa Hotspura z Szekspirowskiego *Henryka IV* cz. 1 (akt II, scena 3).

Powietrze wchłonęło jego głos jak bibuła.

Chwytaj.

Wykształcenie i inteligencja.

Staął obok Karła i zaczął przemawiać jak człowiek mający przed sobą niechętnie audytorium, który i tak powie, co zechce, bez względu na to, czy ktoś go słucha, czy nie.

6.

- Celem upragnionym jest ocalenie. Absolutnym minimum niezbędnym do jego osiągnięcia jest przetrwanie. Muszę podtrzymać tę iskrę życia w moim ciele. Muszę mu dać picie, żywność i schronienie. Jeśli to zrobię, nieważne będzie, czy robię to dobrze, czy źle, pod warunkiem że w ogóle to zrobię. Dopóki trwa ta nić życia, będzie łączyła przyszłość z przeszłością, pomimo tego potwornego interludium. To punkt pierwszy.

Punkt drugi: muszę się liczyć z tym, że zachoruję. Nie mogę narażać ciała na te wszystkie trudy i spodziewać się, że to biedne zwierzę będzie zachowywać się tak, jakby opływało we wszystko. Muszę wypatrywać oznak choroby i leczyć się samemu.

Punkt trzeci: muszę czuwać nad swoim umysłem. Nie mogę dopuścić do tego, by szaleństwo zakradło się i wzięło mnie z zaskoczenia. Już teraz muszę się liczyć z halucynacjami. To jest prawdziwa walka. Dlatego właśnie będę mówił głośno, pomimo wchłaniającej słowa bibuły. W normalnym życiu głośne mówienie do siebie jest oznaką szaleństwa. Tutaj jest znakiem mojej tożsamości.

Punkt czwarty: muszę uczynić wszystko, żeby mnie uratowano. Jedyne, co mogę zrobić, to być widzialnym. Nie mam nawet kija, by zatknąć na nim koszulę. Lecz gdy ktokolwiek będzie przepływał nie opodal tej skały, dostrzeże ją nawet bez lornetki. Jeśli zobaczą skałę, zobaczą również karła, którego zrobiłem. Będą wiedzieć, że ktoś go zbudował, i przyplyną, by mnie zabrać. Pozostaje mi tylko żyć i czekać. Nie mogę tracić kontaktu z rzeczywistością.

Spojrzał twardo na morze. Natychmiast stwierdził, że znów patrzy przez okno. Był wewnątrz siebie, w najwyższym punkcie. Od góry okno zamykały porośnięte włosami wałki brwi, a zarysy czy też cienie nosów dzieliły je na trzy części. Lecz te nosy były przezroczyste. Światło po prawej stronie było zamglone, a wszystkie trzy zbiegały się na dnie. Gdy popatrzył w dół, na skałę, widział ją przez szczeciniasty żywopłot zarośniętej górnej wargi. Okno otaczała nieprzenikniona ciemność wypełniająca całe jego ciało. Wychylił się, próbując spojrzeć przez ramy, one jednak przesunęły się razem z nim. Na moment zmienił kształt ramy, marszcząc brwi. Poruszył wszystkie trzy światła, omiatając nimi horyzont. Przemówił ze zmarszczonymi brwiami:

- To jest zwyczajne doświadczenie życia. Nie ma w tym nic dziwnego. - Potrząsnął głową i zakrzętnął się. Skierował okno na swoje ciało i krytycznie przyjrzał się swej skórze. Wokół blizn pojawiły się wielkie różowe placki. - Oparzenie! - wykrzyknął.

Chwycił gwałtownie podkoszulek i naciągnął go na siebie. Materiał wysechł do tego stopnia, iż przyjął, że jest suchy, i wcisnął go do kalesonów. Świetliste okna stały się normalnym instrumentem służącym do patrzenia. Zebrał papiery, włożył je do książeczki marynarskiej, po czym wsunął cały pakiet do kieszeni dwurzędowej kurtki. Poczłapał po skale, podnosząc ubrania i sprawdzając, czy wyschły. Nie było w nich wilgoci, która spływałaby z palców lub którą można by było wycisnąć, lecz gdy je podnosił, zostawiały na skale ciemniejszy kształt, wolno znikający w promieniach słońca.

- Szkoda, że nie zostawiłem sobie butów - odezwał się apatycznie.

Podszedł do sztormiaka i przyklęknął, przywierając doń spojrzeniem. Nagle zaczął przetrząsać wszystkie zapomniane kieszenie. Wyciągnął ziuwestkę⁷, z której kapłała woda, i wilgotną kominiarkę. Ziuwestkę rozłożył, a kominiarkę dokładnie wykręcił. Potem położył je na skale i wsunął rękę do innej kieszeni. Na jego twarzy pojawił się wyraz pełnej zdenerwowania koncentracji. Pogmerał jeszcze chwilę w środku i wyciągnął zieleniejącą półpensówkę, kawałek sznurka i pognieciony papierek po czekoladzie. Rozwinął go z ogromną starannością; wewnątrz nie było jednak nic. Zbliżył twarz do lśniącego papierka i zerknął do środka. W jednym zagięciu dostrzegł pojedyncze brązowe ziarenko. Wsunął tam język i wziął je do ust. Język przeszyła nagła słodycz, krótka jak mgnienie oka i bolesna. I znikła.

Pochylił się w kierunku kamiennego karła, sięgnął po skarpetki i założył je. Potem wziął pończochy i zrolował je do kostek, postanawiając traktować je jak buty.

Oparł głowę o karła i przymknął oczy. Słońce świeciło mu przez ramię, a woda szumiała. W środku jego głowy migotały ciągi scen i rozbrzmiewały głosy. Doświadczał wszystkich objawów towarzyszących senności, lecz mimo to nie zapadł w otchłań snu. To coś wewnątrz głowy było czynne i niezmordowane.

- Chciałbym mieć łóżko z prześcieradłem. Chciałbym kufel lub dwa i coś ciepłego do jedzenia. Chciałbym gorącą kąpiel.

Przez chwilę siedział w milczeniu, a to coś skakało od myśli do myśli. Przypomniawsobnie, że mowa to potwierdzenie tożsamości i jego wargi znów zaczęły się poruszać.

- Dopóki mogę pragnąć tych rzeczy, potrafiąc jednocześnie znieść ich brak, dopóki mogę sobie powiedzieć, że jestem sam na skale na środku Atlantyku i muszę walczyć o przetrwanie - dopóty dam sobie radę. Bo przecież jestem bezpieczny w porównaniu z tymi

⁷ Nieprzemakalny kaptur z szerokim rondem zawiązywany pod brodą.

głupimi dupkami z okrętów JKM. Oni nigdy nie wiedzą, kiedy wylecą w powietrze. Lecz chciałbym zobaczyć minę, która byłaby w stanie poruszyć tę skałę.

To coś, co nie potrafiło samo siebie zbadać, ciągle tańczyło w świetle za jego oczami.

- I tak czy inaczej nie wolno mi spać w ciągu dnia. To trzeba zostawić na te nieszczęsne noce. - Wstał gwałtownie i spojrzał w kierunku horyzontu. - Ubierz się i idź coś zjeść. Ubierz się na kolację.

Zrzucił pończochy i nałożył ubrania z wyjątkiem bajowej bluzy i sztormiaka. Naciągnął pończochy na spodnie, aż do kolan. Stał i zaczął mówić ze swadą:

- To miejsce będzie się nazywać Bocianim Gniazdem. To jest Karzeł. Ta skała, tam pod słońcem, do której przypląnąłem, to Skała Ocalenia. Miejsce, gdzie znalazłem małże i całą resztę, nazwę Skałą Żywicielką. Miejsce, gdzie je zjadłem, nazwę "Pod Czerwonym Lwem". Na południu, tam, gdzie są pasy wodorostów, to Skała Nadziei. To urwisko na zachodzie, gdzie jest komin, nazwę...

Urwał, szukając nazwy. Jakaś mewa wyłoniła się powoli spod słońca, zobaczyła dwie postacie stojące na Bocianim Gnieździe, krzyknęła, skręciła szaleńczo i odleciała. Potem wróciła, tym razem lecąc niżej po jego prawej stronie, i znikła za urwiskiem. Wychylił się i spojrzał w dół. Skała po lewej stronie opadała niemal pionowo, w połowie ściany było pęknięcie, a nad nim komin. Po prawej stronie podnóże urwiska kryło się za wystającym czubkiem Bocianiego Gniazda. Podszedł na czworakach do krawędzi i spojrzał w dół. Dojrzał tylko jakiś jard urwiska - reszta kryła się i ginęła. Pojawiała się znowu na samym dole i dostrzegł tam błysk piór.

- Odłamek odpadł od skały... - Przyjrzał się dokładnie wodzie i zdało mu się, że widzi kwadratowy kształt pod jej powierzchnią. Cofnął się i wstał. - Mewia Skała.

Horyzont wciąż był pusty.

Zszedł po skale do "Czerwonego Lwa".

- Szkoda, że nie pamiętam nazwy tej całej skały. Kapitan powiedział, że to bliskie skojarzenie, i zaśmiał się. Mam ją na końcu języka. I muszę nazwać tę moją drogę, którą wlokę się między Bocianim Gniazdem a "Czerwonym Lwem". Nazwę ją Ulicą Główną.

Zauważył, że skała, na której siedzi, jest ciemna, i rzucił okiem przez ramię. Słońce właśnie go opuszczało, schodziło w dół za Karłem, czyniąc z tej kupy kamieni prawdziwego olbrzyma. Wstał szybko i zszedł po oblepionej Skale Żywicielce. Zawisł z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, przemierzył kilka jardów i zabrał się do odrywania małży. Zaczął się przypląwać i przestrzeń znacznie się skurczyła. Musiał się pochylić i wyciągać małże

spod wody. Potem wspiął się na "Czerwonego Lwa" i zaczął jeść. Olbrzymi zarys skały stracił wszystkie szczegóły - był już plamką odcinającą się od wieczornego nieba.

- Was, trzy skały, nazwę: Oxford Circus, Piccadilly i Leicester Square⁸.

Podszedł do ciemnej kałuży i wsunął się do środka. Resztki światła jeszcze przekradały się przez zbite ciasno kamienie na drugim końcu, a gdy pił, widział delikatne zmarszczki na wodzie, lecz czerwone skręty były niewidoczne. Włożył palec do wody i dotknął mulistego dna. Leżał bez drgnienia.

- Znów będzie padać.

Natychmiast wstrząsnął nim nagły dreszcz, gdyż nie był sam w tej dziurze. Był tam głos, który zabrzmiał niemal równocześnie z jego słowami, dochodzący od wody i płyty. Gdy jego serce nieco się uspokoiło i zaczął myśleć logicznie, pojął, że to zjawisko rzadkie i zapomniane - rezonans, echo. Od razu też zrozumiał, że odezwał się zbyt głośno, więc uspokoił ciało i powiedział z rozmysłem:

- Dużo tu tożsamości, panie i panowie...

Uciał raptownie i usłyszał, jak skała mówi:

- ...owie...

- Będzie padać.

- ...adać...

- Jak się masz?

- ...asz...

- Trudzę się, by przetrwać. Oplątuje tę skałę siecią nazw i oswajam ją. Niektórzy ludzie nie byliby w stanie pojąć, jak bardzo jest to istotne. Dając czemuś imię, kładziemy na nim pieczęć, łańcuch. Jeśli ta skała spróbuje mnie sobie podporządkować, podniosę bunt i to ja sobie ją podporządkuję. Narzucę jej moje zwyczaje, moją geografię. Skrępuję ją nazwami. Jeśli spróbuje mnie zniszczyć swoją bibułą, będę mówił tutaj, gdzie moje słowa mogą wybrzmieć, a znaczące dźwięki wzmacniają moje poczucie tożsamości. Będę chwycił deszczówkę i dolewał ją do tej kałuży. Będę używał mózgu jak delikatnego narzędzia, pomagającego osiągnąć upragnione rezultaty. Wygoda. Bezpieczeństwo. Ocalenie. Tak więc dzień jutrzejszy ogłaszam dniem myślenia.

Wysunął głowę z otworu, wspiął się na Ulicę Główną i stanął na Bocianim Gnieździe obok Karła. Ubrał się we wszystko, co miał, nałożył wilgotną kominiarkę i naciągnął ziuwestkę, pozostawiając oba sznurki wiszące po obu stronach głowy. Zerknął na horyzont,

⁸ Nazwy stacji metra w centrum Londynu.

wysłuchany w lekkie poruszenia dobiegające z niewidzialnym mewich gniazd, gdzieś w połowie Mewiej Skąły. Ruszył Ulicą Główną i doszedł do swojej rozpadliny. Usiadł na skale, włożył obie stopy w szary sweter i owinął je starannie. Potem wstał i wczołgał się do rozpadliny, upychając tam bajową bluzę i sztormiak. Nadmuchał mocno pas ratunkowy i związał tasiemką dwa końce wężyków. Pas ratunkowy przekształcił się w poduszkę, miękką i w sam raz dla jego głowy. Położył się na plecach i ułożył głowę w ziuwestce na poduszce. Wsunął ramiona, kładąc je przy bokach. Przemówił do nieba:

- Muszę wysuszyć wodorosty i wyłożyć tę rozpadlinę. Mógłbym tu sobie wymościć całkiem przytulne gniazdko.

Zamknął oczy.

- Rozluźnij po kolei wszystkie mięśnie.

Sen jest stanem, który - podobnie jak wszystko inne - można osiągnąć na drodze myślenia.

- Kłopot z prowadzeniem domu na skale polega na tym, że cały czas jest coś do roboty. Ale jedno jest pewne: nie będzie czasu na nudę.

Rozluźnij mięśnie stóp.

- I co za historia! Tydzień na skale. Wykłady...

Jak przeżyć. Wykłady prowadzi porucznik - ale dlaczegóż by nie komandor porucznik? Albo komandor? Jajecznicza i te sprawy.

- Musicie pamiętać...

Oczy otwarły się.

- A ja nie pamiętałem. Nawet nie pomyślałem. Nie wysrałem się od tygodnia! - A przynajmniej od chwili, kiedy zdmuchnęło mnie z tego pieprzonego pomostu.

Dzięki nausznikom ziuwestki nie słyszał swojego głosu odbijającego się od sklepienia nieba. Leżał, dumając nad opieszałością swoich jelit. Wywołało to obrazy chromu oraz porcelany i wszystkich towarzyszących temu okoliczności. Odłożył szczoteczkę do zębów i stał, obserwując swoją twarz w lustrze. Cały proces jedzenia stał się przedziwnie znaczący. Uczyniono zeń rytuał na każdym poziomie: faszyci traktowali je jako karę, wierzący jako obrządek, ludożercy albo jako rytuał, albo jako leczenie, albo też jako cudownie bezpośredni znak swojego zwycięstwa. Zabity i zjedzony. Bo przecież jedzenie za pomocą ust to tylko wulgarny wyraz pewnego uniwersalnego procesu. Można jeść kutasem, pięściami lub głosem. Można jeść podkutym ćwiekami butem, kupując i sprzedając, żeniąc się, płodząc czy przyprawiając rogi...

Przypomniało mu się przyprawianie rogów. Odwrócił się od lustra, związał szlafrok paskiem i otworzył drzwi do łazienki. A tam oczom jego, jakby wyczarowany tym z lekka staroświeckim wyrażeniem, ukazał się Alfred. Był to jednak inny Alfred, blady, spocony, drżący. Gdy pięść znalazła się w pobliżu jego klatki piersiowej, chwycił go za przegub i wykręcił rękę tak mocno, że Alfred zgrzytnął zębami i zasyczał. Z bezpiecznych wyżyn swojej wiedzy dotyczącej kosmicznej natury jedzenia wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Witaj, Alfredzie.

- Ty przekłeta świni!

- Wścibski typek.

- Kto jest u ciebie? Mów!

- Spokojnie, spokojnie. Wejdz po cichu, Alfredzie, nie chcemy tu żadnego zamieszania.

- Nie udawaj, że to ktoś inny. Ty sukinsynu! O Boże!

Stali przy zamkniętych drzwiach. Alfred, którego łyzy płynęły bruzdami wokół ust, czynił wysiłki, by złapać za klamkę.

- Powiedz, kim ona jest, Chris. Ja m u s z ę wiedzieć, na miłość boską!

- Robisz się melodramatyczny, Alfredzie.

- Nie udawaj, że to nie Sybill, ty obleśny, pazerny sukinsynu!

- Chcesz zajrzeć?

Czkawka, zmagania.

- To znaczy, że to ktoś inny? Nie nabierasz mnie, Chris, naprawdę?

- Wszystko, żeby poprawić ci humor, stary. Patrz.

Otwarte drzwi; Sybill z cichym piskiem podciągająca prześcieradło pod brodę, zupełnie jak w komedii - zresztą było to chyba najlepsze określenie tej sytuacji.

- Słowo daję, Alfredzie, zachowujesz się tak, iż ktoś mógłby pomyśleć, że to twoja żona.

Istniał jakiś związek między jedzeniem i chińskim pudełkiem. Czym było to chińskie pudełko? Trumną? Tymi rzeźbionymi ozdobami z kości słoniowej, włożonymi jedna w drugą? A jednak było tam gdzieś jakieś chińskie pudełko...

Zdumiony, leżał jak kamienna postać, otworzywszy usta i wzrok wbiwszy w niebo. Wścikłe wysiłki rozbijające się o jego pierś, łązawe łkania słabych ust wciąż odbijały się echem w silniejszym ciele, gdy znów wrócił do swojej rozpadliny.

Odchrząknął i przemówił:

- Gdzież ja, u diabła, jestem? Gdzie byłem? - Dźwignął się i położył w szczelinie twarzą w dół, układając policzki na pasie ratunkowym. - Nie mogę spać.

Ale sen jest konieczny. Brak snu doprowadza ludzi do obłądu. Znow się odezwał, a pas poruszył się pod szczęką.

- Spałem wtedy. Śnił mi się Alfred i Sybill. A teraz znow zasnąć.

Leżał bez ruchu i myślał o śnie. Lecz był to kusząco ulotny temat.

Więc myśleć o kobietach albo o jedzeniu. Myśleć o jedzeniu kobiet, jedzeniu mężczyzn, schrupaniu Alfreda i tej dziewczyny, tego chłopca, myśleć o tym prostackim i niezadowolającym eksperymencie, leżeć spokojnie jak kłoda i zgłębiać ów ogryziony tunel życia aż do tej niewygodnej przerwy.

Ta skała.

- Te trzy skały będę nazywał Zębami. - Natychmiast kurczowo wpił się oboma rękami w pas ratunkowy i spiął wszystkie mięśnie, by stłumić głębokie drzenie przebiegające całe ciało. - Nie! Tylko nie Zęby!

Zęby były tutaj, wewnątrz jego ust. Wyczuł je językiem - podwójna bariera kości, każdy znany i osobny z wyjątkiem szpar. Gdy tylko zaczynał myśleć, wracały uporczywie jak wspomnienie. Ale leżeć na szeregu zębów w samym środku oceanu...

Z rozpaczliwym uporem zaczął myśleć o śnie.

Sen jest wytchnieniem od świadomego czuwania, porządkuje. Sen przychodzi wtedy, gdy wszystko to, co nie uporządkowane, przyfruwa jak śmieci wyrzucone z kubła przez podmuch wiatru. We śnie czas był oddzielony od tej prostej linii, w wyniku czego Alfred i Sybill byli wraz z nim na skale, podobnie jak ten chlipiący chłopiec z umazaną od łez twarzą. Albo też sen był zgodą na umieranie, odejście w całkowitą nieświadomość, klęską osobowości, która potwierdza z całkowitą szczerością to, co stanowi nieodłączny element śmiertelności - że jesteśmy nietrwałymi, skleconymi naprędce konstrukcjami, które nie są w stanie znieść tempa życia bez codziennego wytchnienia od tego, co najbardziej uważamy za nasze własne...

- Więc dlaczego nie mogę spać?

Sen to czas, kiedy dotykamy tego, co powinniśmy zostawić w spokoju. Tam jest całe życie, splątane, skurczone. Tam pieczołowicie przechowywana i akceptowana osobowość, nasz jedyny skarb i zarazem jedyna obrona, musi umrzeć, przeradając się w ostateczną prawdę stworzenia, w czarną błyskawicę, która rozbija i niszczy wszystko - prawdziwą, niepodważalną nicość.

A ja tu leżę, stworzenie uzbrojone w sztormiak, wciśnięte w szczelinę, kęs pożywienia na zębie stępionym przez długie życie świata.

- O Boże, dlaczego nie mogę spać? - Kurczowo ściskając obiema rękami pas ratunkowy, z uniesioną twarzą i oczami wbitymi w ponury tunel, wyszeptał odpowiedź na swoje pytanie, a pobrzmiwał w niej strach i zdumienie: - Boję się snu.

7.

Światło zmieniało się przed oczami tak wolno, że zmiana była wręcz niezauważalna. Zamiast na nie, patrzyły na beładną mieszaninę obrazów pojawiających się w zupełnie przypadkowej kolejności. Nadal w samym centrum znajdowała się ta milcząca, nie podlegająca żadnej dyskusji istota, choć najwyraźniej straciła umiejętność odróżniania obrazów od rzeczywistości. Raz na jakiś czas w dolnej części globu otwierały się wrota oparte o pas ratunkowy i wydobywały się z nich jakieś słowa, lecz każde z nich było tak oddzielone jedno od drugiego przez błyszczące i rozświetlone obrazy, w których owa istota występowała, że trudno jej było ustalić, które słowo należy do którego obrazu.

- Mówiłem, że się pochoruję.

- Picie. Jedzenie. Zdrowie psychiczne. Ratunek.

- Nazwę je...

Lecz lśniące obrazy nie ustępowały, zmieniały się, i to nie tak, jak jedna chmura przechodząca w drugą - były to raptowne zmiany czasu i miejsca.

- Siadaj, Martin.

- Tak jest, sir.

- Zastanawiamy się, czy przedstawić cię do awansu. Papierosa?

- Dziękuję, sir.

Nagły uśmiech nad trzaskiem zapalniczki.

- Dali ci już przydomek na dolnym pokładzie?

W odpowiedzi uśmiech, czarujący, nieśmiały.

- Tak, sir. To raczej nieuniknione.

- Coś jak Brudas czy Fircyk?

- Tak jest, sir.

- A jak płynie życie na dziobie?

- Jest... znośne, sir.

- Szukamy ludzi wykształconych i inteligentnych, lecz nade wszystko ludzi z charakterem. Dlaczego wstąpiłeś do Royal Navy?

- Jasne było, że trzeba... jak by to rzec... pomóc, jeśli pan rozumie, sir.

Cisza.

- W cywilu jesteś aktorem?

Ostrożnie.

- Tak jest, sir. Choć raczej nie najlepszym.

- Piszesz coś?

- Jeszcze nic takiego, sir.

- Kim zatem chciałeś zostać?

- Czułem, że to jakieś... nierealne. Tutaj jest całkiem inaczej. Wie pan, sir. Tu jest okręt. Robimy tu coś, co jest prawdziwym życiem - czymś, czemu warto się oddać. Żałuję, że nie zostałem marynarzem.

Cisza.

- Dlaczego chciałbyś patent oficerski?

- Jako zwykły marynarz, sir, jest się tylko najmniejszym trybikiem w maszynie. Służąc jako oficer, dopiero można zdrowo przyłożyć frycom, sir.

Cisza.

- Wstąpiłeś na ochotnika?

Ma przecież wszystko w papierach - wystarczy, że spojrzysz. Szczerze.

- Prawdę mówiąc nie; sir.

Czerwieni się naprzeciwko tej martwej maski z Dartmouth.

- To byłoby wszystko, Martin, dziękuję.

- Tak jest, sir, dziękuję, sir.

Rumieni się jak szesnastoletnia dziewczyna.

- To żona producenta, stary; tej, gdzie ty się pchasz?

Nadzwyczaj mały słownik francuski przypominający nadzwyczaj dużą czerwoną gumkę do mazania.

Czarna, lakierowana kasetka na pieniądze, ze startym ornamentem.

To chińskie pudełko było trudno uchwytnie. Czasami inkrustowane kością słoniową w deseń z prostokątów, jedno w drugim, a innym razem pojedyncze pudełko przypominające kasetkę na pieniądze. Bez względu jednak na to, jak bardzo było nieuchwytnie, było ważne i powieralne.

To żona producenta, stary. Graba. Biała. Jak poczwarka z maleńkimi czarnymi oczkami. Chciałbym cię zjeść. Chciałbym zagrać Danny'ego. Chciałbym cię zjeść. Chciałbym umieścić cię w jakiejś sztuce. Jakże mam cię gdziekolwiek umieścić, skoro jeszcze cię nie zjadłem? To pedał. On chciałby cię zjeść. I ja też chciałbym cię zjeść. Nie jesteś osobą, skarbie, jesteś instrumentem dostarczającym rozkoszy.

Chińskie pudełko.

Miecz jest fallusem. Dowcip, że można boki zrywać. Fallus jest mieczem. Na cztery łapy, psie, na cztery łapy. Tam twoje miejsce.

Patrzył na jakieś pół twarzy i krzyczał głośno. To pół twarzy należało do jednego z tych opierzonych gadów. Stwór siedział na płycie i spoglądał nań z ukosa. Gdy krzyknął, jego szerokie skrzydła uderzyły powietrze, oddaliły się z łopotem i natychmiast jakiś lśniący obraz usunął z pola widzenia niebieskie niebo i kamień. Była to jasna plama, czasami jak położona na boku cyfra osiem, a czasami jak okrąg. Ów okrąg wypełniał błękitne morze, a mewy krążyły tam, siadały, dążyły do tego, by jeść i walczyć. Pod sobą czuł kołysanie okrętu, wyczuwał ponury spokój i ciszę, która opanowała pomost bojowy, gdy niszczyciel prześlizgnął się, mijając unoszący się na wodzie przedmiot - przedmiot pokorny, zelżony i nieruchomy pośród walczących dziobów, instrument dostarczający rozkoszy.

Wy dostał się z wysiłkiem na słońce, wstał i krzyknął zdecydowanie przed siebie:

- Jestem przytomny!

Gęsta niebieskość z białymi cętkami i diamentowymi błyskami. Piana rozkwitająca obficie wokół trzech skał.

Odwrocił się od nocy.

- Dzień dzisiejszy jest dniem myślenia.

Rozebrał się pośpiesznie do spodni i swetra, rozłożył ubrania na słońcu i zszedł do "Czerwonego Lwa". Przyptyw był tak niski, że małże widać było aż do linii minimalnego zanurzenia.

Małże były pożywieniem, lecz wkrótce się przejadły. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zebrać sobie kilku "cukierków", lecz jego żołądkowi nie spodobał się ten pomysł. Zamiast tego pomyślał o czekoladzie, a przed jego oczami stanął srebrny papierek. Siedział tam, jego szczęki poruszały się wolno, podczas gdy jego umysł obserwował srebrną, błyskającą jasność.

- Przecież jeszcze dziś mogą mnie uratować.

Rozważył tę myśl i stwierdził, że ten cały pomysł jest równie neutralny jak owe małże, cierpki i negatywny jak słodka woda. Podczołgał się do otworu z wodą i wsunął się do środka. Czerwony osad leżał zwinięty w kłęb, szeroki na dwa cale, przy bliższym krańcu.

Krzyknął w rozbrzmiewającą echem dziurę:

- Znowu będzie padać!

Potwierdzenie tożsamości.

- Muszę zmierzyć tę kałużę. Muszę sam sobie wprowadzić ograniczenia. Jeśli to będzie konieczne, zmuszę wodę, by sama przyszła do mnie. Muszę mieć wodę.

Studnia. Wiercenie przez skałę. Zbiornik z deszczówką. Wyłożony gliną i słomą. Pośpiech. Wykształcenie. Inteligencja.

Wyciągnął rękę i dźgnął palcem. Gdy jego dłoń zanurzyła się po kostki, czubek palca natknął się na muł i szlam. Potem na skałę. Wziął głęboki oddech. Tam dalej, pod oknem, była ciemna woda.

- Tylko głupiec marnowałby wodę, czołgając się naprzód i mącąc ją po to tylko, żeby zobaczyć, ile jeszcze zostało. Ja jednak tego nie zrobię. Zaczekam i podczołgam się naprzód, gdy trochę wody ubędzie. A wcześniej i tak spadnie deszcz.

Podszedł szybko do swego ubrania, wyjął srebrny papierek i sznurek i wspiał się z powrotem na Karła.

Zmarszczył brwi i patrząc na kamienną postać, zaczął sączyć słowa w spijającą je bibułę:

- Wschód i zachód są nieistotne. Jeżeli jakiś konwój pojawi się w tych okolicach, i tak będzie płynął w kierunku skały. Lecz może się pojawić od południa lub - co mniej prawdopodobne - od północy. Słońce jednak nie świeci z północy. A więc najlepsza jest północ.

Zdjął głowę Karła i delikatnie położył kamień na Bocianim Gnieździe. Przyklęknął i gładził srebrny papierek, aż zalsnił pod jego ręką. Potem przycisnął folię gładko do kamiennego czoła i okręcił całość sznurkiem. Zwrócił Karłowi srebrną głowę, poszedł na południowy kraniec Bocianiego Gniazda i spojrzał na pustą twarz. Słońce odbiło się od papierka i pobiegło w jego stronę. Ugiął kolana, tak że papierek znalazł się na wysokości jego oczu - w dalszym ciągu widział zniekształcony zarys słońca. Poczłapał dookoła, robiąc łuk tak wielki, jak pozwalał na to południowy kraniec Bocianiego Gniazda, i wciąż widział słońce. Raz jeszcze zdjął z tułowia Karła srebrną głowę, wypolerował ją pończochą i odłożył na poprzednie miejsce. Słońce mrugnęło do niego. Tak oto na Bocianim Gnieździe stał

prawdziwy człowiek, i to w dodatku taki, na którego barkach spoczywało źródło błyskającego światła.

- Dzisiaj mnie wyratują. - Wzmocnił to nic nie znaczące stwierdzenie i dodał mu powagi, wykonując trzy kroki jakiegoś tańca, lecz zatrzymał się z grymasem. - Moje stopy!

Usiadł i oparł się o Karła od południowej strony.

Dzień dzisiejszy jest dniem myślenia.

- Wcale tak źle mi nie idzie. - Zmarszczył brwi, zmieniając kształt łuku nad swoim oknem. - Oczywiście najlepiej by było, gdyby to była kula. Gdyż wtedy bez względu na to, w którym miejscu stuosiemdziesięciostopniowego łuku pojawi się okręt, słońce, odbijając się od Karła, pobiegnie prosto w jego kierunku. Jeżeli zaś będzie pod horyzontem, błysk dosięgnie jego bocianiego gniazda, biegnąc za nim jak mająca spaść na ramię dłoń policjanta, uporczywy, nie dający spokoju tak długo, że nawet najbardziej tępy marynarz dostrzeże go i pojmie, o co chodzi.

Horyzont wciąż był pusty.

- Muszę zdobyć jakąś kulę. Może uda mi się to, gdy będę tłukł kamieniem o kamień, dopóki się nie zaokrągli. Kamieniarska robota. Któż taki wykuwał kamienne kule armatnie? Michał Anioł? Ja jednak muszę szukać jak najbardziej okrągłego kamienia. Ani chwili nudy. Zupełnie jak Itma⁹.

Wstał i ruszył w kierunku morza. Zerknął za brzeg niewielkiego urwiska obok małży, lecz nie dostrzegł tam niczego, na co miałby apetyt. Między nim a trzema skałami było dużo wodorostów i stos kamieni, lecz odwrócił się. Poszedł na Skałę Nadziei i zszedł po wystęпах na płyciznę. Nie znalazł tam jednak niczego z wyjątkiem śmierdzącej masy wodorostów. Droga nieco go zmęczyła, więc położył się na chwilę, by zlustrować powierzchnię wody w poszukiwaniu czegoś wartościowego. Niedaleko twarzy dostrzegł jakąś koralową substancję, ciekłą i różową jak lukier, a potem tracącą róż, jak gdyby cały czas zamierzała się zmienić w fiolet. Musnął palcem gładką powierzchnię. Nazywali tę farbę "Rumieńcem Barmanki" i wylewali jej całe galony rozrzuconą i niedoświadczoną ręką marynarzy floty wojennej. Ów kolor miał sprawić, by okręt stopił się w jedno z morzem i powietrzem w niebezpiecznej godzinie świtu. Były tam nie kończące się twarde akry różowej barwy wokół włazów i tarcz działowych, całe pola pokrywające burty, górne odciały, zwieszające się dookoła twardych kątów, wygodnych wygięć, niechętnie przyznanych pomieszczeń dla załogi na okrętach Północnego Patrolu, jak różowy lukier lub koralowe narośla na obmywanej przez wody skale.

⁹ Skrót od "It's That Man Again". Był to popularny program komediowy nadawany przez radio BBC podczas II wojny światowej.

Oderwał twarz od osłony i skręcił, by wspiąć się po drabince na pomost. Na zapamiętanych z dziecinnych lat skałach w Tresellyn musiały ich być całe akry. Tam właśnie wziął ją Nat - wziął w obydwu znaczeniach tego słowa, wdzięczny za radę.

Okręt parł z trudnością naprzód i oto zjawił się Nat, schodząc z górnej drabinki jak pająk korsarz, uważnie, dla bezpieczeństwa, stawiając odległe krańce swoich kończyn, przechodząc kryzys na widok twarzy i czapki. Oto Nat salutuje, jak zwykle nieco chwiejnie, teraz utrzymując równowagę z pomocą jednej ręki i dwóch nóg.

- Heja, Nat. Wszystko idzie jak trzeba?

Pełen szacunku uśmiech Nata, choć czuje lekkie mdłości.

- Tak jest, sir.

Maszeruj na rufę, długachny sukinsynu.

Do góry, raz, dwa. Pomost, lekki wiatr i popołudnie.

- Uważaj. Kurs zero-dziewięć-zero. Teraz zygzak na jeden-jeden-zero. I pamiętaj, dokładnie tam, gdzie ma być, a nie żeby błąkał się po oceanie tak, jak go zostawiasz. Jest w twoich rękach, a stary ma jeden ze swoich nastrojów, więc lepiej się pilnuj.

- Następnym zygzak za dziesięć sekund? Mam go.

- Do zobaczenia o północy.

- Lewo piętnaście. Ster zero. Tak trzymać.

Krótkim spojrzeniem obrzucił konwój, a potem rufę. Stał tam Nat, w tym samym, do znudzenia, miejscu, na szeroko rozstawionych nogach, z twarzą ukrytą w dłoniach. Centeksowy pokład pochylał się pod nim, zmienił położenie, a on zachwiał się i wspierał się o reling. Obserwujące go z góry rozświetlone okno ugięło się po bokach w uśmiechu, za którym krył się grymas.

O Chryste, jakże ja cię nienawidzę! Mógłbym cię zjeść. Ponieważ zgłębiłeś jej tajemnicę, ponieważ masz prawo dotykać jej przeistoczonego, taniego tweedu, ponieważ oboje stworzyliście sobie miejsce, gdzie nie mam dostępu, ponieważ w tej waszej idiotycznej niewinności masz to, co ja albo zdobędę, albo postradam zmysły.

Potem stwierdził, że jest dodatkowo wściekły na Nathaniela nie z powodu Mary, nie dlatego, że natknął się na nią tak, jak można się potknąć o trzpień z kółkiem, lecz dlatego, że miał czelność tak siedzieć, kiwany przez ruch fal, utrzymywany na nitce, tak bliski kresu, który byłby zarazem tak dręczący i kojący jak pęknięcie czyraka.

- O Chryste!

Wildebeeste skręcił kilka sekund temu.

- Ster prawo trzydzieści! Pół naprzód!

Z mostka niszczyciela zaczęło już migać nieregularnie światło aldisa.

- Ster zero! Tak trzymać. Oba wolno naprzód.

Po drabince załomotały buty. Kapitan wybuchnął:

- Co ty, do ciężkiej cholery, wyprawiasz?!

Pośpiesznie i przymilnie:

- Zdawało mi się, że widziałem jakieś szczątki na prawo od dziobu, sir, więc utrzymałem kurs i prędkość, aż byliśmy czyści, sir.

Kapitan zatrzymał się, kładąc jedną rękę na osłonie mostka, i pochylił się nad nim.

- Jakie szczątki?

- Jakieś belki, sir, unoszące się tuż pod powierzchnią.

- Prawe oko!

- Tak jest, sir!

- Widziałeś jakieś szczątki?

- Nie, sir.

- ...mogłem się mylić, sir, lecz uznałem, że lepiej, jeśli się upewnię, sir.

Twarz kapitana urosła, zbliżywszy się do jego twarzy, a na to wspomnienie jeszcze mocniej uchwycił się skały. Twarz kapitana była wielka, blada i pobrużdżona, a obwódki oczu zaczerwienione od bezsenności i dżinu. Przez chwilę badało to, co widniało w oknie. Dwa cienie nosów z obu stron okna wychwyciły delikatną, słodką woń. Potem twarz zmieniła się, nie dramatycznie, nie w sposób zauważalny i oczywisty, lecz zmianą Nathanielową - od wewnątrz. Pod tą bladością i wilgotnymi bruzdami, od kącików ust i oczu, przebiegło ledwo zauważalne drżenie mięśni o skomplikowanej strukturze, aż cała twarz zmieniła się w otwartą obelgę, przyjmując wyraz pogardy i niedowierzania.

Usta otwały się.

- Dalej.

W pomieszeniu nazbyt wielkim, by odpowiedzieć czy zaszalutować, obserwował, jak twarz odwraca się i zabiera swoje zrozumienie i pogardę w dół po stopniach drabinki.

- Sygnał, sir, od kapitana D: "Dokądże zmierzasz, piękna dziewczeczko?"

Sygnalista z drewnianą twarzą. Gorącość i krew.

- Przekaż kapitanowi.

- Tak jest, sir.

Odwrócił się tyłem do podstawy kompasu.

- Ster prawo piętnaście. Ster zero. Tak trzymać.

Spoglądając pod ramieniem, dostrzegł, jak Nathaniel mija posłańca na śródkręciu. Widziany stąd, był nietoperzem zwisającym głową w dół z dachu jaskini. Nat nie przerywał marszu, stawiając to mniej, to bardziej chwiejne kroki, aż skryła go dziobówka.

Złapał się na tym, że rzuca przekleństwa na niewidzialnego Nata, przeklinając go za Mary, za pogardę, którą dostrzegł w twarzy Moczymordy. Centrum, patrząc w ten odwrócony świat nad kolumną kompasu, stwierdziło, że targa nim burza emocji, pełna kwasu, atramentu i okrucieństwa. Było tam rozpaczliwe zaskoczenie, że ktoś tak dobry jak Nat, tak niechętnie kochany za tę twarz, która zawsze zmieniała się od wewnątrz, za pełną skupienia uwagę, za miłość dawaną bez zastanowienia, może być również tak gorąco nienawidzony, jak gdyby był jedynym nieprzyjacielem. Było tam zdumienie, że miłość i nienawiść są teraz tą samą rzeczą i tą samą emocją. Niewykluczone, że można je było rozdzielić. Nienawiść była tym, czym zawsze - kwasem, niszczącym jadem, który można było znieść jedynie dlatego, że osoba nienawidząca była silna.

- Potrafię nienawidzić.

Szybko spojrział na zegar pokładowy, następnie na *Wildebeeste*, po czym wydał rozkaz zmiany kursu.

A miłość? Miłość do Nata? To był ten żal rozpuszczony przez nienawiść, a nowy roztwór był śmiertelną substancją wypełniającą pierś i jelita.

Wymamrotał nad podstawą kompasu:

- Gdybym był tą szklaną zabawką, którą się bawiłem, mógłbym pływać w butelce z kwasem. Nic by mi nie zaszkodziło.

Zygzak.

- To właśnie to. Odkąd ją spotkałem i ona przerwała powstający przypadkowo wzór, nie respektując żadnych praw życia, stawiając przede mną ten nierozwiązywalny, nieznośny problem swego istnienia, odtąd ten kwas zżera moje wnętrze. Nawet nie mogę jej zabić, ponieważ byłoby to jej ostatecznym zwycięstwem nade mną. Mimo to, dopóki ona będzie istnieć, dopóty ów kwas nie przestanie mnie zżerać. Ona jest tam. W ciele. I to wcale nie cudownym. W tanim umyśle. Obsesja. Nie miłość. A jeśli miłość, to nienormalnie złożona z tej zazdrości o jej istnienie. *Odi et amo*. Jak to, co próbowałem napisać.

Koronkowe firanki zwisające w poprawnych łukach po obu stronach ozdobnego dębowego stołu z zakurzoną paprocią. Ten okrągły stół na środku prawie nie używanego saloniku wydawał woń pasty do mebli - pewnego dnia może będzie dźwigał na sobie jakąś paradną trumnę, na razie jednak nic z tego. Obrzucił spojrzeniem ozdoby i plusz, wciągnął w nozdrza powietrze uwięzione po tej stronie okna, śmierdzące starością i lakierem jak

najgorsza sherry do gotowania. Ten pokój by jej odpowiadał. Pasowałaby tutaj, ona cała była tym pokojem z wyjątkiem jej obłądu.

Spojrzał na notatnik na kolanie.

Zygzak.

- A to nawet nie była połowa. I kwas ciągle się wżera. Któż mógłby sobie wyobrazić, że on kiedykolwiek się zakocha - czy będzie uwięziony - w saloniku od frontu na dwóch stopach? - Zaczął przemierzać pomost tam i z powrotem. - Dopóki ona żyje, ten kwas będzie się wżerał. Nic mu się nie oprze. A zabicie jej jeszcze bardziej by wszystko pogorszyło. - Urwał. Spojrzał wzdłuż pokładu na nadbudówkę i pusty reling na sterburcie. - Chryste! Ster prawo dwadzieścia.

W pewnym sensie można by ją... powiedzmy raczej, że można by powstrzymać sączący się kwas. Nieprzekazanie wiadomości podoficera Roberta było jedną rzeczą - lecz to najzwyczajniej nie kłóciło się z całym rozumowaniem. Powiedzmy jednak, że popchnęłyby się lekko bieg wydarzeń - żadne zaduszenie rękami czy kula z pistoletu, lecz pchnięcie ich na tory, którymi mogłyby się potoczyć? A ponieważ byłaby to jedynie sugestia pod adresem wydarzeń, czyn taki nie zaliczałby się do kategorii, którą ścisły moralista określiłby mianem...

- Tak czy inaczej, kogóż to obchodzi? - To było pchnięcie rapierem w arras, z niczym więcej niż nadzieją na sukces¹⁰. - Może już nigdy tam nie usiądzie.

Potem oficer wachtowy wydaje rozkaz sternikowi, aby ominął jakieś unoszące się na wodzie szczątki lub dryfującą minę, i nic wielkiego się nie dzieje.

- Lecz jeśli znów tam usiądzie... - Zalała go substancja żrąca. Jakiś głos zakrzyknął w jego wnętrznościach: Nie chcę, żeby umierał! Żal i nienawiść wgryzły się głęboko i nie przestawały gryźć. Krzyknął swoim własnym głosem: - Czyż nikt nie rozumie, co czuję?!

Obserwatorzy poruszyli się na swoich stanowiskach. Popatrzył na nich spode łba, czując na twarzy kolejną falę ciepła. Odezwał się do nich z wściekłością:

- Wracać do swoich sektorów. - Oparł się o podstawę kompasu i poczuł drżenie przebiegające przez jego ciało. - Uporczywie szukam... jakiegoś ukojenia.

Rumieniec barmanki z włosami zbyt szorstkimi nawet jak na barmankę. Spojrzał na występy na skale.

- Jakiegoś ukojenia.

Koralowe narośla.

¹⁰ Aluzja do *Hamleta*, gdzie Poloniusz, ukryty za arrasem, ginie z ręki Hamleta (akt III, scena 4).

Potrząsnął głową, jakby wytrząsał wodę z włosów.

- Przecież po coś tu przyszedłem. Lecz nie było tu nic, tylko wodorosty, skała i woda. Wspiął się na powrót do "Czerwonego Lwa", zebrał nie dojedzone małe, które zostały po porannym posiłku, i ruszył Ulicą Główną w stronę Bocianiego Gniazda. Usiadł po południowej stronie mrugającego Karła i otworzył małe nożem. Jadł, robiąc duże przerwy między kolejnymi kęsami. Po ostatnim położył się na plecach.

- O Chryste! - Nie różniły się od wczorajszych, lecz czuł w nich posmak rozkładu. - Może zbyt długo leżały na słońcu.

Lecz przecież całe godziny tkwią w słońcu, między jednym przypływem a drugim.

- Ile dni już tu jestem? - Myślał z napięciem, po czym wydrapał nożem trzy kreski na skale. - Nie może mi umknąć żaden drobiazg, który byłby w stanie wzmocnić poczucie mojej tożsamości. Muszę podejmować decyzje i wprowadzać je w życie. Wyposażyłem Karła w srebrną głowę. Postanowiłem nie ulegać pokusie majstrowania przy zbiorniczku z pitną wodą. Jak daleko jest horyzont? Pięć mil? Z odległości dziesięciu mil dostrzegłbym bocianie gniazdo. Mogę się uczynić widocznym w kole o średnicy około dwudziestu mil. Całkiem nieźle. Atlantyk ma w tym miejscu około dwóch tysięcy mil szerokości. Dwadzieścia w dwóch tysiącach mieści się sto razy. - Przyklęknął i odmierzył linię o długości dziesięciu cali tak dokładnie, jak tylko potrafił. - To daje jedną dziesiątą cala. - Umieścił ostrze noża na linii mniej więcej dwa cale od końca i zakreślił rękojeścią okrąg, aż jej koniec zrobił biały znak w szarej skale. Przykucnął znów na piętach i spojrzął na diagram. - Z naprawdę dużego okrętu byłbym widoczny z odległości piętnastu mil.

Ponownie wbił ostrze noża w ten sam punkt i powiększył go. Przerwał na chwilę, a potem znów zaczął skrobać, aż punkt rozrósł się do rozmiarów srebrnej trzypensówki. Wysunął stopę i tak długo tarł pończochą, aż znak zrobił się szary i wyglądał tak, jakby był tam od zawsze.

- Dzisiaj mnie uratują.

Wstał i spojrzął na srebrną twarz. Słońce wciąż oświetlało go od tyłu. Umysł wyśledził linie biegnące od słońca do kamienia i odbił je od tej części horyzontu. Podeszedł blisko do Karła i spojrzął na głowę, by sprawdzić, czy widać tam odbicie jego twarzy. Blask słońca zamigotał mu w oczach. Drgnął i wyprostował się.

- Lotnictwo! Ty durniu! Bałwanie! Oni przerzucają samoloty i na pewno używają tej skały do sprawdzania kursu; a Dowództwo Obrony Wybrzeża, szukając U-bootów...

Przytknął złożone dłonie do oczu i obrócił się dokoła, obserwując niebo. Było intensywnie błękitne, nie zakłócone niczym z wyjątkiem świecącego na południu słońca. Opuścił gwałtownie ręce i zaczął przemierzać punkt obserwacyjny szybkim krokiem.

- Dzień dzisiejszy jest dniem myślenia.

Karzeł był w sam raz dla okrętów - obserwatorzy musieli dostrzec jego zarys. Ujrzeliby całego Karła lub być może błysk jego głowy. Lecz dla załogi samolotu Karzeł byłby niewidoczny, stopiony z resztą skały, a odbłask jego srebra mógłby być wzięty za kawałek kryształu lub kwarcu. Żaden fragment skały nie rzucał się w oczy. Mogli krążyć na wysokości kilku tysięcy stóp - mili, dwóch - nie dostrzegając niczego. Widziany z góry, ten kamień był maleńką, szarą plamką, dostrzegalną jedynie na tle otaczających go fal.

Spojrzał w górę, szybko i rozpaczliwie, a potem przeniósł wzrok na wody.

Wzór.

Człowiek tworzy wzory i narzuca je naturze. Z wysokości dziesięciu tysięcy stóp ta skała byłaby kamykiem, lecz co by się stało, gdyby ów kamyk był w paski? Spojrzał na rowy. Kamyk już był w paski. Przewrócone warstwy byłyby szare, a między nimi ciemniejsze linie rowów.

Ukrył twarz w dłoniach. Kratka. Paski. Słowa. S.O.S.

- Nie mogę zrezygnować z ubrań. Bez nich zamarzę na śmierć. A zresztą gdybym je rozłożył na ziemi, to i tak nie byłyby bardziej widoczne od tego guana. - Przez szpary między palcami popatrzył na Ulicę Główną. - Oblupać tu, tu i tam. Wygładzić. Wyciąć ogromny napis S.O.S. - Opuścił ręce i skrzywił się. - Bądźże poważny.

Znów kucnął i raz jeszcze zadumał się nad wszystkim, co miał. Ubrania. Małe kawałki papieru. Gumowy pas ratunkowy.

Wodorosty.

Urwał, wyrzucił ręce w górę i krzyknął z triumfem:

- Wodorosty!

8.

Całe ich tony oplatały urwisty brzeg, unoszone przez wodę lub pozwijane w kłębki przy Skale Nadziei.

Człowiek tworzy wzory.

Wodorosty, narzucić naturze nienaturalny wzór, będący krzykiem dla każdej myślącej istoty: Spójrz! Tu jest myśl! Tu jest człowiek!

- Najlepszym rozwiązaniem byłaby pojedyncza, nieprzerwana linia biegnąca pod odpowiednim kątem w stosunku do rowów, i do tego tak wysoka, by nie tylko różniła się od otoczenia, lecz także rzucała cień. Musi być szeroka przynajmniej na jard i idealnie prosta. Później zasypię jeden z rowów i linia prosta stanie się krzyżem. Wtedy skała będzie wyglądać z góry jak drożdżówka.

Spoglądając w dół w kierunku trzech skał, zaplanował, że linia będzie biegła przez rowy, mniej więcej równoległe do Ulicy Głównej. Zacznie się przy "Czerwonym Lwie", a skończy przy Karle. To będzie wielkie przedsięwzięcie. Szybko przemierzył Ulicę Główną, a znalazłszy sobie sensowną pracę, pomrukiwał sam do siebie, nie wiedząc dobrze dlaczego.

- Szybciej! Szybciej!

Po chwili jego uszy zaczął wypełniać wyimaginowany warkot samolotów. Co chwila zadzierał głowę i raz upadł, kalecząc się. Opamiętanie przyszło dopiero wtedy, gdy ciągnął wodorosty po Skale Żywicielce.

- Nie rób z siebie durnia. Daj spokój. Nie ma sensu spoglądać w górę, bo nie masz jak zwrócić na siebie uwagi. Tylko skończony bałwan tańczy i wymachuje koszulą, bo zdaje mu się, że pięć mil nad nim leci samolot.

Wygiął szyję i omiótł wzrokiem niebo, lecz nie dostrzegł niczego prócz błękitu i słońca. Wstrzymał oddech i nastawił uszu, jednak jedynym dźwiękiem, jaki go dobiegł, był wydobywający się z jego wnętrza szum życia, a z zewnątrz plusk i bełkot fal. Wyprostował szyję i stanął w zamyśleniu. Wrócił do rozpadliny. Rozebrał się do naga i rozłożył odzież na słońcu. Każdą rzecz kładł starannie po jednej stronie przyszłej linii wodorostów. Wrócił do "Czerwonego Lwa" i spojrzął na przestrzeń między nim a trzema skałami. Rozejrzał się i zszedł niżej. Woda była zimniejsza niż w jego pamięci, zimniejsza od tej, którą pił. Zacisnął zęby i zmusił się do dalszego schodzenia. Ostra skała kaleczyła mu kolana, otwierając rany z pierwszego dnia. Biodra wsparł o skałę między rękami, stękał. Nie czuł dna, a okręcające się wokół jego łydek wodorosty były zimniejsze od wody. Chłód ścisnął go jak na otwartym

morzu; strach sparaliżował go na samo wspomnienie. Wydał wysoki, rozpaczliwy krzyk, odepchnął się od ściany i skoczył. Woda pochwyciła go lodowatą ręką. Gdy otworzył oczy, dostrzegł trzaskające przed nim bicze wodorostów. Głowa wynurzyła się na powierzchnię i szaleńczym wysiłkiem rzucił się w kierunku skały. Przyłgnął do niej, drżący.

- Złap.

Spod wodorostów połyskiwała biel. Odepchnął się i pozwolił swoim stopom opaść na dno. Pod wodorostami, między jego skałą a trzema innymi, tkwiły otoczaki, chyba kwarcowe, równe i nieodgadnione. Wstał, przykucnął w wodzie i - wykonując rękami pływackie ruchy dla podtrzymania ciężaru ciała - zaczął obmacywać stopą najbliższą okolicę. Znalazł występ, wstał ostrożnie. Woda sięgała mu do piersi, a wodorosty czepiały się jego ciała. Zaczerpnął powietrza i zanurkował. Chwycił gruby pęk wodorostów i próbował je oderwać, lecz były bardzo mocne i gdy musiał się w końcu wynurzyć, miał ich w ręce zaledwie garść. Zaczął więc je odrywać bez nurkowania, zbierając to, co pozostało. Czasami, gdy ciągnął, odczuwał kamienne drgnięcie i lekki wstrząs, lub też zwolnione wodne poruszenie, gdy wszystko wracało do swego pierwotnego kształtu. Wrzucił wodorosty na skałę, a one zwisły bezwładnie, ociekając wodą.

Naraz wodorosty pod jego stopami drgnęły i coś prześlizgnęło się po jego palcach. Linia zwinnych i dziwacznych poruszeń wśród wodorostów. Cisza. Przywarł do urwiska i podciągnął nogi.

Woda pluskała.

- Krab. Homar.

Wśród cierpień doszedł na kolanach do "Czerwonego Lwa" i legł obok wodorostów, próbując uspokoić bicie serca.

- Nienawidzę tego.

Doczołgał się do skraju urwiska i spojrzał w dół. Od razu, jakby to jego oczy stworzyły ten obraz, dostrzegł owego homara wśród wodorostów, innego w swoim smoczym kształcie, innego w kolorze. Przyklęknął, patrząc w dół jak zahipnotyzowany, a czerwie nienawiści rozpełzły się po jego skórze.

- Potwór. Obrzydliwy morski potwór. Chwycił muszlę małża i z całej siły cisnął ją do wody. Słyszając plusk, homar zwarł się jak pięść i już go nie było.

- Pociągnięcie tej linii z wodorostów to będzie piekielna robota.

Strząsnął czerwie pełzające po skórze. Zszedł ze Skały Nadziei. Ostatnie trzy lub cztery stopy pokrywała zwisająca masa wodorostów. Tyle ich unosiło się na powierzchni, że morze przypominało tam łąd stały.

- Odpływ.

Wspiął się po skałę i zaczął szarpać wodorosty, lecz bezskutecznie. Korzenie były tak mocno przyssane do skały, że trudniej je było oderwać niż skałoczepy czy małże. Niektóre wodorosty wyglądały jak wielkie krzaki zakończone pomarszczonymi torebkami pełnymi galarety. Inne przypominały długie szpady, o płazach i ostrzach drgających i pokrytych wyżłobieniami. Cała reszta była gładką, brązową skórą, zupełnie jakby zebrano tu pasy do szpad dla wszystkich oficerów świata. Pod wodorostami skała porośnięta była futrem kolorowych narośli lub pokryta czymś twardym i ozdobnym, przywodzącym na myśl nie upieczone ciasto. Był tam również "Rumieniec Barmanki". Ciche bulgoty, piśnięcia i rozbryzgi.

Trzymając się jedną ręką skały, drugą szarpnął kępę wodorostów. Zaklął, wspiął się z powrotem na skałę, powędrował Ulicą Główną aż do Bocianiego Gniazda i stanął, patrząc na morze i niebo.

Drgnąwszy, ocknął się.

- Nie trać czasu. Ruszaj się.

Skierował się do rozpadliny, powiesił nóż na szyi i podniósł pas ratunkowy. Odkręcił zatyczkę, wypuścił powietrze i zszedł ze skały. Przewiesił pas ratunkowy przez ramię i zaatakował nożem korzenie wodorostów. Były nie tylko twarde twardością gumy, lecz również śliskie. Musiał znaleźć odpowiedni kąt i odpowiednio przemyślnie, pozbawione emocji podejście, aby wbić w nie czubek noża. Zbierał wodorosty na ramieniu, jak drewno na opał. Trzymał pas ratunkowy w zaciśniętych zębach i przeciągał liście pomiędzy nim a tasiemką. Zmienił pozycję, teraz chwycił się lewą ręką i rwał wodorosty prawą. To, co zebrał, zwieszało się grubym pasem z jego ramienia i opadało niżej kolan jak długa brązowa smuga.

Poszedł do "Czerwonego Lwa" i cisnął wodorosty na ziemię. Widziane z odległości zaledwie kilku stóp wyglądały jak niewielka plamka. Rozciągnął ich pasma, tworząc prostą, która miała przebiegać w poprzek linii rowów. W samych rowach wodorosty nie miały żadnego podparcia.

- Muszę wypełnić rowy do tej wysokości, gdzie przecinają je wodorosty.

Gdy wykorzystał już wszystkie, pas ciągnął się od "Czerwonego Lwa" do Bocianiego Gniazda. Przeciętna jego szerokość wynosiła dwa cale.

Wrócił do Skały Nadziei i zabrał więcej wodorostów. Przykucnął przy "Czerwonym Lwie" i zmarszczył czoło. Przymknąwszy jedno oko, zamyślił się nad swoim dziełem. Linia była ledwie widoczna. Znów wdrapał się na urwisko.

Od najdalszej z trzech skał dobiegł go nagły plusk. Obrócił się. Nic. Żadnej piany, tylko pomarszczone zakłócenie równego rytmu drobnych fal.

- Powinienem złapać rybę.

Chwycił kolejne naręcze wodorostów. Gdy je ścisnął, galaretowate torebki pękły. Przyłożył jedną z nich do ust, lecz była bez smaku. Potem zaniósł do "Czerwonego Lwa" następny ładunek i następny. Gdy ułożył wodorosty w pierwszym rowie, stwierdził, że od brzegu wciąż dzieli je stopa.

Stał w rowie, z oczami wbitymi w czerwień i brąz wodorostów, i naraz poczuł, że ogarnia go zubożenie.

- Dwanaście naręczy? Dwadzieścia? A potem, żeby jeszcze pogrubić linię...

Umysł z taką jasnością dostrzega, co należy zrobić, i z góry oblicza koszty.

- Odpocznę nieco. - Podeszedł do Karła i usiadł pod pustym niebem. Wodorosty biegnęły cienkim paskiem przez skałę. - To gorsze niż wszystko, co robiłem do tej pory. Na dzisiaj mam dość. - Złożył głowę na kolanach i wymamrotał do cienia diagramu - linii z szarą kulka: - Odkąd nas storpedowali, ani razu nie srałem.

Siedział w bezruchu, medytując nad działaniem swoich jelit. Niebawem jednak spojrzał w górę. Słońce powoli się chowało, sprawiając, że część horyzontu wydawała się osobiście czysta i bliska. Gdy wyteżył wzrok, zdawało mu się nawet, że dostrzega maleńkie fale, zakłócające idealną gładkość horyzontu.

Między słońcem a Skałą Ocalenia tkwił jakiś biały punkt. Przyjrząwszy się uważnie, pojął, że to mewa, siedząca na wodzie i unoszona przez fale. Natychmiast też oczyma duszy zobaczył, jak ta mewa wzbija się w powietrze i leci na wschód, ponad morskim ramieniem. Być może jutro rano będzie szybować nad skalnymi czubkami i chatynkami Hebrydów lub podążać za pługiem orzącym jakiś irlandzki stok. W wizji, przyćmiewającej to jasne popołudnie, zobaczył oracza, który zamierza się czapką na skrzeczącego ptaka.

- Wynoś się, już, i niech cię licho porwie!

Jednakże ptak nie usadowi się na kamieniu granicznym, nie otworzy dzioba i nie przemówi jak w ludowych podaniach. Nawet gdyby był czymś więcej niż tylko latającą maszyną, i tak nie potrafiłby przekazać wiadomości o przerażonym człowieku na oblanej bezmiar wód skałe. Powstał i zaczął przemierzać Bocianie Gniazdo tam i z powrotem. Wyodrębnił pewną myśl i przyjrzał się jej.

Może być i tak, że nigdy się stąd nie wydostanę.

Mowa to potwierdzenie tożsamości.

- Wszystko wokół mnie jest maszyną. O, ja was znam, wilgoci, twardości, ruchu. Nie ma w was miłosierdzia, ale i nie ma inteligencji. Ja mogę was przechytrzyć. Wystarczy, że przetrwam. Wdmuchuję powietrze do własnego pieca. Zabijam i zjadam. Nie ma się czego... - Urwał i spojrzał na zbliżającą się mewę; nie była jednak dostatecznie blisko, by pod jej bielą mógł dostrzec gada. - Nie ma się czego bać.

Fale unosiły siedzącą na nich mewę. Oczywiście i tu, na środku Atlantyku, istniał przypływ, ogromna fala przelewająca się przez świat. Była tak potężna, że wyrzucała z siebie języki przekształcające się w olbrzymie prądy oceaniczne zagarniające tysiące mil wody. Tak więc i tę skałę obmywał jakiś prąd, narastając, zatrzymując się, zawracając i płynąc z powrotem, wiecznie i bezsensownie. I nawet gdyby życie znikło z powierzchni ziemi, starte jak pyłek z motyli skrzydełek, ten prąd nie zaprzestałby swojej nieustającej wędrówki. Skała tkwiła w miejscu nieporuszona, obmywana niezmiennie przez fale.

Spojrzał na mewę, zbliżającą się coraz bardziej do Skały Nadziei. Chełpliwie stroszyła pióra i wymachiwała skrzydłami jak pływająca po stawie kaczka.

Odwrócił się raptownie w drugą stronę i ruszył szybkim krokiem w kierunku Skały Nadziei. Połowa wiszących wodorostów była zerwana.

Jutro.

- Zmachałem się. Nie mogę przesadzać.

Na skale ciągle jest coś do roboty. Ani chwili nudy.

Pomyślał o małżach z wyraźnym niesmakiem i skierował myśli na pęcherzyki z galaretą na końcach wodorostów. Wyczuwał niejasno, że słyszy głos swojego żołądka. Mówił, że nie lubi małży. Jeśli zaś chodzi o ukwiały - sama myśl sprawiała, że jego kiszki skręcały się, wysyłając do ust obrzydliwy smak.

- Przeprocowanie. Zbyt długi wysiłek. Może nawet oparzenie słoneczne. Nie mogę przesadzać.

Przypomniał sobie poważnie, że to miał być dzień, w którym zostanie uratowany, lecz nie potrafił odnaleźć w sobie przenikającej go wcześniej pewności.

- Ubrać się.

Włożył ubranie, obszedł Karła dookoła i znowu usiadł.

- Chciałbym się przespać. Ale nie wolno mi tego zrobić, póki jest jasno. Może podpłynąć blisko, włączyć syrenę i - jeżeli się nie pojawię - oddalić się. Dziś jednak miałem przed sobą jakiś cel. Jutro muszę skończyć z wodorostami. Może jakiś okręt jest już pod linią horyzontu. Albo tak wysoko, że go nie widzę. Muszę czekać.

Usiadł zgarbiony przy Karle i czekał. Jednakże rezerwuary czasu były niewyczerpane i to, co początkowo stanowiło dlań jakiś cel, stało się szare, nie kończące się i pozbawione wszelkiej nadziei. Zaczął szukać tej nadziei w głębi swego umysłu, lecz całe ciepło zdążyło stamtąd uciec, a jedyną pozostałością był przeintelektualizowany i bezkrwisty duch.

Wymamrotał do siebie:

- Odnajdą mnie. Odnajdą mnie.

Doszedłszy do kresu, który był tak oddalony od początku, że zapomniał wszystko, o czym wcześniej rozmyślał, uniósł do góry głowę i spostrzegł, że słońce kryje się za horyzontem. Podniósł się ciężko, poszedł do dziury z wodą i zaczął pić. Plama czerwieni wokół bliższego brzegu była nieco szersza.

Krzyknął, a jego głos powrócił z echem.

- Muszę coś zrobić z tą wodą.

Ubrał się, jakby szedł spać, owijając stopy szarym swetrem. Tym samym stworzył miękką wyściółkę między swoim ciałem a skałą, coś na kształt dywanu, który okrywa kamienne posadzki katedr. Dawało to niezwykle wrażenie, jakiego jego stopy nie doświadczyły nigdy wcześniej, zwłaszcza zaś gdy nosił te idiotyczne, średniowieczne buty Michaela, całe udziwnione, lecz praktycznie bez podeszew. Ponadto akustyka była fatalna - najpierw głuchy stukot, a potem wysoki odgłos pod beczkowym sklepieniem, który wzrastał z każdym wypowiedzianym słowem, jak gdyby ktoś raz na jakiś czas rozhuśtywał wahadło...

- Nie słyszę cię, stary, nic a nic. Trochę głośniej. No. Dalej cię nie słyszę...

- Głośniej? Wolniej?

- Nie, tylko nie wolniej, broń Boże. Bardziej dynamicznie. To wszystko na dzisiaj, chłopcy i dziewczęta. Poczekaj chwilę, Chris. Słuchaj, George, Chrisowi to wcale nie wychodzi...

- Daj mu jeszcze trochę czasu, stary. Jakoś ci nie leży, co?

- Poradzę sobie, George.

- Lepiej mu pójdzie w tej innej roli, stary. Nie czytałeś obsady, Chris? Dublujesz, ale rzecz jasna...

- Helen nigdy nie wspominała...

- A cóż Helen ma z tym wspólnego?

- Ona nigdy nie mówiła...

- Ja sam ustalam obsadę, stary.

- Oczywiście, Pete, jak najbardziej.
- Więc dublujesz pasterza i jeden z siedmiu grzechów głównych, stary. Słuchaj, George, co o tym myślisz? Chris jako jeden z siedmiu grzechów głównych?
- Jak najbardziej, stary, jak najbardziej.
- Wiesz co, Pete, myślę, że po tym wszystkim, co dla was zrobiłem, nie powinienem wyznaczać mnie do...
- ...dublowania, stary? Wszyscy dublują. Nawet ja dubluję. Więc potrzebujemy cię do siedmiu grzechów głównych.
- A do którego, Pete?
- Do wyboru do koloru, stary. Jak myślisz, George, chyba pozwolimy naszemu drogiemu starymu Chrisowi wybrać jego ulubiony grzech, co?
- Jak najbardziej, stary, jak najbardziej.
- Prune pracuje nad nimi w krypcie, więc idź i sobie zobacz, Chris...
- Ale jeśli skończymy przed dzisiejszym występem...
- Odwagi, Chris. Gramy dalej. No jak, George, pewnie chciałbyś zobaczyć maskę, którą Chris sobie wybierze, co?
- Cóż, tak. Tak, na Boga, Pete, jasne, że chcę. Proszę bardzo, Chris, wybieraj.
- Nie sądzę, bym...
- Proszę bardzo, Chris.
- Co za dziwne uczucie pod stopami, ten dywan na kamieniu, prawda, George? Rzecz gruba i kosztowna, tak po prostu pozwalająca twoim zmysłom wyczuwać tę pierwotną materię pod spodem. Oto one, Chris, jedna obok drugiej. No i co?
- Wszystko, co każesz, stary.
- A co powiesz na Pychę, George? Mógłby ją zagrać bez maski i tylko z lekką charakteryzacją, prawda?
- Słuchaj, Pete, skoro dubluję, to raczej nie chciałbym...
- Może Gniew, co, George?
- Zazdrość, Pete?
- Nie miałbym nic przeciwko Lenistwu, Pete.
- Nie, Lenistwo nie. Może spytamy Helen, co, Chris? Niezwykłe sobie cenię rady mojej małżonki.
- Uspokój się, Pete.
- A może tak jakaś malutka Nieczystość?
- Pete! Przestań!

- Nie miej mi tego za złe, Chris, stary. Po prostu jestem trochę podenerwowany, to wszystko. A oto, panie i panowie, prawdziwie piękna sztuka, absolutnie nieużywana. Są chętni? Nie? Dla tego gładkiego dżentelmena z falistą fryzurą i profilem. Po raz pierwszy, po raz drugi...

- A co to ma znaczyć, stary?

- Skarbie, to po prostu ty ! Nie sądzisz, George?

- Jak najbardziej, stary, jak najbardziej.

- Chris, oto Chciwość. A oto Chris - poznajcie się.

- Dla ciebie wszystko, Pete.

- Pozwólcie, że przedstawię was sobie bliżej. Ten oto wypudrowany skurwielił chwytą wszystko, co się da. I nie chodzi tu bynajmniej o jedzenie, Chris, to byłoby zbyt proste. On bierze to, co najlepsze: najlepsze miejsce, najlepsze pieniądze, najlepszą recenzję, najlepszą kobietę. Przyszedł na świat z otwartą gębą i rozporciem i rękami nastawionymi na chwytanie. To kosmiczny przypadek skurwiela, który zawsze potrafi upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Czyż tak nie jest, George?

- Uspokój się, Pete. Chodź, połóż się na chwilę.

- Czy Chciwość myśli, że może zagrać Martina?

- Uspokój się, Pete. On tak wcale nie myśli, Chris. Po prostu jest zdenerwowany. Emocje poniosły, co, Pete?

- Po prostu. Tak. Jasne. Po prostu.

- Już od tygodnia się nie wysrałem.

Nadciągnął gęstniejący zmierzch, a z nim mewy. Jedna usiadła na Karle. Gdy jego srebrna głowa zachybotła się, ptak oddał kał, zatrzepotał skrzydłami i odleciał. Poszedł do rozpadliny, nadmuchał pas ratunkowy, zawiązał tasiemki i wsunął całość pod głowę. Wygodnie ułożył ręce. Potem zdało mu się, że potrzebuje dodatkowej ochrony dla głowy, więc wyczołgał się z legowiska i przyniósł ziodwestkę z "Czerwonego Lwa". Raz jeszcze wykonał cały rytuał układania się w rozpadlinie.

- Mój Boże! - Znów wydostał się z legowiska. - Gdzież, u diabła, jest mój sztormiak?

Ruszył rozpaczliwie przez skały w kierunku "Czerwonego Lwa", potem zbiornika z wodą, Skały Nadziei...

- Na pewno nie ma go przy Karle, bo nigdy...

Z rowu i do rowu, cuchnące wodorosty, lepkie, może jest pod nimi?

Znalazł sztormiak tam, gdzie go zostawił - przy Karle. Obryzany białą pianą. Założył go na bajową bluzę i znów umościł się w rozpadlinie.

- Tego one ci nigdy nie powiedzą, nie podsuną żadnego pomysłu. Nie ma niebezpieczeństwa, nie ma trudów, tylko drobne, idiotyczne drobiazgi, przeklęty ciąg tych samych czynności, dni wysączające się oślizgłą siąpawicą drobnych potknięć, których się nie zauważa, gdy można normalnie pójść do pracy, skoczyć do "Czerwonego Lwa" albo spotkać się ze swoją flamą... Boże, gdzie mój nóż?

Nóż był na miejscu, wisiał na szyi i sterczał spod żeber po lewej stronie jak fragment skały. Wydobył go i zaklął.

- Lepiej, jeśli przemyślę wszystko teraz. Popełniłem błąd, robiąc to wtedy, gdy mogłem pracować. Gdybym przemyślał wszystko ubiegłej nocy, pracowałbym przez cały dzień bardziej metodycznie i zrobił dużo więcej.

A więc zaczynamy. Po pierwsze, muszę skończyć tę linię wodorostów. Potem muszę wymyślić miejsce na ubrania, żeby nigdy więcej nie wpadać w taką panikę. Najlepiej chyba przechowywać je tutaj, wtedy zawsze będę pamiętał. Po drugie. Nie. Po trzecie; drugie były ubrania. A więc po trzecie. Woda. Nie mogę się do niej dokopać. Muszę ją łapać. Wybrać jeden rów poniżej poziomu guana i powyżej linii, do której dochodzi piana. Zrobić zlewisko.

Poruszył szczęką. Kominiarka zahaczała o jego zarost, powodując nieprzyjemne uczucie. Na rękach i nogach czuł lekkie pieczenie towarzyszące oparzeniu. Ciało reagowało bólem na wszystkie nierówności skały.

- Niedługo spadnie deszcz. Wówczas będzie nadmiar wody. A co zrobię z tą rozpadliną? W żadnym wypadku nie mogę zmoczyć ubrań. Muszę zrobić namiot. Może już jutro mnie wyratują.

Przypomniał sobie, iż tę pewność miał już rano, i w jego sercu zapanował niewyjaśniony smutek, zupełnie jakby ktoś nie dotrzymał danego mu słowa. Leżał na wznak, wpatrując się w gwiazdy i dumając, skąd by tu wziąć kawałek nie malowanego drewna. Nie można jednak było marzyć o drewnie, nawet o ogryzku ołówka. Ani o soli, żeby cisnąć ją przez lewe ramię. Może wystarczyłaby odrobina morskiej wody?

Poprowadził rękę w dół, w kierunku prawego uda. Słońce widać nie oszczędzało i starej blizny, bo czuł, że zgrubienie lekko go piecze - nie było to nieprzyjemne, lecz po prostu nie dało się o nim zapomnieć. Gdy wykrzywił twarz, usłyszał tarcie zarostu o kominiarkę.

- Po czwarte: naostrzyć nóż tak, by można się było nim golić. Po piąte: nie dać się zjeść mewom.

Na poparzoną przez słońce ciele czuł ukłucia bólu.

- Cierpienie to normalna reakcja organizmu. Wszystko, co przeszedłem na morzu i w tym wąskim lejku, było piekłem, a gdy wyrzuciło mnie na tę skałę, cieszyłem się jak wariat. Teraz szczęście znów się odwraca. Muszę spać, muszę zachować spokój i skupić się na śnie.

Oparzona skóra wciąż piekła, zarost tarł o kominiarkę, a skalne nierówności rozpałały swoje powolne, ledwo tłące się ognie. Nie przestawały istnieć, jak morze. Nawet gdy świadomość się wyciszała, one nie dawały spokoju. Stały się świetlistym krajobrazem, stały się wszechświatem, a on oscylował między swobodnym kołysaniem się w przestrzeni, połączonym z ich obserwacją, a rozciągnięciem pomiędzy wszystkimi niezwykle bolesnymi punktami.

Otworzył oczy i spojrzął w górę. Zamknął je znowu i zamruczał do siebie:

- Chyba mi się śni.

Otworzył oczy, lecz blask słońca nie znikł. Światło jakby przytłumiło ból, ponieważ umysł mógł się teraz skupić na czymś innym. Leżał, patrząc na jasne niebo i starając się przypomnieć sobie właściwości tego czasu, który tak nagle zarysował się w perspektywicznym skrócie.

- Wcale nie spałem!

A umysł jego z ogromną niechęcią zapatrywał się na wyjście z rozpadliny i konieczność stawienia czoła wszystkiemu, co go czekało. Wrzucił monotonne słowa w ciężką, zwieszającą się nad nim gęstwą powietrza:

- Dzisiaj mnie uratują.

Wydostał się z rozpadliny. Powietrze było ciepłe, więc rozebrał się do spodni i swetra. Starannie złożył ubrania i umieścił je w rozpadlinie. Gdy pochylił się nad zbiornikiem z wodą, czerwony osad zostawił mu znak na piersiach. Wypił sporo wody, a gdy przestał pić, dostrzegł ciemniejszą plamę ciemności pomiędzy wodą a oknem.

- Muszę zdobyć więcej wody.

Leżał bez ruchu i próbował ustalić, co jest istotniejsze: przygotowania do łapania wody czy też ukończenie linii wodorostów. To mu uświadomiło, że gdy tylko maleje jego czujność, czas ucieka jak szalony, więc pośpieszył znów na Bocianie Gniazdo. Dzień mienił się od kolorów. Słońce paliło, a woda była granatowa i połyskiwała wesoło. Kolory rozlewały się po skałach, a cienie - dopóki się na nie uważnie nie spojrzało - były ciemnofioletowe. Spojrzawszy w kierunku Ulicy Głównej, ujrzał jakby obrazek. Zacisnął powieki i otworzył je

ponownie, lecz ani skały, ani morze nie wydawały mu się bardziej realne. Tworzyły barwny wzór, wypełniający trzy światła jego okna.

- Wciąż śnię. Jestem zamknięty wewnątrz mego ciała. Poszedł do "Czerwonego Lwa" i usiadł nad brzegiem morza.

- Po cóż to zrobiłem? - Zmarszczył brwi i spojrzął na wodę. - Chcę zdobyć coś do jedzenia. Ale nie jestem głodny. Muszę zbierać wodorosty.

Z rozpadliny wyjął pas ratunkowy i nóż, po czym ruszył w stronę Skały Nadziei. Musiał wchodzić dalej po występach, ponieważ bliższa część urwiska była już ogołocona. Dotarł do pewnego występu, który był mu jakby znajomy, i zamyślił się.

- Przyszedłem tutaj po kamienie na budowę Karła. Próbowałem przesunąć ten kamień, lecz on nawet nie drgnął, chociaż był pęknięty.

Zmarszczył brwi i spojrzął na kamień. Potem zaczął się zsuwać, coraz niżej i niżej, aż zawisł, uczepony oboma rękami urwiska; szczelina oddalona była od jego twarzy tylko o jakąś stopę. Również tutaj - tak samo jak w wypadku całego urwiska - spojeniem były warstwy pąkli i różne tajemnicze narośla. Szczelina jednak była szersza. Cały kamień przemieścił się po skosie o jakąś jedną ósmą cala. Wewnątrz panowała straszliwa ciemność.

Pozostał tam, tak długo wpatrując się w te skały, że aż zapomniał, o czym myślał. Zaczął sobie wyobrażać całą skałę jako przedmiot zanurzony w wodzie i pokręcił głową.

- Jak to jest, u diabła, że ta skała wydaje mi się znajoma? Przecież nigdy wcześniej tu nie byłem...

Znajoma, inaczej jednak niż ktoś poznany w czasie wojny, z kim się zaznajamiamy dlatego, że zmuszeni jesteśmy dzielić z nim nie kończący się ciąg godzin, lecz znajoma jak jeden z krewnych, widywany rzadko, szanowany, rok po roku, znajoma jak przyjaciel z lat dziecińczych, niańka, osoba nam bliska, z za której wyziera cień wieczności; wreszcie znajoma jak skały dzieciństwa, badane i na nowo oceniane w każde wakacje, pamiętane w ciemnościach łóżka, zimą, wyobrażane jako kształt, który palce mogą wyczuć w powietrzu...

Od strony trzech skał dobiegł go głośny plusk. Wspiął się pośpiesznie na "Czerwonego Lwa", lecz nie dostrzegł niczego.

- Powinienem łowić ryby.

Czuł smród bijący od leżących w rowach wodorostów. Rozległo się kolejne pluśnięcie i tym razem zdążył zobaczyć rozchodzące się na wodzie kręgi. W zamyśleniu dotknął rękami policzków, lecz zarost na twarzy skierował jego myśli w zupełnie innym kierunku.

- Na pewno mam już niezgorszą brodę. No, w każdym razie zarost. To dziwne, że włosy nie przestają rosnać nawet wtedy, gdy cała reszta jest już...

Poszedł szybkim krokiem w stronę Skały Nadziei, chwycił naręcze, wodorostów i cisnął je do najbliższego rowu. Potem ruszył wolno wzdłuż Ulicy Głównej do Bocianiego Gniazda i usiadł, opuszczając ręce. Głowa opadła mu między kolana. Pluskanie wody wokół Skały Nadziei było bardzo kojące, a na Bocianim Gnieździe, jak posążek, siedziała mewa.

Odgłosy wewnątrz jego ciała zaczęły się rozprzestrzeniać. Wypełniały jego niezgłębiony mrok jak dźwięki maszyn. Jego głowa podskakiwała nieznacznie przy każdym uderzeniu serca.

Z tego stanu wyrwał go ostry wrzask. Mewa była coraz bliżej, z na pół rozpostartymi skrzydłami i opuszczoną głową.

- Czego chcesz?

Pierzasty gad zrobił dwa kroki w bok, po czym złożył skrzydła. Dziób zanurzył się pod skrzydło.

- Gdybym się wysrał, zaraz by mi ulżyło.

Dźwignął się, obrócił i spojrzał na Karła, który mrugnął doń srebrnym okiem. Linia horyzontu była twarda i bliska. Znowu wydawało mu się, iż dostrzega w niej odkształcenia.

Kłopot w tym, że na skale nie było żadnej wyściółki, żadnej kępy traw. Przez moment myślał o przyniesieniu swojej bluzy i zrobieniu z niej siedzenia, lecz wymagało by to zbyt dużego wysiłku.

- Czuję w środku ból, jak gdyby moje ciało było posiniaczone. Udręczone przez twardość skały. Chcę myśleć o wodzie.

Woda była przymilna, miękka i uległa.

- Muszę stworzyć coś na kształt schronienia. Muszę zrobić coś, w co mógłbym łapać wodę.

Doszedł nieco do siebie, poczuł się silniejszy i bardziej zatroskany. Ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na poprzewracane skały, tak szaleńczo i ulotnie znajome, i przebiegł wzrokiem wzdłuż cienkiej linii wodorostów. Miejscami była błyszcząca. Może z powietrza będzie ją widać jak błyszczący pas.

- Mógłbym chwytać wodę w mój sztormiak. Ze ściany rowu mógłbym zrobić zlewisko. - Przerwał i odchylił się do tyłu, opierając się o Karła jak o oparcie krzesła, lecz skała była tak nierówna, że po chwili znowu usiadł. Zgarbił się i zmarszczył brwi. - Zdaję sobie sprawę z... - Spojrzał w górę. - Zdaję sobie sprawę z ciężaru. Ociężałego ściskania. To agorafobia, a w każdym razie przeciwieństwo klaustrofobii. Nacisk.

Zbiornik na wodę.

Zerwał się na nogi i wspiął znowu na Ulicę Główną. Zbadał rów sąsiadujący z jego sypialną rozpadliną.

- Stamtąd najczęściej wieje wiatr. Muszę łapać wodę z obszaru na południowym zachodzie.

Wyciągnął nóż i narysował linię biegnącą w dół pochyłej skały. Kończyła się wgłębieniem, a jego ręka wchodziła do połowy tam, gdzie ściana stykała się z dnem rowu. Podeszedł do Karła, starannie wyłuskał białego ziemniaka i wrócił z nim. Na końcu rękojeści składanego noża znajdowało się coś, o długości jednej czwartej cala, co miało spełniać funkcję śrubokrętu. Przyłożył to coś do skały - mniej więcej o cal od owej linii - i zaczął stukać kamieniem w drugi koniec noża. Skała zaczęła odpadać cienkimi płatkami. Przytknął śrubokręt do samej linii i stukał tak długo, aż zagłębił się w skałę. Niebawem powstała linia głęboka na jakąś jedną ósmą cala i długa na stopę. Przeszedł do miejsca, w którym linia się kończyła.

- Zaczynj od najważniejszego kawałka linii. Wtedy bez względu na to, kiedy spadnie deszcz, i tak uda ci się złapać trochę wody.

Odgłos uderzeń przyjemnie odbijał się w rowie i poczuł się tak, jakby pracował w jakimś pokoju.

- Mógłbym rozłożyć nad tym rowem albo mój sztormiak, albo moją bluzę i wtedy miałbym dach. Aż tak bardzo nie odczuwam tutaj tej ociążałości. Po części dlatego, że jestem w pokoju, a po części dlatego, że pracuję.

W ramionach czuł ból, lecz linia wznosiła się od ziemi i mógł teraz pracować w wygodniejszej pozycji. Rozpoczął jakieś marzycielskie wyliczenia, próbując dociec, czy to, iż coraz łatwiej mu się pracuje, pomoże przemóc zmęczenie, ale doszedł do wniosku, że nie. Usiadł na ziemi, z twarzą oddaloną o kilka cali od skały. Czoło oparł o kamień. Ręka się rozwarła.

- Mógłbym pójść do mojej rozpadliny i położyć się na chwilę. Albo owinąć się bluzą obok Karła.

Odrzucił głowę w tył i powrócił do pracy. Wyżłobiona linia cały czas się wydłużała. Gdy wyżłobienie doszło do miejsca, skąd zaczął pracę, usiadł i uważnie przyjrzał się mu.

- Powinienem był ją wyciąć bardziej po skosie. Niech to diabli.

Wykrzywił się na skałę i raz jeszcze przekuł całą linię, starając się pogłębić dno.

- Musi być głębsza bliżej końca.

Ponieważ ilość wody w zagłębieniu... zmienił jednak zdanie i głośno skończył swoje obliczenia:

- Na ilość wody w zagłębieniu dowolnej długości składać się będzie cała woda zebrana w wyższym punkcie i zarazem będzie ona proporcjonalna do powierzchni znajdującej się powyżej skały.

Postukał w skałę, posyłając na ziemię garść kamiennych płatków. Jego ręce się poddały i usiadł na dnie rowu, przyglądając się swojej pracy.

- Po tym wszystkim wykonam prawdziwą pracę inżynierską. Znajdę jakiś skomplikowany teren, otaczający potencjalny zbiornik, i wyłobię całą siatkę rowków, które poprowadzą doń wodę. Zapowiada się ciekawie. Przypomina mi się budowanie zamków z piasku.

Albo cesarze rzymscy, sprowadzający wodę ze wzgórz do miasta.

- To jest akwedukt. Nazwę go Akweduktem Klaudiusza.

Znów zaczął odłupywać płatki, narzucając swój cel obojętnej skale.

- Ciekawe, jak długo już to robię.

Położył się w rowie i poczuł ból w plecach. Akwedukt Klaudiusza był długą, białawą blizną.

- W twardości tej skały jest coś jadowitego. Jest twardsza niż normalne skały. I znajoma. - Ów ciężar przyciskał go do ziemi. Usiadł z trudem. - Powinienem wysuszyć wodorosty i wyłożyć nimi rozpadlinę. Ale zbyt wiele jest do zrobienia. Żeby przetrwać i doczekać, potrzebuję jeszcze kogoś. Może uda mi się znaleźć inne miejsce do spania. Na wolnym powietrzu? Jest mi przecież ciepło.

Zbyt ciepło.

- Moje ciało jest wyczulone na bodźce dochodzące od wewnątrz - zupełnie, jakby było posiniaczone aż do kości. I duże. Nabrzmiwające.

Mroczny glob skierował swoje skomplikowane okno w kierunku nieba. Głos wyparował u wrót, jak para uciekająca w suchy dzień:

- Przpracowuję się. Jeśli nie zachowam rozsądku, wyczerpię wszystkie siły. Tak czy inaczej, wręczę ci to, Chris. Nie wydaje mi się, by wielu ludzi... - Urwał nagle, a potem znów się odezwał: - Chris. Christopher! Christopher Hadley Martin...

Słowa wyschły.

Był tam instrument badawczy, punkt, o którym wiedział, że istnieje. Były dźwięki dochodzące z niższej części twarzy. Nie miały jednak przypisane żadnego znaczenia. Były bezużyteczne jak wyrzucone puszki z odgiętym wieczkiem.

- Christopher. Christopher! - Wyciągnął obie ręce, jakby pragnął schwycić te słowa, zanim zdążą wyschnąć. Ręce pojawiły się przed oknem i bez żadnego powodu napełniły go

przerażeniem. - O Boże. - Objął się ramionami, przytulił mocno, kiwając w obie strony.
Zaczął mamrotać: - Spokojnie. Spokojnie. Zachować spokój.

9.

Podniósł się pełen werwy i usiadł na brzegu rowu. Przez spodnie i kalesony czuł ostre krawędzie odłupanych wcześniej płatków skalnych. Przesunął się nieco dalej, do miejsca, gdzie płatki wydawały się gładze, lecz wcale nie było mu wygodniej.

- Jestem tym, kim byłem.

Zbadał kształt swojego okna i włochatą skrzynkę z kwiatami tkwiącą między jednym a drugim nosem. Skierował okno w dół i zbadał to, co mógł zobaczyć z siebie. Podarty sweter zwisał w strzępach i nitkach. Poniżej klatki piersiowej był cały w fałdach, a rękawy zwinęły się w harmonijkę. Spodnie poniżej swetra nie były czarne, lecz lśniące i szare, a jeszcze niżej jego pończochy opadały jak szmaty, w które palacz wyciera ręce. W żadnym miejscu nie było widać ciała, nic prócz zbitki zniszczonego materiału. Przez chwilę patrzył obojętnie na przedziwne kształty spoczywające na spodniach, aż doszło doń, że przecież nie jest to miejsce dla homarów. Nagle targnęła nim potworna nienawiść do homarów i odrzucił je z taką siłą, że rozbiły się o skałę. Tępy ból po tym gwałtownym ruchu sprawił, iż powrócił w nie znowu, a one na powrót stały się jego rękami, spoczywającymi bezwładnie tam, gdzie je porzucił.

Odchrząknął, jak gdyby miał przemawiać przed publicznością.

- Jakże mogę w pełni odzyskać tożsamość, skoro nie mam lustra? Właśnie to mnie zmieniło. Kiedyś byłem człowiekiem, który miał dwadzieścia swoich zdjęć - w różnym wieku i w różnych rolach - z podpisem biegnącym ukośnie w prawym dolnym rogu jako znak i jako pieczęć. Nawet gdy poszedłem do Royal Navy, miałem zdjęcie w książeczce marynarskiej, więc od czasu do czasu mogłem rzucić na nie okiem i sprawdzić, kim jestem. Może nawet nie potrzebowałem patrzeć - ograniczałem się do noszenia tej książeczki na sercu, bezpieczny świadomością jej posiadania, całkowicie pewny. Były tam również lusterka, potrójne lusterka, bardziej odrębne niż trzy światła w tym oknie. Mogłem ustawić te boczne w taki sposób, by uzyskać podwójne odbicie i pozwalało mi to śledzić siebie z boku lub z tyłu w lusterku, zupełnie tak, jakbym obserwował kogoś obcego. Mogłem sam się śledzić i oceniać wpływ na świat Christophera Hadleya Martina. Potrafiłem odnaleźć w ciałach innych ludzi pewność swojej własnej trwałości - poprzez ciepło, pieśczoły i triumfalną fizyczność. Mogłem być postacią umieszczoną w ciele. Teraz jestem czymś tutaj - zbiorowiskiem bóli pokaleczonego ciała, kupą szmat i tych homarów na skale. Te trzy światła w moim oknie nie pozwalają mi się zidentyfikować, choć tam, w świetle, były zupełnie wystarczające. Tam byli jednak inni ludzie, którzy opisywali je dla mnie - zakochiwali się we mnie, oklaskiwali mnie, pieścili to

ciało, określali je dla mnie. Byli tam ludzie, nad którymi brałem górę, ludzie nie darzący mnie sympatią, kłócący się ze mną. Tutaj nie ma niczego, z czym mógłbym się kłócić. Grozi mi stoczenie się w nieokreśloność. Tworzę album składający się z luźnych, przypadkowych zdjęć, zbieranie starych taśm filmowych. Jedyna wiedza o mojej twarzy ogranicza się do kłucia zarostu, swędzenia, uczucia świerzbiącego ciepła. - Wykrzyknął w gniewie: - To nie jest twarz dla człowieka! Wzrok to przedzieranie się reflektorem przez ciemność. Powinienem móc widzieć wszystko wokół mojej głowy...

Zszedł tam, gdzie był zbiornik z wodą, i zerknął do środka. Jej powierzchnia była nieprzenikniona. Wyczołgał się z powrotem i ruszył, wśród porozsypywanych muszelek, w kierunku "Czerwonego Lwa". Na jednej ze skał znalazł kałużę z morską wodą. Oblana słońcem, była głęboka na cal; zamieszkiwał ją jeden obrośnięty wodorostami skałoczep i trzy ukwiały. Na dnie maleńka rybka, nie mierząca nawet cala, zażywała kąpieli słonecznej. Nachylił się nad powierzchnią wody, przyglądając się ruchom rybki i błękitnemu niebu daleko na dnie. Bez względu jednak na to, jak przekrzywił głowę, widział tylko ciemną plamę okoloną dzikim zarysem włosów.

- Najlepszym moim zdjęciem jest to, gdy grałem Algernona. Demetriuszem też nie byłem złym... i jako Freddy z fajką. Charakteryzacja się udała i moje oczy naprawdę wyglądały na szeroko rozstawione. A potem było to z *Night Must Fall*. I jedno ze *Światowych sposobów*¹¹. Kogo tam grałem? Najlepiej byłoby to grać razem z Jane. Ta dziewczka nadawała się do małej gniecionki.

Skała skaleczyła bliznę na prawym udzie. Przesunął nogę i jeszcze raz spojrzał na powierzchnię kałuży. Znow kręcił głowę na boki, próbując ustawić ją pod takim kątem, by uchwycić ją z profilu - dobrego profilu, lewego, lekko uniesionego i ozdobionego półuśmiechem. Na przeszkodzie stawał jednak cień nosa i półkole gałki ocznej. Odwrócił się, by obejrzeć twarz z przodu, lecz jego oddech zmarszczył powierzchnię wody. Dmuchnął mocno i czarna głowa rozchwiała się i znikła. Gwałtownie uniół głowę i zobaczył homara, który podpierał jego ciało u zakończenia prawego rękawa.

Znow zmienił homara w rękę i spojrzał na kałużę. Maleńka rybka tkwiła w słońcu, otoczona nie kończącym się wężykiem banieczek wypływających z jej skrzeli. Butelki w tyle baru wyglądały zza szyby jak urwiska klejnotów i rudy.

- Nie, stary, dzięki, mam już dość.

- On ma już dość. Słyszałeś to, George? Słyszałeś?

¹¹ *The Way of the World* (1700) - komedia wybitnego dramaturga okresu Restauracji, Williama Congreve'a (1670-1729).

- Co takiego, Pete?

- Nasz dobry stary Chris ma już dość.

- Nie wygłupiaj się, Chris.

- Nasz dobry stary Chris nie pije ani nie pali.

- Po prostu lubi towarzystwo, stary.

- Lubi towarzystwo. Moje towarzystwo. Brzydzę się sobą. Ale ty nie powiesz: "Ostatnia kolejka, panowie"; co, panienko, prawda, panowie? Obiecał to swojej starej matce. Powiedział. Powiedziała. Powiedziała: "Chris, moje dziecko, niech dziesięcioro przykazań troszczy się samo o siebie", powiedziała. Ale pamiętaj, żebyś nie pił i nie palił. Tylko pierdział, och, przepraszam, panienko, gdybym był tylko wiedział, że tak nieumiarkowane słowo przebije się przez barierę moich zębów, poczyniłbym odpowiednie kroki, aby wyżyć je z pożądania jakimś krążkiem, lub też zastosowałbym peryzę.

- Daj spokój, Pete. Weź go z drugiej strony, Chris.

- Wypuście mnie, panowie. Klnę się na niebiosa, że zrobię rybę z tego, który mnie puści. Jestem wolnym i liberalnym członkiem tej kompanii, posiadającym żonę i dziecko płci obojętnej.

- To chłopak, staruszk.

- Mówiąc w sekrecie, George, to nie płęć, a mądrość. Czy ono wie, kim jestem? Kim my jesteśmy? George, kochasz mnie?

- Jesteś najlepszym producentem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy, ty stary pijusie.

- Chciałem powiedzieć "pijusie", panienko. George, jesteś najbardziej bosko anielskim reżyserem w historii tego cholernego teatru, a Chris jest najlepszym amantem, co, Chris?

- Jasne, stary, jasne.

- Tak więc wszystko zawdzięczamy tej najlepszej kobiecie świata. Kocham cię, Chris. Ojciec i matka to jedno ciało. Tak samo mój wujek. Mój proroczy wujek. Czy mam cię wybrać na członka mojego klubu?

- A może tak potoczylibyśmy się teraz do domu, co, Pete?

- Nazwijmy go Klubem Brudnych Larw. Jesteś członkiem? Znasz chiński? Otwierasz się na oścież czy tylko w poście?

- Daj spokój, Pete.

- My, larwy, jesteśmy tam cały tydzień. Widzisz, gdy Chińczycy chcą przygotować bardzo rzadką potrawę, zakopują rybę w metalowym pudełku. I zaraz pojawiają się wszystkie małe larwy i zaczynają jeść. I po chwili ryby już nie ma. Są tylko larwy. Niełatwo, kurna, być taką larwą. Niektóre z nich wykazują fototropizm. Hej, George - fototropizm!

- Co mówiłeś, Pete?

- Fototropizm. Powiedziałem fototropizm, panienko.

- Kończ z tymi swoimi larwami, Pete, i idziemy do domu.

- Ach tak, larwy, larwy. One jeszcze nie skończyły. Dopiero zjadły rybę. Obrzydliwa historia takie wędrowanie wewnątrz metalowego pudełka, a państwo duńskie jest z nich najgorsze. No więc gdy już skończą rybę, Chris, biorą się do siebie.

- Wesoła historia, stary.

- Małe larwy zaczynają pożerać te maleńkie. Średnie zżerają małe. Duże zżerają średnie. Potem duże pożerają jedna drugą. Potem są dwie, a potem jedna, i tam, gdzie była ryba, teraz siedzi jedna, ogromna larwa, której się powiodło. Rzadka potrawa.

- Masz jego kapelusz, George?

- Chodź, Pete. A teraz uważaj...

- Kocham cię, Chris, ty kochany byczku. Zjedz mnie.

- Weź go z tej strony pod pachę.

- Została ze mnie zaledwie połowa. Wykazuję fototropizm. Zjadłeś już George'a? A jak już zostaje tylko jedna larwa, Chińczycy ją wykopują...

- Nie możesz tu siadać, durniu!

- Chińczycy ją wykopują...

- Na miłość boską, przestań się wydzierać. Zaraz ściągniesz nam na kark gliniarza.

- Chińczycy ją wykopują...

- Skończ już z tym, Pete. Skąd, u diabła, ci Chińczycy wiedzą, kiedy ją mają wykopać?

- Wiedzą. Mają oczy jak rentgen. Czy słyszałeś kiedyś dźwięk łopaty uderzającej w metalowe pudełko? Bum! Bum! Jak grzmot. Jesteś członkiem?

Na powierzchni wody przy trzech skałach rozchodziły się kręgi. Obserwował je z uwagą. Potem przy skałach pojawiła się jedna brązowa głowa, a potem następna i następna. Jedna z głów trzymała w pysku srebrny nóż. Nóż wygiął się, zatrzepotał i okazał się rybą. Foka wdrapała się na skałę, podczas gdy pozostałe zanurkowały, zostawiając po sobie wzburzoną powierzchnię wody. Foka, grzejąc się w słońcu, spokojnie zjadła, a potem odrzuciła głowę i płetwy, leżąc bez ruchu.

- Ciekawe, czy one znają człowieka.

Wstał powoli, a foka odwróciła głowę w jego stronę. Nie mógł znieść jej nieugiętego spojrzenia. Nagle uniósł ręce gestem człowieka, który celuje ze strzelby. Foka obróciła się na skale i dała nurka. A więc znała człowieka.

- Gdybym podszedł bliżej, mógłbym ją zabić, zrobić sobie buty, a mięso zjeść...

Mężczyzna położył się na odsłoniętej plaży, owinięty w skóry. Przetrwały długie oczekiwanie i smród. Ogromne bestie wyłaniały się o zmierzchu z morza, bawiły się wokół nich, a potem układały do snu.

- Zwinięty sztormiak dostatecznie przypominałby fokę. Gdyby już do niego przywykły, wszedłbym do środka.

Przyjrzał się myślom swoich ostatnich dni. Były biegnącym wstecz ciągiem, jak pokoje powtarzające się w lustrach wiszących przodem do siebie. Naraz doświadczył zmęczenia tak intensywnego, że aż graniczącego z bólem. Wszedł z trudem na Bocianie Gniazdo, pokonując opór nieba i bezkresnej ciszy. Przymusił wzrok do dokładnego zbadania pustego morza. Woda była dziś gładsza, jak gdyby spłaszczona przez nieruchome powietrze. Były tam bandaże rozdartego jedwabiu, oleiste plamy, zaczynające połyskiwać, gdy się im przyglądał, jak piana w rowie. Jednakże drzenie tej wody rozciągało się na całe mile, przez co roztopione słońce nabierało podługowatego kształtu, raz znikając, a raz pojawiając się w innym drzeniu z nagłym, oślepiającym blaskiem.

- Pogoda się zmieniła, gdy byłem w "Czerwonym Lwie" z George'em i Pete'em.

Głowa foki pojawiła się na chwilę za trzema skałami, a on w nagłej wizji ujrzał siebie, jak na jej grzbiecie pędzi w kierunku Hebrydów.

- Och, mój Boże. - Brzmienie jego głosu, płaskiego, choć wysokiego i pełnego bólu, niespodziewanie go onieśmieliło. Opuścił ramiona i opadł bezwładnie przy Karle. Strumień mamrotliwych słów popłynął przez otwór pod oknem: - Całkiem jak w te noce, kiedy byłem mały. Leżałem z szeroko otwartymi oczami, myśląc, że te ciemności będą trwać wiecznie. I nie mogłem już zasnąć, bo bałem się tego snu, w którym z kąta pokoju wychodzi to coś mieszkające w piwnicy. Leżałem w gorącej, rozkopanej pościeli, rozpalony, próbując odgrodzić się od tego wszystkiego, i wiedziałem, że od świtu dzieli mnie jeszcze cała wieczność. Wszystko należało do nocnego świata, świata, w którym mogło się wydarzyć wszystko oprócz dobra, świata duchów, bandytów i lęków, przedmiotów nieszkodliwych za dnia, które niespodziewanie ożywały. Była tam szafa, obrazek z książki, trumny, trupy, wampiry i zawsze ta dusząca, dręcząca ciemność, gęsta jak dym. I zaczynałem myśleć o czymkolwiek, a gdy przestawałem choćby na moment, zaraz przypominało mi się to coś, co mieszkało na dole w piwnicy, i wtedy mój umysł oddzielał się od ciała i wędrował trzy piętra

w dół, bezbronny, ciemnymi schodami obok wysokiego zegara, który straszył, przez skrzypiące drzwi, po tych strasznych stopniach, aż do miejsca, gdzie w ściany piwnicy były wbite kawałki trumny - i stałem tam bezradny na kamiennej posadzce, próbując się odwrócić, uciec, wspiąć się...

Stał w rozkroku. Horyzont powrócił.

- Och, Boże!

Oczekiwanie na świt wraz z pierwszymi poćwierkowaniami ptaka pod okapem lub w wierzchołkach drzew. Oczekiwanie na policję przy roztrzaskanym samochodzie. Oczekiwanie na kulę po błysku wystrzału.

Ciężkie niebo jeszcze wyraźniej osiadło na jego ramionach.

- Co się ze mną dzieje? Jestem dorosły. Wiem, co jest czym. Nic mnie nie łączy z tym dzieciakiem w piwnicy, absolutnie nic. Dorosłem. Moje życie przybrało określony kształt. Panuję nad nim. A poza tym nie ma tu niczego, czego mógłbym się bać. Oczekiwanie na rezultat. Oczekiwanie na tę przemowę - nie tę następną po tej, wiem, kiedy przechodzę i podnoszę papierośnicę. Tam, gdzie powinna być przemowa, zieje czarna dziura, a on powiedział, że tamtej nocy za bardzo sfuszerowałeś rolę, stary. Oczekiwanie na opatrzenie rany. Trochę zaboli. Oczekiwanie na fotel dentystyczny.

Nie podoba mi się, że mój głos pada jak ustrzelony ptak, nim jeszcze zdąży dotrzeć do moich ust.

Przystawił rękę do obydwu stron okna i patrzył, jak dwie czarne linie zmniejszają jego powierzchnię. Pod dłonią czuł szorstkość zarostu i ciepło policzków.

- Co mnie tak miazdzy? - Obiegł wzrokiem horyzont i jedynym znakiem tego, że zatoczył pełne koło, było jaśniejsze drżenie pod słońcem. - Lada dzień zostanę uratowany. Nie mogę się zamartwiać. Fragmenty starych filmów są do przyjęcia, lecz muszę być ostrożny, gdy widzę coś, co nigdy się nie wydarzyło, jak choćby... Mam wodę, żywność, inteligencję i schronienie. - Urwał na chwilę i skupił się na ciele obrastającym okno. Ręce i skóra zdawały się pokryte guzami. Przekręcił oczy i dostrzegł, iż rzeczywiście jest możliwe, że w półkolu oczodołów powstało niewielkie zniekształcenie. — Bąble? Gdy zaczniesz padać, rozbiore się i wezmę kąpiel. Jeżeli do tej pory nie zostanę uratowany.

Palcami prawej ręki nacisnął skórę wokół oczu. Były tam bąble, które biegły w dół, przechodząc poza linię zarostu. Cały czas uciskało je niebo; nie znały żadnego innego uczucia.

- Muszę się położyć. Do łóżka. I nie usypiać.

Dzień robił się szary i gorący. Posępny.

- Mówiłem, że będę chory. Mówiłem, że muszę wypatrywać symptomów.

Zszedł do zbiornika z wodą i wczołgał się do środka. Pił tak długo, aż usłyszał, jak bulgocze mu w brzuchu. Wyczołgał się tyłem i wszystkie wymiary zaczęły się mieszać. Powierzchnia skały była zdecydowanie zbyt twarda, zbyt jaskrawa i zbyt bliska. Nie potrafił ocenić jej rozmiarów.

Nie było do kogo powiedzieć choćby jednego słowa.

Nie wyglądasz najlepiej, stary.

- Skąd, u diabła, mogę wiedzieć, jak wyglądam?

Ujrzał grożącego mu olbrzyma i uchylił się, nim zdołał skojarzyć srebrną głowę z papierkiem po czekoladzie. Z powodów, które trudno mu było wyjaśnić, uznał, że stanie jest raczej niebezpieczne. Wczołgał się do rozpadliny i ułożył ubrania. Uznał, że musi wszystko na siebie włożyć. Niebawem leżał w rozpadlinie z głową wystawioną na zewnątrz i opartą na nadmuchanym pasie ratunkowym. Niebo znów przybrało jaskrawobłękitną barwę, lecz było bardzo ciężkie. Z otworu pod zarostem wciąż sączyły się słowa:

- Sen - zmartwień odczyniacz¹². Oklepane powiedzonka. Stare cytaty. Śmietnik w mózgu. Pamiętaj, nie zasypiaj z powodu tej piwnicy. Jak śpią odważni. Nat śpi. I stary Moczymorda. Zwinięty na dnie lub unoszony przez wodę niczym stary tłumok. To jest prawdziwa przygoda i każdemu może się przydarzyć. Leż płasko, szcurze. Musisz się pogodzić ze swoją klatką. Ile jeszcze w tym miesiącu? Ile konwojów? Ile samolotów? Moje ręce są większe. Całe moje ciało jest większe i znacznie bardziej wrażliwe. Wypadek. Stanowiska bojowe. Mówiłem, że będę chory. Czuję, że moja stara blizna na nodze świerzbi bardziej niż pozostałe. Sól w spodniach. Mrówki w majtkach. - Zaczął się wyginać wewnątrz rozpadliny i wysunął prawą rękę. Dotknął policzka, lecz policzek był suchy. - A wiec to świerzbie to nie jest pot.

Wsunął rękę do środka i podrapał się w kroczu. Skraj bluzy wciąż drażnił mu twarz. Przypomniało mu się, że powinien nosić kominiarkę, lecz był zbyt wyczerpany, aby teraz jej szukać. Leżał bez ruchu, a jego ciało płonęło.

Otworzył oczy; niebo nad nim przeszło w fiolet. W gałkach ocznych dostrzegł jakąś nieregularność. Leżał bez ruchu, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem i myśląc o bąblach na skórze. Zastanawiał się, czy tak się rozrosną, że w ogóle przestanie cokolwiek widzieć.

Bąble.

¹² Aluzja do słów Szekspirowskiego Makbeta: "Makbet morduje sen! - niewinny sen; Sen, który rozsuptuje splątany motek zmartwień" (akt II, scena 2).

Pieczenia i drżenia regularnie przeciągały po jego ciele, przelewając się przezeń na kształt fal. Naraz stały się falami czegoś roztopionego, cyny, płynnego ołowiu, rozgrzanego kwasu, tak gęstego, że lał się jak olej. Potem, szarpiąc się i krzycząc, próbował się wydostać z rozpadliny.

Trzęsąc się, przyklęknął na skale. Opuścił obie ręce, a gdy wsparł na nich ciało, odczuł ból. Zerknął na nie najpierw jednym okiem, a potem drugim. Puchły i malały w powolnym pulsowaniu.

- To nierealne. Nić życia. Trzymaj się. To nierealne.

Jednak rozmiary tych rąk były jak najbardziej realne. Były zbyt wielkie, nawet większe od przeciętnych, ręce rzeźnika, tak nabiegłe krwią, że ich ciało było papkowane i napuchnięte. Łokcie nie wytrzymały i upadł pomiędzy te dłonie. Policzek spoczywał na wyjątkowo twardej skale, usta były rozwarte i mętym wzrokiem wpatrywał się w swoją rozpadlinę. Fale wciąż przelewały się w jego ciele i rozpoznawał je. Zgrzytnął zębami i uczeplił się siebie w samym środku swojego globu.

- To znaczy, że moja temperatura przekracza sto stopni. Powiniennem leżeć w szpitalu.

Zapachy. Formalina. Eter. Alkohol metylowy. Jodoform. Słodki chloroform. Jodyna.

Obrazy. Chrom. Białe prześcieradła. Białe bandaże. Wysokie okna.

Dotyk. Ból, Ból, Ból.

Dźwięki. Program propagandowy dla żołnierzy sący się kretyńsko z głośników przyczepionych pod wykresem temperatury.

Smaki. Suche wargi.

Znów się odezwał, głosem pełnym uroczystej powagi:

- Muszę iść na zwolnienie.

Zaczął ściągać z siebie odzież. Nim dotarł do podkoszulka i kalesonów, ból stał się tak nieznośny, że począł zdzierać ubrania i ciskać je gdziekolwiek. Stał nago, a powietrze owiało jego ciało gorącem, lecz sama czynność rozbierania się wywołała pewien skutek, gdyż całe ciało zaczęło drżeć. Szczękając zębami, usiadł boleśnie na ścianie przy białej bliźnie Akweduktu Klaudiusza.

- Nie mogę się poddać.

Horyzont jednak nie zamierzał trwać nieporuszenie. Morze, podobnie jak jego ręce, pulsowało. Chwilami owa fioletowa linia była tak odległa, że nie miała żadnego znaczenia, a zaraz potem tak się przybliżała, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by ją pochwycić.

- Myśl. Bądź inteligentny. - Ujął głowę w obie dłonie i zamknął oczy. - Pić dużo wody.

Otworzył oczy i zobaczył Ulicę Główną. Pulsowała. Skała pocięta była liniami wodorostów, lecz ujrzał niebawem, że to wcale nie wodorosty, tylko czarne cienie rzucone przez słońce. Morze za Ulicą Główną było tak absolutnie płaskie i bez wyrazu, że mógłby przejść po nim, gdyby nie nogi, opuchnięte i obolałe. Z niezwykłą ostrożnością dociągnął ciało do zagłębienia z wodą i wsunął się do środka. Natychmiast przeniknął go chłód. Włożył twarz do wody i łykał ją, jadł, szczękając zębami. Potem poczołgał się do rozpadliny.

- To wszystko przez ten nacisk, to straszne ciśnienie. To przez ciężar nieba i powietrza. Jakże jedno ludzkie ciało może unieść cały ten ciężar, nie zostając przy tym rozbite na papkę?

Oddał mocz do rowu. Gady poszybowały z powrotem w kierunku morza, oskarżając skały. Nic nie mówiły, lecz usiadły na płaskim morzu z ukrytymi nogami.

- Muszę się wystać. Muszę się tym zająć. Teraz muszę włożyć wszystko na siebie i wypocić z siebie ten cały żar.

Zanim zdążył włożyć na siebie wszystkie ubrania, zapadł zmierzch. Wczołgał się do swojej rozpadliny, wycacując drogę nogami. Rozpadlina powiększyła się i stała się ludna. Niekiedy była większa od całej skały, większa od świata, chwilami była blaszanym pudłem, tak wielkim, że stuk uderzającej w nie łopaty brzmiał jak odległy grzmot. Potem znowu znajdował się na skale, a odległy grzmot brzmiał jak uderzenie łopaty w wielkie blaszane pudło. Przez cały czas z otworu poniżej okna sączyły się słowa, jak te w programie propagandowym, coś mówiące i śpiewające ludziom, o których wiedział, że tam są, choć nie było ich widać. Na krótką chwilę znalazł się w domu, a jego ojciec był jak góra. Piorun i błyskawica tańczyły wokół górskiego szczytu, a jego matka płakała kwasem jak łzami, robiąc na drutach skarpetę bez początku i końca. Te łzy były jak zaklęcie, gdyż poparzywszy jego ciało, zmieniły rozpadlinę we wzór.

Otwór przemówił:

- Smutno jej, że jestem na tej skale.

Płakała też Sybil i Alfred. Helen wylewała łzy. Jasna twarz chłopca również płakała. Ujrzał prawie zapomniane, lecz teraz wyraźne twarze, i wszystkie one płakały.

- To dlatego, że wiedzą, iż jestem sam na tej skale wewnątrz metalowego pudła.

Łzy lejące się z ich oczu zamieniły ich w kamiennie twarze, w maski wiszące szeregami wzdłuż nie kończącego się korytarza. Były tam wywieszki w rodzaju: "Nie palić", "Dla Panów", "Dla Pań", "Wyjście" i wielu mężczyzn w uniformach. Na dole był pokój, którego należało unikać, gdyż tam siedzieli bogowie, za swymi straszliwymi kolanami i stopami z czarnego kamienia, lecz tutaj, po kamiennych twarzach - tak samo jak przedtem -

płyną łyzy. Ich kamienne policzki są pobrużdżone, a oni sami rozmyci i rozpoznawalni jedynie dzięki jakiemuś nieokreślonemu sposobowi tożsamości. Ich łyzy utworzyły kałużę na kamiennej posadzce, parząc jego stopy aż do kostek. Usiłował wdrapać się na ścianę, lecz paląca ciecz wezbrała powyżej jego kostek, dochodząc do łydek, kolan. Walczył rozpaczliwie, na pół płynąc, na pół się wspinając. Ściana odwracała się, zginała jak ściana tunelu w metrze. łyzy już nie spływały po kamieniu, zasilając palące morze - kapąły swobodnie, spadając na niego. Spadła jedna, punkt, perła, kula, glob, poruszając się po nim, rozprzestrzeniając. Wydał z siebie wrzask. Znajdował się wewnątrz wodnej kuli, spalającej do szpiku kości i przeszłości. Pochłaniała go całkowicie. Rozpuścił się i rozlał po wnętrzu łyzy przedłużeniem czystego, bezcielesnego bólu.

Rozbił bańkę i chwycił się kamiennej ściany. Światło było bardzo słabe, lecz on wiedział lepiej i nie zamierzał tracić czasu, czując, co nadchodzi. W ścianie tunelu znajdowały się liczne występy, więc mimo że była to bardziej studnia niż tunel, mógł się wspinać. Chwytał zatem, podciągał się, występ po występie. Światło było o tyle jasne, że dostrzegał występy. Były twarzami, jak te w nie kończącym się korytarzu. Nie płakały, lecz były deptane. Zdawały się wykonane z czegoś w rodzaju kredy, bo gdy opierał na nich ciężar ciała, pękały. Tak więc tylko ciągły ruch do przodu ratował go przed upadkiem. Słyszał, jak w studni rozlega się jego krzyk:

- Jestem! Jestem! Jestem!

Przez cały czas był tam jeszcze jakiś inny głos, który rozbrzmiewał w jego uszach jak uporczywe sączenie się programów propagandowych. Nikt nie zwracał nań uwagi, lecz w naturze tego kretyna leżało to, że nie przestawał mówić, choć w kółko powtarzał jedno i to samo. Ów głos miał coś wspólnego z niższą partią jego twarzy i wyciekał stamtąd w trakcie wspinaczki, niszcząc te kredowe, wygodne twarze.

- Tunele i studnie, i krople wody to wszystko stara historia. Nie przekonasz mnie. Ja i tak wiem, że to są wszystko obrazy o naturze seksualnej, płynące z mojej podświadomości, libido; a może to id? Wszystko znane i wyjaśnione. Seksualne historie - czegoż można po nich oczekiwać? Wrażenia, wszystkie tunele i studnie, i krople wody. Stare dzieje, nie w mówisz mi, ja wiem.

10.

Język letniej błyskawicy liznął wewnątrz wewnętrznej rozpadliny, pozwalając mu ujrzeć tam różne kształty. Niektóre z nich były zagięte i masywne jak rogi korytarzy, a światło wpadało w znajdujące się między nimi nieprzeniknione głębiny. Jeden z tych kształtów był kobietą, która rozmroziła się na ten moment i ożyła. Błyskawica stworzyła ją bądź odkryła w chwili, gdy wciągała powietrze, a czynność ta wyglądała tak, jak gdyby dopiero skończyła wdech i zaraz miała zacząć wydech. Od razu wiedział, kim jest, gdzie i kiedy, wiedział, dlaczego tak prędko oddycha, unosząc jedwabną bluzkę z jabłkami, zakazany owoc, wiedział, skąd te plamy na policzkach i ten niezwykle rumieniec zdobiący jej nos. Dlatego zwróciła ku niemu wysokie czoło, odległą i niepokonaną twarz z trzema różowymi plamami biegnącymi przez środek. Oczy zaś ziały pogardą i oburzeniem. Te oczy potwierdzały wszystkie niewypowiedziane opinie o jego ciele i rozgorączkowanej głowie. Dla kogoś, kto widział ją jako ubrane ciało lub miał okazję jej słuchać, była wręcz pospolita i niczym się nie wyróżniała. Te oczy jednak należały do jakiejś innej osoby, gdyż nie miały nic wspólnego z nieregularnościami twarzy czy przydechem w jej głosie, podyktowanym względami pruderyjnymi bądź też towarzyskimi. Była to ta właśnie osoba, Mary, będąca jedynie wypadkową wszystkich działających na nią sił, Mary w rękawiczkach i kapelusiku idąca do kościoła, ta Mary, która jadła z doprowadzającą do takiego szaleństwa wytwornością, Mary, która obnosiła - na swoich dwóch małych stopkach - skarb demonicznego wręcz i piźmowego powabu, tym straszliwszego, iż niemal nie uświadamianego. Była tak nieuchronnie typowa, że każdy jej czyn i każde słowo możliwe były do przewidzenia. Owa wypadkowa wybierała raczej rzeczy zwykłe niż nadzwyczajne; to, co szacowne, przyciągało ją jak magnes. Był to wymarzony wręcz towarzysz dla zaciśniętych ust, zbyt wysokiego czoła, mysich włosów. Jednak jej oczy... one nie miały nic wspólnego z tą cielesną maską, którą natura umieściła na tej prawdziwej i niewidzialnej twarzy. Współgrały z niewiarygodnie drobnymi rozmiarami talii i piersi, przywodzących na myśl jabłka, oraz z przezroczyością ciała. Były duże i mądre mądrością, która nigdy nie ujawniała się do tego stopnia, by znaleźć wyraz w słowach. One to tworzyły wokół niej tę aurę milczenia - wytłumaczalną w kategoriach tej wypadkowej - aurę tajemnicy, której tam nie było. W połączeniu jednak z tym szaleńczym piźmem, małymi, ostrożnymi piersiami i niewątpliwie niezdobytą cnotą były wyrokiem śmierci na Akteona. To one sprawiały, iż zajmowała, niejako prawnie, oczyszczoną przestrzeń w świecie z tyłu oczu, rozświetloną blaskiem letniej błyskawicy. To one czyniły z niej szaleństwo, szarpiące nie tyle

łędźwie, ile raczej dumę, one kazały domagać się swego i łamać; śnieć, która niszczy rosnące źdźbło życia. To przez nie ożywały wspomnienia nocy czasów dzieciństwa, gorącego, wiecznego łóżka z pozszywanymi prześcieradłami, rozpacz. Wykonywane przez nią czynności, choć banalne, nabierały znaczenia, zwykła ozdoba z onyksu stawała się talizmanem. Nitka z jej tweedowej spódnicy - choć kupiła ją w sklepie, gdzie identyczne spódnice wisiały puste i wciąż te same - ta sama nitka, poprzez powiązanie z nią, stawała się zaczarowana. Jej nazwisko - uderzył głucho o skałę uniesionymi kolanami - jej nazwisko, teraz oddane martwemu Nathanielowi, zmusiło go do sięgnięcia po encyklopedię, by zapobiec powtórnemu dojściu do pewnego rozróżnienia, będącego w stanie umocnić jej pozycję w zajmowanym już przez nią centralnym punkcie. Jakim trafem lub - co gorsza - jakim uniwersalnym prawem stała oto na jego drodze, drodze do potęgi i sukcesu, niezłomna, lecz narzucająca mu dręczącą konieczność zdobywania i łamania? Jak śmiała zajmować, niejako prawnie, tę przestrzeń z tyłu oczu, skoro była zaledwie kolejnym ze stopni, po których wchodził w drogę do celu? Te noce wyobrażanej sobie kopulacji, gdzie myśli krążyły nie wokół miłości, wrażeń, wygody czy triumfu, lecz raczej udręki, sam rytm ciała wzmocniony przez wysyczone okrzyki - masz, masz! Masz za swoje ściągnięte usta, za różowe plamy, za ściśnięte kolana, za niezłomną równowagę na wysokich, damskich butach - masz, jeśli to cię zabije za te twoje czary i wyniosłą cnotę!

Jak to się dzieje, że cały czas zajmuje sam środek mojej ciemności, skoro jednym uczuciem, jakim ją darzę, jest nienawiść?

Błada twarz, różowe plamy. Ostatnia szansa i wiem, co zamierza powiedzieć, to w nieunikniony sposób wypływa z wypadkowej. I oto wychodzi, szybko, z akcentem natychmiast wyniesionym na szczyt pretensjonalności.

- Nie.

Ta jedna sylaba mieści w sobie przynajmniej trzy samogłoski.

- Dlaczego więc zgodziłaś się tu ze mną przyjechać?

Trzy plamy.

- Miałam cię za dżentelmena.

Nieuniknione.

- Męczysz mnie.

- Proszę, odwieź mnie do domu.

- Mówisz to poważnie, teraz, w dwudziestym wieku? Naprawdę czujesz się urażona?

Nie chcesz z rozmysłem powiedzieć: "Nie, przykro mi, ale nie"?

- Chcę jechać do domu.

- Ale słuchaj...

Ja muszę, muszę, nie pojmujesz, ty przekłeta dziwko?

- W takim razie pojedę autobusem.

Jedna szansa. Tylko jedna.

- Poczekaj. Mówimy różnymi językami. Ja próbuję ci powiedzieć, że... no cóż, to trudne. Ty nie chcesz zrozumieć, że ja... och, Mary, zrobię wszystko, żeby ci to udowodnić.

- Przykro mi. Coś takiego po prostu nie wchodzi w rachubę.

A wtedy on, zmuszony przez rosnącą wściekłość do wejścia na wydeptaną ścieżkę:

- A wiec dalej mówisz „Nie”?

Ostateczna obraza triumfu, zrozumienia i współczucia.

- Przepraszam cię, Chris. Naprawdę cię przepraszam.

- Wiem, możesz być dla mnie jak siostra. Wtedy ta zdumiewająca odpowiedź, łagodna, niwelująca cały sarkazm:

- Jeśli tego chcesz.

Poderwał się gwałtownie na nogi.

- Chodźmy. Na miłość boską, chodźmy stąd.

Czekaj, jak kształt na siedzeniu kierowcy. Czyż ona nic o mnie nie wie? Wychodzi z zajazdu, stawiając stopy jedna przed drugą jak na zdjęciach, krocząc po niewidocznej linii biegnącej po zwirowanej ścieżce, dumnie niosąc niepokonany sztandar dziewictwa.

- Drzwi nie są dobrze zamknięte. Pozwól.

Delikatna woń, dotknięcie taniego, przeistoczonego tweedu, drżąca dłoń zmieniająca biegi, uciekająca droga, wojennym zwyczajem osłonięte światła, nieokiełznana letnia błyskawica, ignorująca wszystkie rozporządzenia, mknąca w siedmiomilowych butach od tego wzgórza na południu, dociśnięty pedał gazu, frędzle liści poszarpane jak namalowana kropla, dotknięcia drzew, powoływanych do życia przez boczne światła i ciskanych w otchłań straconych szans.

- Czy nie jedziesz trochę za szybko?

Twarz odwrócona, ściągnięte usta, oczy pod tym idiotycznym kapelusikiem, dalekie, skryte w mroku. Dociśnięty gaz.

- Proszę cię, Chris, jedź wolniej!

Ten jej krzyk, pisk zmienianych biegów, pęd i ryk:

- Proszę!

Podskok, kołysanie, miękki syk na wirażu, sceny migają jak w filmie... Gaz.

- Proszę! Proszę!

- Więc pozwól mi. Teraz. Dzisiaj. W samochodzie.

- Proszę!

Kapelusik przekrzywiony, wyjazd na prostą, połknięty tunel drzew...

- Zabiję nas.

- Wariat - och, proszę!

- Tam, przy bielonym drzewie, gdzie droga się rozwidła, uderzę od twojej strony.

Roztrzaskasz się ze szczętem i szlag cię trafi.

- O Boże, o Boże.

Na skraju, stos kamieni, wybój, skręt, łykany makadam, wciągany, wpychany pośród straconych szans, wpychany wraz z cofającym się czasem do piwnicy...

- Zaraz zemdleję.

- A oddasz mi się? Oddasz?

- Zatrzymaj, proszę!

Na skraju, gwałtowny stop, wyłączony silnik, zgaszone światła, w rękach wypchana lalka, szarpana lalka, powołana do życia blaskiem letniej błyskawicy, ściśnięte kolana nad strzeżonym jak skarb dziewictwem, jedna ręka spycha w dół tę samą tweedową spódniczkę, druga się broni, próbując choć w głosie znaleźć zasłonę dla częściowo odkrytej piersi:

- Będę krzyczeć.

- A krzycz sobie.

- Ty obleśny, bydlęcy...

Potem letnia błyskawica nad zbiełałą twarzą z parą utkwionych w przestrzeni oczu, oddalona o kilka zaledwie cali, oczy sztucznej kobiety, zmuszonej do porzucenia swojej pozy i uników, zmuszonej przyznać, że posiada zwykłe, ordynarne ciało - oczy płonące głęboką i nieprzejednaną nienawiścią.

Tym razem nic z pretensjonalności. Samogłoski, zza których przebija wiejski akcent:

- Czy nie możesz pojąć, ty świniu? Nie możesz?

Ostatnia szansa. Muszę.

- W takim razie ożenię się z tobą.

Jeszcze jaśniejsza letnia błyskawica.

- Chris. Przestań się śmiać. Słyszysz? Przestań! Mówię przestań!

- Nienawidzę cię. Niech cię moje oczy nigdy nie oglądają.

Peter jechał przed nim. Obaj pędzili. Miał swój nowy rower, lecz nie tak dobry jak nowy rower Petera. Jeśli go wyminie tym swoim nowym sprzętem, już nie uda się go dogonić. Przednie koło roweru Petera idealnie zachodziło na jego tylne. Nigdy by tego nie

zrobił, gdyby nie był tak wariacko podniecony. Tutaj droga skręca w prawo, tutaj, przy stosie kamieni. Przypomina to skałę - stos kamieni do naprawy drogi prowadzącej do Hodson's Farm. Nie skręcaj, jedź prosto, jedź ułamek sekundy dłużej, niż on się spodziewa. Niech skręca z tym zachodzącym kołem. Och, jak sprytnie, sprytnie, sprytnie. Moja noga, Chris, moja noga - boję się na nią patrzeć. O Chryste.

Kasetka na pieniądze. Blacha pokryta japońskim lakierem, pozłacane paski. Otwórz: pusta. Co zamierzasz z tym zrobić, nic nie było zapisane. Musimy się kiedyś napić.

To żona producenta, stary.

Och, sprytnie, sprytnie, sprytnie, teraz możesz sobie, kurna, iść na piechotę; och, sprytnie, prawdziwe łyzy niszczą triumf - sprytnie, sprytnie, sprytnie.

Bliżej. Bliżej. Bliżej. Jestem większą larwą od ciebie. Nie możesz podejść bliżej, bo przeszkadza ci stół, ale ja mogę podejść aż do oszklonych drzwi.

- Nie, stary. Przykro mi, ale nie jesteś niezbędny.
- Ależ George, przecież pracujemy razem! Znasz mnie...
- Tak, stary. Jak najbardziej.
- Zmaruję się w wojsku. Widziałeś, jak pracuję.
- Widziałem, stary.
- No więc...

Spojrzenie spod brwi. Zduszony uśmiech. Uśmiech tak długo się rozciągał, aż w blacie biurka zalśniły białe zęby.

- Od dawna czekałem na coś takiego. Z tego właśnie powodu nie wykopałem cię dużo wcześniej. Mam nadzieję, że zniszczą twój profil. Ten dobry.

Istnieją tysiące sposobów zabicia człowieka. Można go otruć i obserwować, jak uśmiech na jego ustach zmienia się w stężały grymas. Można chwycić go za gardło i trzymać, aż zmieni się w twardą sztabę.

Wkładała płaszcz.

- Helen...

- Skarbie.

Podejście, chytre, pełne namiętności.

- Ile to już czasu minęło.

Głęboki, pełen drżenia oddech.

- Daruj sobie te oklepane teksty, skarbie.

Przestrach.

- Pomóż mi, Helen, musisz mi pomóc.

Czarne oczka larwy w białej twarzy. Odległość. Kalkulacja. Śmierć.

- Wszystko, co zechcesz, skarbie, oczywiście.

- Przecież jesteś żoną Pete'a.

- Cóż za niedelikatność, Chris.

- Mogłabyś go przekonać.

Przysiad na sofie, blisko.

- Helen...

- Dlaczego nie poprosisz Margot, mój skarbie, albo tego słodkiego małego stworzonka, które zabrałaś na przejażdżkę?

Panika. Czarne oczka w białej twarzy, bez wyrazu, jak twarde, czarne kamienie.

Zjedzony.

Nathaniel rozplamiony łagodnie - niewielki płomień, prawie żar.

- Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość, Chris.

- Pewnie spotkałeś wreszcie jakiegoś eona.

Nat zadumał się nad tym, odwołując się do swojej podręcznej biblioteczki. Ustaliwszy, że uwaga ta była dowcipem, odpowiedział nazbyt poważnym tonem, który rezerwował dla żartów:

- Nie przedstawiono mi go przez pośrednika.

- No więc mów. Może wojna się skończyła? Chcę wiedzieć.

Nathaniel usiadł naprzeciwko w fotelu, który jednak okazał się dla niego za niski. Usadowił się więc na poręczy, a potem wstał i przełożył książki na stole. Przez szparę w ponurych zasłonach wyjrzał na ulicę.

- Myślę, że koniec końców pójdę do Royal Navy.

- Ty!

Kiwnął głową, wciąż wyglądając przez okno.

- To znaczy jeśli mnie wezmą. Nie potrafiłbym latać, a w armii byłbym do niczego.

- Ale baran z ciebie! Przecież nie musisz iść, prawda?

- Prawnie - nie muszę.

- Zdawało mi się, że jesteś przeciwny wojnie.

- Bo tak jest.

- Z powodów światopoglądowych.

- Sam nie wiem. Naprawdę nie wiem. Człowiek myśli o różnych rzeczach, a w końcu, wiesz, okazuje się, że odpowiedzialność związana z podjęciem decyzji jest zbyt wielka dla jednej osoby. Powinienem tam iść.

- Już zdecydowałeś?

- Mary zgadza się ze mną.

- Mary Lovell? A cóż ona ma z tym wspólnego?

- To właśnie moja wiadomość.

Nathaniel odwrócił się zamyślony, trzymając w ręku książkę. Podeszedł do kominka, spojrzał na fotel, przypomniał sobie o książce i odłożył ją na stół. Wziął krzesło, wysunął je trochę i usiadł na brzegu.

- Mówiłem ci to po wczorajszym przedstawieniu. Pamiętasz? O tym, że nasze życie musi sięgnąć wstecz, do samych korzeni czasu, stać się szlakiem biegnącym przez historię?

- Powiedziałem, że byłeś prawdopodobnie Kleopatrami.

Nat zmarszczył w zamyśleniu brwi.

- Nie, nie sądzę. Nikim aż tak sławnym.

- W takim razie Henrykiem VIII. Cóż to za wiadomość?

- Człowiek cały czas natyka się na różne wskazówki. Takie... iluminacje... obrazy. Człowiek... - Jego ramiona rozsunęły ręce na boki, jakby czuły pęczniejącą głowę. - Gdy spotykamy ludzi, uświadamiamy sobie, że są wpleceni w naszą tajemną historię. Nie sądzisz, że tak jest? Ty i ja, na przykład. Pamiętasz?

- Zawsze opowiadałeś różne duperele.

Nathaniel skinął głową.

- I wciąż tak jest. Wciąż jednak nasze losy są splątane i ta prawda nie przestaje obowiązywać. Potem, gdy przedstawiłeś mi Mary - pamiętasz? Widzisz, my troje działamy i reagujemy. Wtedy pojawił się ten nagły błysk, to ukłucie wiedzy i pewność, która mówiła: "Znałem cię dużo wcześniej".

- O czym ty, u licha, opowiadasz?

- Ona poczuła to samo. Powiedziała mi. Ona jest tak... mądra, wiesz? A teraz oboje mamy tę pewność. Rzecz jasna to było zapisane w gwiazdach, lecz tutaj, pod nimi, musimy podziękować ci za to, że doprowadziłeś do naszego spotkania.

- Ty i Mary Lovell?

- Rzecz jasna to wszystko nie jest nigdy takie proste i rozważaliśmy to wspólnie i każde z osobna...

Jakiś zachwyt wypełniał pokój. Wraz z nim głowa Nata zdawała się rosnąć i maleć.

- I sprawiłbyś mi wielką przyjemność, Chris, gdybyś został moim przyjacielem.

- Chcesz się ożenić! Ty i...

- To była ta radosna wiadomość.

- Nie możesz! - Dotarło doń, ile bólu mieści się w tym okrzyku, i pojął, że stoi.

Nat patrzył w płonący ogień.

- Wiem, że to stało się nagle, lecz wszystko przemyśleliśmy. I widzisz, pójdę do Royal Navy. Ona jest taka dobra i dzielna. A ty, Chris... wiedziałem, że przychylił się całym sercem do tej decyzji.

Stał nieruchomo, spoglądając w dół na czarne, zmierzwiłe włosy, długość kończyn. Ponuro, coraz wyraźniej, pojmował niewypowiedzianą siłę tych okoliczności i tej decyzji. Nie tam, gdzie je, lecz tam, gdzie go jedzą¹³. Wraz ze zrozumieniem uderzyła fala krwi, paląc twarz, moc niszczenia. Przez głowę przeleciały obrazy, jak rozrzucony plik zdjęć - Mary w łódce, starannie układająca spódniczkę; Mary w drodze do kościoła, rozsiewająca woń tych rzeczy, samo ułożenie stóp i sposób niesienia małej pupy graniczący z bezczelnością; Mary walcząca, ściśnięte kolana nad strzeżonym jak skarb dziewictwem, jedna ręka spycha w dół tę samą tweedową spódniczkę, druga się broni, próbując choć w głosie znaleźć zasłonę dla częściowo odkrytej piersi...

- Będę krzyczeć!

Nat uniósł wzrok, usta miał otwarte.

- Tym razem nie robię głupstwa. Nie martw się.

Zdjęcia znikły.

- Ja... sam nie wiem, co mówiłem, Nat - cytowałem coś z jakiejś sztuki.

Nat rozłożył ręce i uśmiechnął się nieśmiało.

- Nie uciekniesz przed losem.

- Zwłaszcza gdy tak się składa, że los chce tego samego co ty.

¹³ Dokładny cytat z *Hamleta* (akt IV, scena 3). Słowa te wypowiada Hamlet zapytany o miejsce pobytu Poloniusza w chwilę po jego zabiciu.

Nat zadumał się. Poczzerwieniał z lekka i pokiwał poważnie głową.

- Tu drzemie niebezpieczeństwo.

- Uważaj, Nat, na miłość boską, uważaj.

Niejasne jednak, niezrozumiałe - dlaczego miałby uważać? Dlatego, że ja jestem w pobliżu? Dlatego, że stanie wraz z nią w rozświetlonym środku moich ciemności?

- Gdy już pojedę, ty się nią zaopiekujesz, Chris.

Coś jest zapisane w gwiazdach. Ale jakież niejasny impuls każe moim słowom być w niezgodzie z moim sercem?

- Uważaj. Na mnie.

- Chris!

Ponieważ cię lubię, głupcze, i nienawidzę. A teraz cię nienawidzę.

- W porządku, Nat, zapomnij o tym.

- Coś w tym musi być.

Minął impuls, zdeptany, odrzucony.

- Ja też idę do Royal Navy.

- A co z teatrem?

Impuls zduszony przez kalkulacje i nienawiść.

- Są sprawy istotniejsze.

- Mój drogi! - Nat stał rozpromieniony. - Być może będziemy na tym samym okręcie.

Z rezygnacją i przecuciem wybranej drogi:

- Jestem tego pewien. To jest zapisane w gwiazdach.

Nat skinął głową.

- Łączą nas żywoły. Jesteśmy stworzeni do wody.

- Woda, woda.

Ubrania oplatały go jak namoknięty węzeł. Wydźwignął się na słońce. Czuł, że leży tam jak naręczce wodorostów. Wydobył ręce i zaczął szarpać zapięcia bluzy. Gdy już ją rozpiął, zabrał się do reszty. Gdy został w samym podkoszulku i kalesonach, począł się czołgać, jard po jardzie, w kierunku zbiornika z wodą. Potem poczołgał się dalej, przez Ulicę Główną, i położył się obok Karła.

- Jeśli to nie przywidzenie, to z moich ubrań unosi się para. Pot. - Oparł się plecami o Karła. - Bądź inteligentny.

Wyciągnięte przed nim nogi pokryte były białymi krostami. Zobaczył ich więcej na brzuchu, gdy unióśł podkoszulek, a także na ramionach i nogach. Były zniekształceniami na kraju oczodołów.

- Musisz przeżyć! - Coś zajadłego wypchnęło się z jego umysłu. - Będę żył, choćbym miał zjeść wszystko inne w tym cholernym pudełku. - Spojrzał na swoje nogi. -Wiem, jak się nazywacie, przeklęte krosty: pokrzywka. Zatrucie pokarmowe.

Przez chwilę leżał bez ruchu. Para unosiła się i drżała. Krosty były wyraźne i białe martwą bielą. Tak wypukłe, że nawet opuchnięte palce mogły wyczuć ich zarysy.

- Mówiłem, że będę chory, no i jestem.

Rzucił zamglonym wzrokiem na horyzont, lecz ten nie miał nic, co mógłby mu dać. Powrócił spojrzeniem na nogi i stwierdził, że są bardzo chude pomimo wszystkich tych krost. Czuł, jak pod podkoszulkiem ścieka kroplami woda, płynąca od krosty do krosty.

Niebo i powietrze zaciskały się dokładnie w samym środku jego głowy.

11.

Jakaś myśl powstawała jak rzeźba, z tyłu oczu, lecz przed niezbadanym centrum. Obserwował tę myśl przez nie kończącą się chwilę, podczas gdy krople potu ciekły od krosty do krosty. Wiedział jednak, że ta myśl jest jego wrogiem, więc - choć ją dostrzegł - nie wyraził zgody ani przyzwolenia, by poprzez realizację stała się częścią niego. Jeśli to powolne centrum cokolwiek teraz robiło, to dumало nad swoją tożsamością, podczas gdy myśl trwała tam jak pomnik w parku, który wszyscy ignorują. Christopher i Hadley i Martin byli oddzielnymi fragmentami, a centrum kipiało oburzeniem, że oto całość rozpadła się na części i nie można ich skleić. Okno wypełnione było jakimś barwnym wzorem, lecz centrum, będąc w tym dziwnym stanie, nie traktowało tego wzoru jak czegoś, co pochodzi z zewnątrz. Było jedyną widoczną rzeczą w mrocznym pokoju, niczym oświetlony obraz na ścianie. Poniżej czuł kapiącą wodę i dyskomfort spowodowany leżeniem na twardej powierzchni. Chwilowo centrum wystarczało. Centrum wiedziało, że "ja" istnieje, choć Christopher i Hadley i Martin byli odległymi fragmentami.

Zasłona ciała i włosów opadła, zakrywając obraz na ścianie, i nie zostało nic do badania, prócz tej jednej myśli. Naraz uświadomił ją sobie. Przerazenie, które wtargnęło wraz z nią, przywróciło mu władzę nad ciałem. Drgnięcia nerwów, napięcia mięśni, mdłości, uderzenia, wibracje. A myśl przerodziła się w słowa i wytoczyła się z jego ust:

- Nigdy nie wydostanę się z tej skały.

Przerazenie działało jeszcze więcej. Wyprostowało zgięte kości i kazało mu wstać, okrążyć Bocianie Gniazdo pod naciskiem nieba, aż na koniec przywarł do Karła, a kamienna głowa kiwała się łagodnie, łagodnie i słońce kiwało się tam i z powrotem, w górę i w dół na srebrnej twarzy.

- Zabierzcie mnie z tej skały!

Karzeł skinął swoją srebrną głową, łagodnie i dobrodusznie.

Przykucnął nie opodal białawego rowu, a barwny wzór znów stał się obrazem.

Christopher i Hadley i Martin częściowi powrócili na swoje miejsce. Zmusił wzór, by dopasował się do wszystkiego: skały, morza i nieba.

- Znaj swego nieprzyjaciela.

W ciele była choroba, rezultat długiego wystawienia się na chłód i niewygody. Było zatrucie pokarmowe, czyniące świat wariackim miejscem. Była samotność i odroczone nadzieje. Była ta myśl; były też inne myśli, nie wypowiedziane i nie dopuszczane.

- Wyrzuć je. Przyjrzyj się im.

Woda, zapas wody, którego istnienie wisiało na włosku, uzależnione od zatykającej zbiornik warstwy szlamu; jedzenie, którego zapas malał; nacisk, nieopisany nacisk na ciało i umysł; walka o sen z fragmentami filmów. I jeszcze...

- Było i jest... - Przykucnął na skale. - Wyjmij i przyjrzyj się.

- Wyłania się jakiś wzór. Nie wiem, jaki on jest, lecz umysł mój odmawia posłuszeństwa nawet przy próbach zgadywania w ciemno. - Dolna część jego twarzy przemieściła się wokół ust, odsłaniając zęby. - Broń. Mam przedmioty, których mogę używać.

Inteligencja. Wola walcząca do ostatka. Wola jak monolit. Przetrawianie. Wykształcenie, klucz do wszystkich wzorów, samo zdolne je narzucać, tworzyć. Świadomość w uśpionym świecie. Ciemne, niewrażliwe na nic centrum, przekonane o swojej wystarczalności.

Zaczął wyrzucać słowa w płaskie powietrze, w bibułę:

- Zdrowy rozsądek to zdolność oceniania rzeczywistości. Jakaż jest rzeczywistość mojego położenia? Jestem sam na skale po środku Atlantyku. Wokół mnie przelewa się ogrom wód, lecz ta skała jest czymś trwałym. Biegnie w dół, łączy się z dnem morskim, a ono łączy się ze wszystkimi dnami, jakie znam, wybrzeżami i miastami. Muszę pamiętać, że skała jest trwała i niewzruszona. Gdyby ta skała zaczęła się ruszać, oznaczałoby to, że postradałem zmysły.

Nad jego głową przemknęła z łopotem latająca jaszczurka i znikła mu z oczu.

- Muszę przetrwać. Trzymać się życia i zdrowego rozsądku. Muszę coś przedsięwziąć. - Znów opuścił zasłony na oko. - Zatruję się. Jestem niewolnikiem skręconej rury długości boiska do krykieta. Wszystkie okropieństwa piekła mogą się sprowadzać do zwykłego zablokowania. Po co krążyć uporczywie wokół dobra i zła, skoro w moim ciele znajduje się zwinięty wąż?

I z pełnym rozmysłem wyobraził sobie swoje jelita, ich powolny, dławiący, perystaltyczny ruch, przemianę miękkiego pożywienia wirującą zatyczkę.

- Jestem Atlasem. Jestem Prometeuszem.

Poczuł, jak na skale majaczy jego gigantyczny kształt. Szczęki zwarły się, podbródek opadł. Stał się bohaterem, którego osiągnięcie stanowiło to, co niemożliwe. Uklęknął i jął bezlitośnie zczołgiwać się ze skały. Wyjął z rozpadliny pas ratunkowy, wziął nóż i odciął metalową końcówkę wężyka. Poczłgał się w kierunku "Czerwonego Lwa", a gdzieś w tle rozbrzmiewała muzyka, utwory Czajkowskiego, Wagnera, Holsta. Prawdę mówiąc, wcale nie musiał się człogać, lecz owa muzyka w tle uwydatniała heroizm powolnego, nieugiętego

posuwania się naprzód, na przekór wszystkim przeszkodom. Puste muszle małży pękały pod ciężarem jego ciała jak gliniane skorupy. Muzyka urosła, po czym rozdarł ją dźwięk instrumentów dętych.

Dotarł do zbiornika w skale, z jedynym skałoczepem oblepionym przez wodorosty i trzema pruderyjnymi ukwiałami. Małeńka rybka wciąż trwała bez ruchu - tym razem jednak w innej części skały. Wetknął pas ratunkowy pod powierzchnię wody, a rybka rozpaczliwie zaczęła szukać ucieczki. Z wężyka uleciał strumień bąbelków.. Zwinął długą dętkę, a potem zaczął ją na powrót rozprostowywać. Drobinki wody dostały się do wężyka i wepchnęły się w dół, między coraz liczniejsze bąbelki. Same smyczki, teraz, głęboko. Wyciągnął pas i dźwignął go razem z wodą. Z dętki dochodził chłopot. Znow zanurzył go w wodzie i ponowił wysiłki. I znow odezwały się smyczki, doszły instrumenty drewniane, z kilkoma nutami wkroczyły dęte. Jeszcze chwila i nadejdzie zawieszony akord, odsuwający całą orkiestrę na czas trwania kadencji. Oblepiony wodorostami czubek skałoczepa wystawał ponad powierzchnię. Małeńka rybka, oszukana przez ten nienaturalny odpływ, leżała na oświetlonej słońcem mokrej skale, gwałtownymi skrętami ciała próbując pokonać napięcie powierzchniowe. Ukwiały jeszcze ciaśniej zacisnęły usta. Dętka pasa ratunkowego była w dwóch trzecich wypełniona wodą.

Wsparł się odgięty o skałę, rozstawiając szeroko nogi. Rozbrzmiała muzyka, nagle crescendo morza i słońca. Wszechświat wstrzymał oddech. Jęcząc i stękając, zaczął wpychać gumowy wężyk między pośladki. Złożył dwie części długiej dętki i usiadł na nich. Obie ręce zabrały się do niej, ugniatając ją i masując. W jelitach poczuł zimny strumyk morskiej wody. Pompował i cisnął, aż zrobiła się gąbczasto płaska. Wyciągnął wężyk i podczołgał się ostrożnie do skraju skały, podczas gdy fortissimo orkiestry urwało się raptownie.

Zbliża się kadencja... idzie... już. W swojej technicznie triumfalnej pełni wystrzeliło prosto w morze. Jak pękająca zapora, niszcząca wszelkie przeszkody. Skurcz za skurczem, w gigantycznych akordach i tryskających arpeggiach kadencja czerpała zeń siły, aż legł wyczerpany i pusty na skale. Orkiestra umilkła.

Odwrócił twarz do skały i stęknął w kierunku swego przeciwnika:

- Masz już dość? Ja nie. - Poczul na sobie dłoń nieba. Podniósł się i klęknął wśród muszli. - Teraz będę normalny i przestanę być niewolnikiem własnego ciała. - Spojrzał na martwą rybę. Popchnął ją palcem w kierunku otworu ukwiała. Płatki wykwitły i usiłowały ją schwytać. - Żądła. Trucizna. Zatrujęm się ukwiałami. Pewnie jednak powinienem zostać przy małżach.

Poczuł się silniejszy, jednocześnie nie znajdując już w sobie tego heroizmu, który kazał mu się czołgać. Powoli zawrócił w kierunku Bocianiego Gniazda.

- Wszystko jest przewidywalne. Wiedziałem, że nie powinienem utonąć, i nie utonałem. Jest skała. Wiedziałem, że będę mógł na niej żyć, i tak jest. Pokonałem węża w moim ciele. Wiedziałem, że będę cierpiał, i tak się stało. A jednak zwyciężam. W pewnym sensie życie zaczyna się teraz od nowa, pomimo bibuły i nacisku.

Usiadł przy Karle i podciągnął kolana. Jego wzrok znajdował się dokładnie na zewnątrz, a on żył w świecie.

- Sądzę, że jestem głodny.

A czemu nie, skoro życie zaczyna się od nowa?

- Jedzenie na talerzu. Obfite jedzenie wśród wygod. Jedzenie w sklepach, u rzeźnika, jedzenie, nie takie, które pływa, zamyka się jak pięść i znika w rozpadlinie, lecz martwe, na łądzie, poukładane, całe morskie żniwo...

Przyjrzał się morzu. Nadchodził przypływ i od trzech skał cofały się połyskliwe pasma.

- Złudzenie optyczne.

Bo przecież skała była nieruchoma. Jeśli zdawało się, że wykonuje ruchy naprzód wraz z przypływem, to tylko dlatego, że oko nie miało innego punktu zaczepienia. Jednak za horyzontem było jakieś wybrzeże i ono pozostawało w niezmiennym odległości, podczas gdy woda płynęła. Uśmiechnął się ponuro.

- To była niezła sztuczka. Większość dałaby się nabrać.

Zupełnie jak pociąg, który zdaje się jechać w tył, gdy inny wyjeżdża zza niego w pędzie. Jak delikatne, równoległe linie, z jedną na krzyż.

- Bo, rzecz jasna, skała jest nieruchoma, a woda się porusza. Niech no pomyślę. Przypływ jest wielką falą, która obmywa cały świat - lub raczej świat obraca się wewnątrz przypływu, a więc ja i skała jesteśmy... - Pospiesznie spojrzął na skałę między swoimi stopami. - A więc skała jest nieruchoma.

Jedzenie. Poukładane na łądzie, nie pływające w morzu, lecz w stosach, wszystkie łupy morza, homar, który nie zamyka się jak pięść i nie ucieka do rozpadliny, ale...

Już był na nogach. W miejsce, gdzie pod trzema skałami rosły wodorosty, wbijał dziki wzrok.

- Kto widział, żeby taki homar pływał w morzu?! - wykrzyknął. - Czerwony homar?

Coś zabrano. Przez chwilę czuł, że leci. A potem otwarła się mroczna luka, gdzie nie było nikogo.

Coś wydobywało się na powierzchnię. Nie było pewne swojej tożsamości, ponieważ zapomniało swego imienia. Składało się z rozsypanych kawałków. Z wysiłkiem próbowało jakoś złożyć te kawałki, gdyż wtedy dowiedziałoby się, kim jest. Był tam rytmiczny odgłos i rozłączenie. Kawałki z drzeniem zeszyły się razem, a on leżał bokiem na skale i z jego ust wydobywało się chrapanie. Gdzieś dalej, w głębi tunelu, czuł silne mdłości. Było tam coś, co oddziało chwilę obecną - bez względu na to, gdzie był - i ów moment przerażenia. To coś pomogło mu zapomnieć o przyczynie tego przerażenia. Mrok oddzielenia był głębszy aniżeli mrok snu. Był głębszy niż jakakolwiek normalna ciemność, gdyż czas wtedy się zatrzymał lub też skończył. Była to luka niebycia, studnia wychodząca poza ten świat, i teraz wysiłek bycia stał się tak wyczerpujący, że mógł jedynie leżeć na boku i żyć.

Po chwili pomyślał: W takim razie byłem nieżywy. To była śmierć. Umarłem z przerażenia. Teraz kawałki mnie zeszyły się razem - i oto żyję.

Także widok różnił się od poprzedniego. Trzy skały były bliżej, a jakieś ostre przedmioty - muszle małży, wywnioskował błyskotliwie - wbijały się mu w policzek.

- Kto zniósł mnie aż tutaj?

Przy tych słowach poczuł ból, pochodzący - jak wyszedł - z języka. Jego koniuszek był spuchnięty i obolały, a w ustach czuł sól. Nie opodal dostrzegł parę pustych spodni i dziwaczne ślady na skale. Były białe i biegły równolegle. Widać na nich było krew i odrobinę piany.

Uważnie zbadał resztę swego ciała. Stwierdził, że ten twardej przedmiot przypominający sztabę to jego prawe ramię, wygięte do tyłu. To doprowadziło go do bólu w stawach. Wygiął się nieco, uwalniając ramię, i wbił wzrok w kończącą je dłoń.

Zorientował się, że nie ma na sobie kałeson, gdyż trzyma je w prawej ręce. Były podarte i zakrwawione.

- Walczyłem z kimś. - Leżał, ospale składając myśli. - Oprócz mnie na tej skale jest jeszcze ktoś. Wypełził skądś i zdrowo mi przyłożył. - Twarz wykrzywiła się. - Nie wygłupiaj się. Jesteś zupełnie sam. Miałeś atak.

Po chwili, z bolesnym sieknięciem, wymacał swoją lewą rękę. Palce były pogryzione.

- Jak długo to trwało? Czy to jest dzisiaj, czy wczoraj? - Wsparł się na rękach i kolanach. - Właśnie w chwili, gdy na powrót stałem się zwycięskim sobą, musiało przyjść coś takiego. Jakiś Lęk. Jakiś wzór wyłaniający się z okoliczności.

Potem ta luka niebycia.

- Ta strona luki różni się od tamtej. Przypomina mi to moment po zakończeniu próby ustawiania świateł, kiedy wszystko gaśnie. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą widać było jasną,

wyraźną scenerię, zostają - w mdłym blasku światełka kontrolnego - jakieś szare malowidła. Zupełnie jak w szachach. Prowadząc triumfalny atak, nie zauważasz przeszkody i gra przeistacza się w walkę. I nie masz możliwości ruchu.

Jaskrawa skała i niebo, nadzieja, choć odroczone, szumne frazesy. A potem - chwila olśnienia, zrozumienia i przerażenia, jak spadająca dłoń.

- To było coś, co mi się przypomniało. Lepiej, żeby nie przypominało się powtórnie. Pamiętaj: masz zapomnieć. Oblęd?

Gorzej niż oblęd. Normalność.

Dźwignął się na dłoniach i kolanach, próbując odtworzyć cały paroksyzm, dojść po rozrzuconych ubraniach i śladach na skale do miejsca, gdzie to się zaczęło. Zatrzymał się przy Karle, spoglądając w dół na skałę z wydrapanym na niej wzorem - wzorem, który przecinał teraz posypany drobnym piaskiem ślad zębów.

- Tego należało się spodziewać. Wszystkiego należało się spodziewać. Tak już jest w życiu. Zapamiętaj to sobie. - Spojrzał w zadumie na ślady, które skała zostawiała za sobą w morzu. - Nie wolno mi patrzeć na to morze. A może muszę? Co jest lepsze, normalność czy obląkanie? Chyba raczej normalność. Coś widziałem, ale to było tylko złudzenie. Źle mi się przypomniało.

Potem przyszło mu do głowy coś ważnego, sprawiając, że natychmiast zaczął przeszukiwać skałę. Nie robił tego pośpiesznie, lecz cal po calu. Gdy minęła wieczność pełna poszukiwań, pęknięć, wypukłości i szorstkości, dotarło doń, iż szukanie kawałka drewna, w który można by odpukać, jest idiotyzmem, ponieważ czegoś takiego tutaj nie ma.

Kalesony wciąż zwieszały się z jego dłoni i pomyślał naraz, że mógłby je założyć. Gdy już to zrobił, z głowy uciekły wszystkie mgły, pozostawiając ból. Uniósłszy rękę, dotknął tego bólu i znalazł wypukłość pod włosami, a włosy były zlepione krwią. Zbadał swoje nogi. Białe krosty zmalowały i już nie były ważne. Przypomniał sobie swój zwyczaj i wgramolił się pod skalną płytę kryjącą zbiornik z wodą. Gdy znalazł się na miejscu, zauważył nagle, jaskrawe światło u wylotu na dalekim końcu i jakiś głęboko zakorzeniony rozsądek kazał mu wrócić na Bocianie Gniazdo; wiedział, co zapowiada to światło i ten dźwięk zaraz po nim.

Słońce ciągle świeciło, lecz część horyzontu była nieco zmieniona. Przyklęknął, by przyjrzeć się tej zmianie, i znów przecięło ją pionowe ułucie światła. To światło zostawiło pamiątkę w każdej gałce ocznej, powodując rozdwojenie wzroku. Przyjrzał się tej zielonej smudze zostawionej przez światło i dostrzegł, że ciemność zostawiła wyraźną linię na powierzchni morza. Była coraz bliżej. Nagle znalazł się w swoim ciele, wiedząc, gdzie jest.

- Deszcz. Oczywiście.

- Mówiłem, że będzie padać.

Niechaj spadnie deszcz. I spadł deszcz.

Gramolił się na czworakach Ulicą Główną, wziął ziudwestkę i ułożył ją w zagłębieniu na końcu Akweduktu Klaudiusza. Zdarł wszystkie ubrania, jakie miał na sobie, i wcisnął je do rozpadliny. Cały czas zdawał sobie sprawę z jaskrawych świateł i hałasów. Włożył sztormiak do rowu i zanurzył się w zbiorniku. Niemal wyprostowany doszedł do Bocianiego Gniazda i usłyszał syk deszczu, gdy brzeg kurtyny opadł na Skałę Nadziei. Uderzyła go w twarz, długimi susami zeskoczyła z Karła i powierzchni Bocianiego Gniazda. Nie minęła sekunda, a cały połyskiwał i ociekał wodą od stóp do głów.

Z kurtyny dochodził bezlitosny błysk i huk; po chwili pędził, potykając się, do swojej rozpadliny i wciskał się w nią głową naprzód, a gdzieś nad nim rozbrzmiewał grzmot. Nawet w głębi swego schronienia widział sine światło raniące jego uszy; potem wszystkie dźwięki ustały i pozostała jedynie wysoka, śpiewna nuta. Była ona tak bliska i znajoma jego głowie, że zajęła miejsce grzmotu. Stopy miał obolałe jak po bastonadzie. Jego usta coś tam mówiły, lecz nie wiedział co, ponieważ niczego nie słyszał. Przez rozpadlinę przelewała się woda, płynęła pod jego twarzą, ściekała ze skały; woda spływająca z jego pośladków, woda. Wyczołgał się z rozpadliny i znalazł się pod wodospadem. Niezgrabnie wszedł do rowu i znalazł ziudwestkę, tak pełną wody, że aż wylewała się brzegami. W końcowej części Akweduktu Klaudiusza było ujście wody, kran; wziął pełną ziudwestkę i wlał wodę do ust. Odłożył ziudwestkę na miejsce i wrócił do swojego sztormiaka. Czekająca na niego kąpiel, lecz deszcz obmywał go jak prysznic. Znów poszedł tam, gdzie leżała ziudwestka, poczekał, aż się napęlni, i zaniósł ją do zbiornika z wodą. Słyszał dochodzące spod skały mlaśnięcia i kapania, wodę płynącą w dół, sączącą się przez ukryte pęknięcia, wpadającą do otworu wśród tysiącznych świergotów. Już teraz pas czerwonej gliny był węższy.

- Mówiłem, że będzie padać, i pada.

Czekał, drżąc w zimnej jaskini, czekał na zadowolenie, będące zwykle efektem trafnych prognoz. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Przykucnąwszy tam, już nie zważał na dźwięk wody, lecz zmarszczył brwi i zaczął się przyglądać swemu cieniowi.

- Któryż to pionek straciłem w tej grze? Rozpocząłem atak, szło mi dobrze, a potem...

- A potem mroczna otchłań, oddzielająca radośniejsze czasy od chwili obecnej. To, co się stało, istniało po tamtej stronie otchłani. To było coś, o czym nie wolno pamiętać; lecz jak

można nad tym panować, skoro rozmyślnie o tym zapomniałem? To było coś związane ze wzorem, który się wyłaniał.

- Nieprzyjazna.

Na moment zadumał się nad słowem wypowiedzianym przez jego usta. Słowo brzmiało niewinnie, jeśli rozpatrywało się je w oderwaniu od konsekwencji. By tego uniknąć, z całym rozmysłem nagiął proces myślowy i zmusił usta do zrobienia tego, co im kazał:

- W jaki sposób skała może być nieprzyjazna?

Wyczołgał się szybko na deszcz, który był coraz słabszy. Sztorm znikł za trzema skałami i uspokoił ruch wody. Chmury uciszyły wszystko. Zostawiły za sobą szare, dżdżyste morze, nad którym przemieszczało się powietrze, popychając skałę wyczuwalnym wiatrem.

- To była poboczna burza na skraju cyklonu. Cyklony krążą na półkuli północnej w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Wiatr jest południowy. Tak więc jesteśmy na wschodnim skraju cyklonu zmierzającego na wschód. Skoro potrafię przewidzieć pogodę, mogę się przeciwko niej uzbroić. Teraz problemem nie będzie zbyt mała ilość wody, lecz jej nadmiar.

Zwracał minimalną uwagę na swoje usta. Przemawiały, nie uspokajając nikogo prócz siebie samych. Jednak centrum globu poruszało się i unikało odłamków wiedzy. Uciekając przed jednym, natychmiast natykało się na drugi. Jeśli któryś był niemożliwy do uniknięcia, próbowało go usunąć.

- Cały problem nienormalności jest tak złożony, że nikomu jeszcze nie udało się stworzyć jakiejś zadowalającej definicji, jakiejś normy. - Oddalone od centrum, usta nie przestawały kwakać: - W którym bowiem miejscu można przeprowadzić linię oddzielającą człowieka, którego uważa się za zmiennego w nastrojach czy też wybuchowego, od prawdziwego psychopaty cierpiącego na psychozę maniakalno-depresyjną?

Centrum myślało - z jednym okiem czujnie wzniesionym w oczekiwaniu burzy przerażenia - o tym, jak trudno jest odróżnić sen od czuwania, gdy jedynym, czego się doświadcza, są fragmenty filmów.

- Powracający sen, nerwica? Ale przecież u normalnego, leżącego w swoim łóżeczku dziecka występują po kolei wszystkie symptomy nerwicy.

Gdyby tak - krok po kroku - ignorując mroczną otchłań i przerażenie na ustach, odejść od skały, przez okres marynarki, sceny, pisania, uniwersytetu, szkoły, prosto do łóżka pod cichym okapem, szłoby się do tej piwnicy. A od piwnicy ścieżka wiedzie prosto do skały.

- Rozwiązanie leży w inteligencji. To właśnie odróżnia nas od bezbronnych zwierząt, niezdolnych do przekroczenia umysłowych i fizycznych wzorców zachowań.

Centrum jednak studiowało właśnie pewną przesłaniającą resztę myśli, która zajęła miejsce innych w tym posepnym parku.

Guano jest nierozpuszczalne.

Skoro guano jest nierozpuszczalne, to woda w górnym rowie nie mogła być oślizgłą wilgocią, której dotknięcie pobudzało do kłucia rozpaloną igłę w kąciku oka.

Jego język przejechał po barierze zębów, docierając do miejsca, gdzie tkwiły te duże i gdzie ziała dziura. Złożył ręce i wstrzymał oddech. Wbił niewidzący wzrok w morze. Język przypominał sobie. Wsunął się w dziurę między zębami, odtwarzając stary, bolesny kształt. Dotknął szorstkiego brzegu urwiska i ześlizgnął się z niego, przesuając się od jednego bolesnego rowu do następnego, aż do gładkiej powierzchni, gdzie znajdował się "Czerwony Lew", tuż nad dziąsłem - i pojął, co tak dręczące znajomego i bolesnego było w tej samotnej i rozsypującej się skale oblanej zewsząd wodą.

12.

Teraz pozostawało jedynie bronić normalności. Zostało centrum, które zdawało się poruszać sznurkami okrywające je ciało. Zmusił ciało do zejścia z Bocianiego Gniazda do rozpadliny. Znalazł wilgotną odzież i zaczął ją wkładać, aż dostrzegł przedłużenia ubrań i pończoch leżące niczym kupy odpadków. Ciało i odzież były niezgrabne jak kombinezon pletwonurka. Poszedł do Skały Żywicielki, zebrał małże i zmusił usta do ich przyjęcia. Nie rozglądał się dokoła, patrzył tylko w dół, gdzie woda tańczyła wzdłuż skał. Powierzchnia morza była pomarszczona - małe fale niosły na swoich grzbietach inne małe fale, przez co nie było widać głębi, a woda była ponura i zimna. Jego szczęki nie przestawały pracować, a on sam siedział nieruchomo. Nie opodał na skale leżały dwa homary. Posiłek ciągnął się wśród ukłuć deszczu, krzątania wiatru i pędu drobnych kóleczek na powierzchni wody. Chwytał kawałki jedzenia jednym homarem i podnosił je do ust. Homary miały pancerz, który chronił je przed naporem nieba.

Jego głos kwakał między kolejnymi kęsami, to zbliżając się do rozsądku i prawdy, to znów pośpiesznie się od nich oddalając:

- Ja nie mam pancerza i dlatego jestem tak zduszony. Mój profil też został zniszczony. Usta sterczą mi z twarzy i mam dwa nosy.

Centrum jednak myślało o innych rzeczach.

- Muszę ostrożnie oglądać się na wiatr. Nie chcę znów umrzeć.

Tymczasem małży było wiele i można było sprawić, że usta tworzyły i wymazywały rozmaite inne możliwości.

- Zawsze były dwie rzeczy, umysł i ciało. Nic się nie zmieniło. Tyle że nigdy wcześniej tak wyraźnie sobie tego nie uświadamiałem.

Centrum pomyślało o następnym kroku. Świat można spoić za pomocą nitów. Ciało można naprawić za pomocą mrówczych kleszczy, jak w Afryce. Wola się nie podda.

A potem już nigdzie w zasięgu ręki nie było małży. Wykonał homarem ruchy naśladujące jedzenie, lecz wrażenia w ustach nie były te same.

- Muszę to robić.

Obrócił się na czworakach. Wstrzymał oddech i spojrział w górę, a tam, na tle nieba, rysował się kształt tej starej kobiety z kąta piwnicy.

- Ona jest Karłem. Dałem jej srebrną głowę.

W jego twarz uderzył wiatr i odrobina deszczu. Stara kobieta skinęła głową ze zmatowiałego srebra.

- Na szczęście założyłem jej na twarz tę srebrną maskę. Ona jest Karłem. To nie jest następny krok.

Ruszył w stronę Bocianiego Gniazda, dźwignął ciało w pobliże Karła i zmusił je do przyklęknienia. W górze, ponad nim, Karzeł kiwał łagodnie głową ze zmatowiałego srebra.

W najwyższym rowie było coś innego. Natychmiast wzdrygnął się, cofnął i spojrzał ostrożnie. Biała substancja na dnie była popękana i rozrzucona, ponieważ od ściany rowu odpadł ułamek skalny. Przyczołgał się bliżej i obejrzał go. Na jednym boku kartki były stare i sfatygowane, lecz na trzech pozostałych białe jak nawóz i niedawno pęknięte. Odłamek mierzył blisko jard z każdego boku i był gruby na sześć cali. Była to znacznych rozmiarów książka, a na jej białej okładce wyryte było coś dziwnego. Przez chwilę oku jego podobał się ten sztych, ponieważ był to wzór, a nie słowa, które zabiłyby go natychmiast. Oko przemierzyło wielokrotnie długie, wyżłobione linie, podczas gdy jego usta zjadały małe. Przy Brzegu książki znajdowało się wgłębienie, miejsce, w którym odpadła.

W tym wgłębieniu też był jakiś sztych. Przypominał drzewo przewrócone do góry nogami i rosnące w dół ze starej krawędzi, gdzie liście były zniszczone przez deszcze i wiatry. Pień był głębokim, prostopadłym rowkiem z łuskowatym brzegiem. Nieco niżej pień rozdzielał się na trzy gałęzie, a te z kolei na skomplikowane mnóstwo gałązek, jak wydrążone przez kornika korytarze. Pień, gałęzie i gałązki były przeraźliwie czarne. Gałązki otaczała szarość kwiatów jabłoni i srebrna plama. Gdy tak patrzył, krople wody zmatowiły plamę i położyły się na gałęziach jak pozbawione smaku owoce.

Usta zakwakały:

- Błyskawica.

Jednak ciemne centrum było skurczone, przerażone - wiedziało. Wiedza była tak straszna, że centrum rozmyślnie zmusiło usta do działania:

- Czarna błyskawica.

Jeszcze była rola, którą można by zagrać - szaleńca, Biednego Toma, chronionego przed wiedzą, którą niósł znak czarnej błyskawicy.

Chwycił gwałtownie starą kobietę z jej kiwającą się srebrną głową.

- Pomóż mi, skarbie, musisz mi pomóc!

Usta przejęły inicjatywę:

- Jeśli go nie powstrzymasz, skarbie, rozwali tę całą cholerną skałę i będziemy musieli pływać.

Pływać w czym?

Usta oszalały:

- Tam była ta skała, przy Skale Nadziei, skarbie, ruszała się, woda nią ruszała. Nie poprosiłbym nikogo innego poza tobą, ponieważ ta skała jest nieruchoma i jeśli tylko on da jej spokój, zostanie tam na wieki. No bo przecież, skarbie, jesteś jego żoną.

Boso, prosto z łóżka, na dywan. Pełniesz przez ciemny pokój nie dlatego, że chcesz, lecz dlatego, że musisz. Mijam drzwi. Półpiętro, ogromne, stojący zegar. Za mną żadnego bezpieczeństwa. Teraz za róg i schody. W dół, stuk. W dół, stuk. Hall, ale rozrośnięty. Ciemność czai się w każdym kącie. Poręczę wysoko, ledwie sięgam ręką. Teraz nie czas na zjeżdżanie. Inne poręczę, wszystko inne, wzór się wyłania, muszę iść w dół, by spotkać to, od czego się odwróciłem. Tik, tak, zewsząd cienie. Obok drzwi kuchennych. Odsuń skobel. Studnia ciemności. W dół, stuk, w dół. Kawałki trumny wbite w ściany piwnicy. Pod dziedzińcem kościoła, z powrotem przez drzwi śmierci na spotkanie z mistrzem. W dół, stuk, w dół. Stos czarnych grudek, smród wilgoci. Wiórki z trumien.

- Gdy ktoś widzi czerwonego homara pływającego w morzu, to pewny znak, że postradał zmysły. A guano jest nierozpuszczalne. Tylko szaleniec widziałby mewy jako latające jaszczurki, połączyłby te dwie rzeczy z książki i to wróciłoby do niego, gdy już jest nieważne, kiedy pomieszało mu się w mózgu i gdy zapomniał, kiedy to czytał - czyż nie tak, skarbie? Powiedz, że tak! Powiedz, że tak!

Srebrna twarz nie przestawała łagodnie się kiwać, a deszcz pryskał.

Drewno z trumien na rozpałkę, pył węglowy, czarny jak czarna błyskawica. Pniak, a obok topór, zużyty nie przy rąbaniu drewna, lecz przez egzekucje.

- Foki nie są nieprzyjazne i tylko szaleniec nie mógłby sypiać normalnie. Czułby, że skała jest zbyt twarda, zbyt realna; narzuciłby jej jakąś rzeczywistość, zwłaszcza gdyby cierpiał na nadmiar wyobraźni. Byłby zdolny postrzegać ów sztych jako ingerencję w całą naturę rzeczy - czyż nie tak?

A potem: przykute w mroku stopy, próba podniesienia jednej, klej, słabość tam, gdzie powinna być siła, tak teraz potrzebna, gdyż nie było nic naturalniejszego niż wrzask i próba ucieczki. Mrok w kącie podwójnie mroczny, majaczący kształt, stopy spętane, blisko, nieznany majak, otwierający się mrok, serce i cała istota w pętach nieprawdopodobnego przerażenia. Wzór powtarzany od prawieku, zbliżenie nieznanego, mroczne centrum, które odwracało się tyłem do swego stworzenia i rozpaczliwie próbowało uciec.

- Czyż nie tak? Powiedz, czyż nie tak?!

Przy jego lewym ramieniu rozległ się jakiś dźwięk i woda przelała się przez bocianie gniazdo. Zmusił zewnętrzną twarz, by zwróciła się w stronę wiatru, a wiatr uderzył w jej policzki. Woda przelewająca się przez karła nie była już deszczem, lecz pianą. Podczołgał się do brzegu urwiska i spojrzał w dół komina. Woda wokół Skały Ocalenia była biała, a gdy tak patrzył, w kominie rozległ się głuchy dźwięk, a po nim wystrzelił pióropusz piany.

- Ta pogoda już wcześniej została zbadana, lecz z niższego poziomu. On się wspinał, a skałoczepty się trzymały.

Morze zaczęło wzbierać jakimś rytmem. Skała Ocalenia przewracała fale i ciskała je do szczeliny położonej nieco pod kominem. Dziewięć razy na dziesięć te fale natykały się na powracające odbicie i rozpryskiwały się linią piany jak płonący lont - ogromny lont smagający wodę. Za dziesiątym jednak razem fala miała wolną drogę, ponieważ dziewiąta była nadzwyczaj mała. Tak więc dziesiąta wtaczała się do środka, szczelina zduszała wodę, która pędziła jeszcze szybciej i uderzała w tylną część kąta - bum! - i pienne pióro wpadało do komina. Jeśli dziesiąta fala była wielka, pióro stawało się pióropuszem i wiatr chwytał garść z samego czubka i trząsał nią o Karła, a woda rozpryskiwała się i sływała w dół Ulicy Głównej.

Przyglądanie się falom przypominało jedzenie małży. Morze było punktem, na którym skupiała się uwaga, a to skupienie można było przedłużyć nawet bardziej niż jedzenie. Centrum skoncentrowało się i pozostawiło usta samym sobie.

- Burze zjawiają się raz na jakiś czas, to jasne. Tego należało się spodziewać. A któż mógł wymyślić tę całą gmatwaninę wód, tak jak to jest na tym świecie, aż do ostatniej kropli posłuszną prawom natury? I to oczywiste, że obłąd musi stoczyć ludzki mózg, a we wszechświecie musi zapanować nieład. Za tym jednak nieładem nadal istnieje będzie rzeczywistość, a w niej biedne, szalone stworzenie, wczepione w skałę oblaną zewsząd przez morze.

W szaleństwie nie istnieje żadne normalne centrum. Nic takiego jak to "ja", które sobie siedzi, oddalając to, co musi nadejść. Ostatnia powtórka wzoru. Potem czarna błyskawica.

Centrum wykrzyknęło:

- Jestem tak bardzo sam! Chryste! Tak bardzo sam!

Czerń. Znajome uczucie, ciężar wokół serca, zbiornik, który w każdej chwili może spowodować przybór łez w oczach tak długo nienawykłych do płaczu. Czerń, jak zimowy wieczór, przez który centrum kazało iść jego ciału - młodemu ciału. Jedynym urozmaiceniem okna był sznur zapalonych lamp wieńczących czubki ulicznych latarni. Centrum myślało:

Jestem sam; tak bardzo sam! Zbiornik wylał, wszystkie światła aż do Carfax pod Dużym Tomem pękły, rozkładając tęczowe skrzydła. Centrum odczuło dławienie w swoim gardle i wysłało wzrok naprzód, by chwycić się rozpaczliwie następnego światła i następnego - czegokolwiek, co pozwalałoby odwrócić uwagę od wewnętrznego mroku.

Za sprawą moich postępów jestem odrzucony i samotny.

Centrum przetrwało marsz przez aleję, przez kolejną drogę, czworokąt, wspięło się po nagich, drewnianych schodach. Usiadło przy kominku i wszystkie dzwony Oksfordu biły na cześć tego zbiornika, który wylał, i morze ryczało w pokoju.

Centrum zdarło całą niemęskość ze swej twarzy, lecz krnąbrna woda wciąż płynęła i kapła z policzków.

- Jestem tak bardzo sam. Jestem tak bardzo sam!

Powoli woda wyschła. Czas się ciągnął, jak czas na skale pośrodku morza.

Centrum sformułowało pewną myśl.

Teraz już nie ma żadnej nadziei. Nie ma niczego. Gdyby oni tylko spojrzeli na mnie lub przemówili - gdybym tylko mógł być częścią czegoś...

Czas się ciągnął, niewzruszenie.

Odgłos nóg biegnących po schodach, dwa piętra niżej. Centrum czekało bez żadnej nadziei, by usłyszeć, który odwiedzą pokój. Lecz one szły dalej, wspinały się, coraz głośniejsze, prawie tak głośne, jak bicie serca, więc gdy zatrzymały się przed drzwiami, on już tam stał, trzymając ręce przy piersi. Drzwi uchyliły się kilka cali i w górnej części szpary pojawiła się czarna czupryna.

- Nathaniel!

Nathaniel skłonił się i rozpromienił, wchodząc do pokoju, a potem zatrzymał się i spojrzał w dół na okno.

- Tak myślałem, że uda mi się cię złapać. Przyjechałem na weekend. - Po chwili, jakby po namyśle: - Mogę wejść?

- Mój drogi!

Nathaniel zdjął palto i rozejrzał się uroczyście dookoła, jak gdyby kwestia jego położenia była niezwykle istotna.

- Usiądź. Daj, ja to wezmę... usiądź... tak... mój ty drogi!

Nathaniel też się uśmiechał.

- Cieszę się, że cię widzę, Christopher.

- I możesz zostać? Nie musisz szybko wracać?

- Przyjechałem wygłosić wykład dla...

- Ale nie dziś wieczór?

- Dziś mogę zostać.

Centrum rozsiadło się naprzeciwko, tuż poza jego oknem - w świetle.

- Pogadamy sobie. No to rozmawiajmy, Nat.

- Jak tam życie towarzyskie?

- Co w Londynie?

- Nie podobają mi się wykłady o niebie.

- O niebie?

Wtedy ciałem targnął śmiech, coraz głośniejszy, i znów zaczęła płynąć woda. Nat też wyszczerzył zęby i zarumienił się.

- Wiem. Ale nie musisz dokładać swoich trzech groszy.

Otarł wodę i czknął.

- A czemuż o niebie?

- O takim niebie, które wymyślamy dla siebie po śmierci, jeśli nie jesteśmy gotowi na to prawdziwe

- Ty... ty ciekawska istoto!

Nathaniel spoważniał. Spojrzał w górę, uniośł palec wskazujący i skonsultował się z encyklopedią poza sufitem.

- Bo weź na przykład nas, w naszej sytuacji, a niebo stanie się czystym zaprzeczeniem. Bezkształtnym i pustym. Rozumiesz? Coś w rodzaju czarnej błyskawicy niszczącej wszystko, co nazywamy życiem...

Śmiech powrócił.

- Nie rozumiem i niewiele mnie to obchodzi, lecz przyjdę na twój wykład. Mój drogi Nathanielu, nawet nie masz pojęcia, jak rad jestem, że cię widzę.

Płonący lont smagnął twarz Nathaniela, a on znikł. Centrum pozostało, patrząc w dół komina. Jego usta były szeroko otwarte ze zdumienia i przerażenia.

- A ja aż tak bardzo go lubiłem!

Czerń i droga po omacku do gładkiej stalowej drabinki, ledwie połyskującej w zamglonym świetle. Centrum próbowało protestować, zupełnie jak dziecko protestujące przed zejściem o pomocy do ciemnej piwnicy, lecz nogi ani myślały słuchać. Wyżej i wyżej, od śródookręcia aż do poziomu dziobówki, wyżej, obok dużego działa. Spotkam go? Będzie tam dziś w nocy?

A tam, naszkicowany tuszem na tle chmur, z porozrzucanymi przypadkowo kończynami, jak stara snopowiązałka przy stogu siana, tkwił Nathaniel, chwiejąc się i próbując salutować. Heja, Nat, wezbrało mu w gardle, lecz pośpiesznie przełknął te słowa. Udawaj, że nie widzisz. Nie masz z tym nic wspólnego. Odpal z mostka, niech eksplozja ciśnie go daleko od jej ciała i zrobi miejsce dla ciebie. Pierwsze danie już za nami, ryba zjedzona.

Może się nie udać. Może nie pofatyguje się na rufę, by się modlić do swoich eonów. Żegnaj, Nat, kochałem cię, a wielka miłość nie leży w mojej naturze. Cóż jednak ma począć przedostatnia larwa? Zatracić swoją tożsamość?

Nathaniel stał w ciemnościach, chwiejąc się na szeroko rozstawionych nogach, pojmując posłusznie, że nie został zauważony. Zamiast tego cofnął się z drogi oficera i szedł nieporadnie po drabinie.

Wszystko gotowe, czas, miejsce, bliski człowiek.

- Dzięki Bogu choć raz jesteś wcześniej. Kurs zero-cztery-pięć, prędkość dwadzieścia osiem węzłów. Nie dostrzegliśmy niczego i kontynuujemy przez następną godzinę.

- Coś nowego?

- Wszystko po staremu. Jesteśmy trzydzieści mil na północ od konwoju, zupełnie sami, i za godzinę mamy wysłać sygnał. Stary wszystkiego dopilnuje. To wszystko. Żadnych zygzaków. Proste jak drut. Aha, księżyc wyjdzie za dziesięć minut i bylibyśmy niezłym celem, gdybyśmy natrafili na U-boota. Przekaż dalej. Miłej nocy.

- Kolorowych snów.

Odgłos kroków. Przeszedł na prawą stronę pomostu bojowego i spojrzał w stronę rufy. Odgłosy silnika, zarys komina. Dostrzegł mdłą biel kilwaterny za rufą i drugą falę biegnącą zza śródkręcia. Ledwo widział prawoburtową część pokładu rufowego, teraz czarną, całą skomplikowaną rzeźbę wyrzutni, min głębinowych, trałów i uniesionych luf dział, wśród których trudno było wypatrzeć postać wspartą o reling. Wyteżył wzrok i próbował dojść, czy rzeczywiście widzi tam tę postać, zarys modliszki z uniesionymi przednimi ramionami, czy też jest to jedynie wytwór jego umysłu.

To nie Nathaniel stoi tam przechylony, to Mary.

Ja muszę. Muszę. Czyż nie pojmujesz, ty przeklęta dziwko?

- Łącznik!

- Tak, sir?

- Przynieś mi filiżankę kakao.

- Tak jest, sir!

- I jeszcze jedno... albo nie, nic.

Schodzi po drabinie. Mrok, wiatr i pęd. Na prawą burtę pada blask jak luna z plądrowanego miasta. Księżyc.

- Lewe oko!

- Sir?

- Skocz do sterówki i przynieś mi inny noktowizor. Zdaje mi się, że ten wymaga gruntownego przeglądu. Znajdziesz go na stojaku nad stołem nawigacyjnym.

- Tak jest, sir!

- Przejmę na ten czas twój sektor!

- Tak jest, sir. Schodzi po drabinie. Teraz.

Teatralna scenka.

Beztrouski spacer na lewą burtę. Przerwa. Teraz. Teraz. Teraz.

Biegiem do kolumny kompasu, rzut do szprechrury, głos gwałtowny, wysoki, ostry, przerażony:

- Ster prawo na burt, na miłość boską!

Niszczący wstrząs, nie mający nic wspólnego z całą historią. Biel wznosi się jak chmura, wszechświat wiruje. Wstrząs, upadek, straszliwy, zalane usta - i walczył na wszystkie sposoby z czarną, nieprzeniknioną wodą.

Jego usta krzyknęły wściekle prosto w biel wyrastającą z komina:

- A rozkaz był słuszny!

Zjedzony.

Nie mógł już dłużej patrzeć na fale, gdyż co kilka minut kryły się w rosnącej bieli. Zmusił wzrok do wypełnienia i przyjrzenia się swojemu odzianemu ciału. Ubrania były przemoczone do nitki, a pończochy zostawiały mokre ślady, jak szmaty. Jego usta powiedziały mechanicznie:

- Szkoda, że zrzuciłem gumki, kiedy byłem w wodzie.

Centrum kazało sobie udawać i wciąż udawało. Usta miały swoją własną mądrość.

- Zawsze pozostaje obłąd, schronienie jak rozpadlina w skale. Człowiek, który nie ma innej obrony, zawsze może się wczłógać w obłąd, jak jedno z tych opancerzonych stworzeń pełzających wśród wodorostów i małży.

Znaleźć coś, na co można patrzeć.

- Obłąd wytłumaczyłby wszystko, prawda, skarbie?

Rób coś, jeśli nie patrzysz.

Wstał i potoczył się wśród wiatru, chłostany przez deszcz i pianę. Zszedł Ulicą Główną i znalazł swój sztormiak, przerobiony na zbiornik i pełny wody. Wyjął zbudwestkę, zaczął czerpać wodę ze sztormiaka i nosić ją do zbiornika. Skupił uwagę na prawach rządzących wodą, na tym, jak spływa lub nie rusza się z miejsca, jak przewidywalne są jej ruchy i jak łatwo można nią kierować. Co pewien czas przez skałę przechodziło drżenie, biała chmura pięła się przy bocianim gnieździe, a przez górne rowy przetaczały się spienione rzeczułki. Gdy opróżnił sztormiak, podniósł go, osuszył i nałożył. Majstrując przy guzikach, centrum mogło odwrócić uwagę od tego, co miało nadejść. Czyniąc to, cały czas znajdował się naprzeciwko Akweduktu Klaudiusza, gdzie piana zwisała teraz w smarkach, a sztormiak przyciskał go do wyżłobionego kanału. Gdy tak stał przykuty do tego miejsca, otrzymał cios w plecy i strumienie wody chlusnęły do rowu. Najpierw obmyły wszystko dokoła, po czym osiadły szumowiną na dnie. Macając wokół siebie, przemierzył drogę wzdłuż Akweduktu Klaudiusza do swojej rozpadliny i wsunął się do środka. Na głowę włożył zbudwestkę i oparł czoło na przedramieniu. Świat szerniał i przyszedł doń w dźwiękach.

- Gdyby usłyszał to jakiś szaleniec, pomyślałby, że to grzmot, i rzeczywiście by tak było. Nie ma potrzeby tak się wsłuchiwać. To będzie tylko grzmot nad horyzontem, gdzie tam i z powrotem kursują statki. Zamiast tego lepiej posłuchaj burzy. Niebawem wymłóci tę skałę. Swoim biciem wpędzi tego nieszczęśnika w obłąd. On nie chce popadać w obłąd, lecz będzie musiał. Pomyśl o tym! Wy wszyscy w waszych ciepłych łóżkach - oto brytyjski marynarz został sam na skale i popada w obłąd, bynajmniej nie dlatego, że tak chce, lecz dlatego, że morze jest potwornością - najstraszliwszą potwornością, najstraszliwszą, jaką można sobie wyobrazić.

Centrum współpracowało, nastawiając jednak ucha. Skupiło się teraz na słowach, które wylewały się z ust, ponieważ dzięki frędzłom ciała i włosów opuszczonych na okno mogło teraz badać słowa tak, jak przedtem myśli. Dostarczyło muzyki, która rozbrzmiewała w tle.

- Och, pomocy, pomocy! Umieram z zimna i wyczerpania. Umieram z głodu, konam z pragnienia. Leżę jak drewno, które wyrzucone przez fale na brzeg, uwięzło w rozpadlinie. Dopełniłem obowiązku wobec ciebie, i oto moja nagroda. Gdybyś mnie tylko mógł widzieć, targnęłaby tobą litość. Byłem młody i silny, i przystojny, miałem orli profil i faliste włosy; byłem niezwykle błyskotliwy i wyruszyłem, by walczyć z twoimi wrogami. Przetrwałem w wodzie, stoczyłem walkę z ogromem morza. Stoczyłem walkę ze skałą i mewami, i homarami, i fokami, i burzą. Teraz jestem chudy i słaby. Moje stawy są jak guzy, a moje kończyny jak patyki. Moja twarz postarzała się i zapadła, a włosy zbieleły od soli i cierpień.

Moje oczy to zmatowiały kamienie... - Centrum zadrżało i skurczyło się. Zza burzy i grającej w tle muzyki dobiegł go inny dźwięk i słowa wypadające z łkających ust: - ...moja klatka piersiowa przypomina wręgi porzuconej łodzi, a każdy oddech jest wysiłkiem...

W porównaniu z rykiem wiatru i deszczu, i fal ten dźwięk był tak słaby, że przyciągnął uwagę i skupił ją na sobie. Usta też o tym wiedziały i zdwoiły wysiłki:

- Popadam w obłąd. Błyskawica tańczy na krańcach dzikiego morza. Znow jestem silny...

I usta zaczęły śpiewać.

Centrum trwało w skupieniu, pomimo śpiewu, grającej w tle muzyki i dochodzącego z zewnątrz ryku. Znow pojawił się ten dźwięk. Centrum mogło przez chwilę pomylić go z grzmotem.

- *Hoé, hoé!* Błyskawica Thora rzuca mi wyzwanie! Błysk za błyskiem, perliste strugi białego ognia, pioruny ciskane w Prometeusza, oślepiająco białe, białe, wypalające piętno, niebo wzięło na cel człowieka tkwiącego na skale...

Przy uwadze, do której centrum było zmuszone, ten dźwięk był głuchy i odległy. Mógł to być grzmot albo odgłos wystrzału. Mógł to być również dźwięk werbla, i jego usta uchwyciły się tego:

- Rata ta ta! Żołnierze nadchodzą, mój cesarz wzięty do niewoli! Rata ta ta!

Mógł to być dźwięk przesuwanych mebli w pokoju na górze, i po tej myśli usta wpadły w panikę z automatyczną, błyskawiczną reakcją owada:

- Postaw to tutaj. Zwiń ten róg dywanu, bo inaczej nie wyciągniesz stołu. Stawiamy go zaraz obok radia z adapterem? Zdejmij tę płytę i włącz coś potężnego i bohaterskiego...

Mogły to być cztery torby z mąką, które zsunęły się z żelaznej drabinki i z hukiem upadły na stalowy pokład.

- Prawo na burt! Prawo na burt!

Mogło to być drzenie miedzianej blachy za kulisami.

- Muszę mieć głów...

Drzwi piwnicy zamykające się za małym dzieckiem, które musi zejść w głąb, w głębokim śnie, aby spotkać się z tym, od czego się obrócił, gdy został stworzony.

- Ściąć mu głowę! Na pniak z nią między drewno na rozpałkę i pył węglowy!

Lecz centrum wiedziało. Zrozumiało, a zrozumieniu temu towarzyszyła taka pewność, że kwakanie ust było w stanie pomóc tyle co zwykła czkawka. Tym dźwiękiem był zgrzyt i głuche uderzenia łopaty o ogromne metalowe pudło, w którym był zakopany.

13.

- Zwariowałem - powiedziały usta - zwariowałem do reszty. Potrafię wyjaśnić wszystko: homary, larwy, twardość, jaskrawą rzeczywistość, prawa natury, kawałki filmów, wycinki wizji i dźwięku, latające jaszczurki, wrogość - jakże człowiek miałby nie zwariować? Powiem ci, czym jest człowiek. Porusza się na czterech nogach tak długo, aż Konieczność wygina do góry jego przednią część, czyniąc zeń hybrydę. Odciski palców tych rąk znajdują się wokół jego kręgosłupa i tuż nad zadem, na dowód, gdybyś chciał sprawdzić. To wybryk natury, spędzony płód, okradziony z naturalnego rozwoju, wrzucony w świat i wyposażony w pergamin jako jedyne okrycie, z niewystarczającą powierzchnią dla zębów i miękką czaszką, wypukłą jak bańka. Jednak Natura miesza tam pudding i wewnątrz twardniejącego globu rozpętuje burzę z piorunami, białą, migotliwą błyskawicą, nieustającym błyskiem i drzeniem. Wszystkie twoje homary i kawałki filmów nie są niczym innym, jak tylko efektem, powstającym przypadkowo na przecięciu wykwitających natychmiast krzaków błyskawic. Zdrowe życie twojego brzucha i kutasa toczy się po regularnym okręgu, lecz w jaki sposób mieszany pudding może być stały? Szarpany przez siłę ciężkości, zakażony białym piorunem, który dał sztych książce, bruzdy, linie wypalone przez trudy i udrękę, a ty porażony prerażeniem, chory na mózgu, ledwie dyszący na skale oblanej morzem, pudding wykypiał, a ty tylko zwariowałeś do reszty.

Wrażenia. Kawa. Wino reńskie. Dżin. Drewno. Aksamit. Nylon. Usta. Ciepła, wilgotna nagość. Jaskinie, obszerne jak rozpadlina lub ciasne jak usta czerwonego ukwiała. Mnóstwo ukłuc. Dominacja, tożsamość.

- Twój kształt to wypadkowa wszystkich płynących prądów. Poza mną nie istniejesz. Jeśli ja zwariowałem, to i ty zwariowałeś. Ty mówisz, tam, w środku; ja i ty to jedno, równie zwariowani.

Skała drgnęła i drgnęła jeszcze raz. Nagły chłód uderzył go w twarz i przepłynął pod nim.

Należało się spodziewać.

- Nathaniel!

Czarne centrum, próbujące zamieszać się samo, jak pudding.

Przekręcił się wśród wrażeń wypełniających rozpadlinę. Wszędzie była woda i zgiełk, a jego usta przyjęły chętnie jedno i drugie. Pluły i kaszlały. Wydźwignął się wśród wody wirującej wokół jego kolan, a wiatr przewrócił go na skałę. Rozpadlina była jak małe morze,

jak znane i teraz przypomniane wybryki przyływu powracającego między skały. Miejsce, które dotąd było suchym rowem, teraz do połowy wypełniała poruszająca się woda, na której bryzgi piany skręcały się w koła i splatały się jedne z drugimi. Wiatr gnał jak pociąg pośpieszny pędzący przez tunel, a zewsząd słychać było kapanie, szumy i pluski. Zaczął gramolić się z rowu, nie słysząc, co mówią jego usta, i nagle on i jego usta stali się jednym.

- Ty przeklęty tyranie!

Wystawił głowę ponad poziom ściany, a wiatr włoczył jego policzki jak lotnikowi. Smagnęło śrutem. Niebo nad starą kobietą podskoczyło. Zbiałało. W ułamek sekundy później światło zgasło, a niebo upadło na niego. Runął pod jego straszliwym naporem i zanurzył się w wypełniającej rów wodzie. Nacisk ustąpił, a on walczył. Podniósł się, a niebo znów na niego upadło. Tym razem udało mu się pochylić w rowie, ponieważ ciężar wody nie był w stanie go złamać, a morze wypełniające jego dno sięgało mu zaledwie do kolan. Świat powrócił, burzowoszary i poszarpany łopoczącymi proporcami, rozbrzmiewający swoją burzową muzyką, zgiełkiem kotłów, grzmotem orkiestry i oślepiającym błyskiem smyczków. Przebijał się bohatercko od rowu do rowu przez muzykę i wodę, w ubraniu targanym i drżącym, poszarpanym jak rękaw wskazujący kierunek wiatru, wbijając pazury w skałę. On i jego usta krzyknęli przez zgiełk:

- Ajaks! Prometeusz!

Stara kobieta patrzyła z góry, jak przedziera się przez kolejne nawroty bieli i mroku. Potem biel zabrała jej głowę ze srebrną maską, a ona przygarbiła pod niebem bezgłowe ramiona. Wpadł do białego rowu, na książkę, twarz przylgnęła do sztychu, a usta wypełnił nierozpuszczalny nawóz. Naraz przyszedł nacisk i cisza. Coś znów go uniosło i rzuciło, cisnęło o skałę. Gdy woda ustąpiła, ujrzał przez moment odcinający się od nieba zarys bocianiego gniazda, pozbawiony starej kobiety, lecz zmieniony przez rozrzucone kamienie.

- Zerwała się z uwięzi i biega samopas po wyspie. Uciekła z piwnicy i wyszła na światło dzienne. Tropić ją!

I znalazł się tam nóż, wśród innych wrażeń, przyciśnięty do żeber. Wziął go do ręki i otworzył ostrze. Zaczął się czołgać, polować i pływać od rowu do rowu. Przechylała się przez reling, lecz znikła, a on skradał się za nią do zielonego pokoju. Wynurzyła się przy rampie, a gdy przykucnęła za kulisami, dostrzegł, że jego kostium nie jest odpowiedni do roli. Jego usta i on znów stali się jednym.

- Zmień strój! Bądź nagim szaleńcem na skale w samym sercu burzy!

Pazury zacisnęły się na łachmanach i szarpnęły. Błysnął mu złoty galon i pusta pończocha, odpływające jak garść odpadków. Ujrzał jakąś nogę, pokrytą bliznami, łuszczącą się i chudą jak patyk, a muzyka zagrała jej żałobnie.

Przypomniał sobie starą kobietę i poczołgał się za nią wzdłuż Ulicy Głównej do "Czerwonego Lwa". Piana, którą pozostawiały za sobą pędzące fale, wprowadzała pożądane zamieszanie wokół trzech skał i zamieszanie to ukrywało miejsce, gdzie przedtem był czerwony homar. Krzyknął na skały, lecz stara kobieta nie chciała się wśród nich pojawić. Przemknęła się do piwnicy. Potem dostrzegł, że leży skulona w rozpadlinie, i zaczął się posuwać w jej kierunku. Upadł na nią i zaczął zadawać ciosy nożem, a jego usta wykrzykiwały:

- Ja ci dam polować na mnie! Ja ci dam polować na mnie, pędzić za mną z piwnicy, przez samochody i łóżka, i puby, cały czas za mną, a ja, przed tobą, biegnę za moim identyfikatorem przez wszystkie dni mojego życia! Wykrwaw się i giń!

Jednak on i jego głos byli jednym. Oboje wiedzieli, że ta krew to morska woda, a to zimne, uginające się ciało, cięte i rozdierane, to nic innego, jak jego sztormiak. Teraz głos przeszedł w paplaninę, zaśpiewał, zaklął, wymówił bezsensowne sylaby, zakaszał i splunął. Wypełniał każdą sekundę czasu hałasem, tak bardzo stłaczał dźwięk, że aż się dławił; ale centrum zaczynało rozumieć swoją odrębność, ponieważ dla niego dźwięk nie wypełniał każdej chwili. Usta splunęły i zaczęły mówić sensownie:

- A na koniec wszystkiego prześladować cię będą halucynacje, wizje, marzenia i urojenia. Bo czegoż innego może się spodziewać szaleniec? Zobaczysz je na solidnej skale, prawdziwej skale, skupią na sobie twoją uwagę i nie będziesz niczym więcej, tylko szaleńcem.

I natychmiast przysła halucynacja. Wiedział to, jeszcze zanim ją zobaczył, ponieważ rów wypełniła trwoga, obramowana cichą, przelatującą nad nim pianą. Halucynacja usiadła na skale na końcu rowu i nareszcie spojrział na nią przez rozmazane okno. Dojrzał pozostałą część rowu i przeczołgał się przez wodę, która była ponuro nieruchoma, jeśli nie uderzał w nią podmuch wiatru długim szarpnięciem i drzeniem pianistych szumowin. Gdy był już blisko, uniósł oczy w górę, od butów, przez kolana, na twarz, i zabrał się do ust:

- Jesteś projekcją mojego umysłu. Jesteś jednak dla mnie punktem, na którym mogę skupić uwagę. Zostań, gdzie jesteś.

Usta ledwie ruszyły się w odpowiedzi.

- Jesteś obrazem rzutowanym z mojego umysłu.

Wydał z siebie coś na kształt prychnięcia.

- Nieskończony regres, albo lepiej: wokół morwy tańczmy kołem¹⁴. Moglibyśmy tak krążyć i nigdy nie przestać.

- Masz już dość, Christopher?

Spojrzał na wargi. Były tak jasne, jak te słowa. W prawym kąciку spajała je drobinka śliny.

- Przenigdy nie wymyśliłbym czegoś takiego.

Oko położone najbliżej bocianiego gniazda było przekrwione w zewnętrznym kąciку. Za nim, lub obok niego, biegł czerwony pasek słońca i ginął za skałą. Piana wciąż przelatowała górą. Można było patrzeć na zachód słońca albo na oko, lecz nie na jedno i drugie. Nie można było patrzeć jednocześnie na oko i na usta. Zobaczył, że nos jest lśniący i brązowy jak skóra i pełen porów. Lewemu policzkowi przydałoby się wkrótce golenie, gdyż widział pojedyncze włosy. Nie mógł jednak objąć wzrokiem całej twarzy. To była twarz, którą być może uda mu się przypomnieć sobie później. Nieruchoma. Jej cechą było po prostu to, że nie wyrażała zgody na całościowy ogląd. Tylko fragment po fragmencie.

- Dość czego?

- Walki o życie. O przetrwanie.

Równie trudno było powiedzieć, w co był ubrany, więc musiał badać po kolei każdą część stroju. Był tam sztormiak - ściągnięty pasem, ponieważ guziki poodpadały. Wewnątrz wełniany pulower, z golfem. Ziudwestka była lekko zsunięta w tył. Ręce leżały na kolanach, tuż nad pończochami. A potem buty, dobre i lśniące, wilgotne i solidne. Na ich tle skała wyglądała jak kawałek brystolu, jak dekoracja. Zginał się i pochylał, aż jego zażawione okno znalazło się tuż nad podbiciem prawej stopy. W tle nie było żadnej muzyki i żadnego wiatru - nic oprócz czarnej, lśniącej gumy.

- Nie zastanawiałem się nad tym.

- Zastanów się teraz.

- Co mi z tego przyjdzie? Przecież postradałem zmysły.

- Nawet ta rozpadlina się rozsypie.

¹⁴ Martin miesza tu dwa tradycyjne teksty, wierszyk

Here we go round the mulberry bush

On a cold and frosty morning [...]

[Wokół morwy tańczymy kołem

W mroźny, rzeński ranek]

oraz drugi:

Round and round the ragged rock

The ragged rascal ran.

[Wokół poszarpanej skały

Obszarpany łajdak gnał.]

Próbował się zaśmiać w kierunku tego przekrwionego oka, lecz usłyszał tylko szczekliwe dźwięki. Prosto w tę twarz cisnął słowa:

- Szóstego dnia stworzył Boga. Przeto zezwalam ci na używanie jedynie mojego słownika. Na swoje podobieństwo stworzył Go.

- Zastanów się teraz.

Ujrzał, że oko i zachód słońca zlewają się w jedno.

- Nie zrobię tego. Nie mogę.

- W co ty wierzysz?

Coraz niżej, do czarnego gumiaka, czarnego jak węgiel, mrok piwnicy, lecz teraz do wymuszonej odpowiedzi:

- W nic mego życia.

- Za wszelką cenę.

Powtórz za mną:

- Za wszelką cenę.

- A więc przeżyłeś.

- To był przypadek.

- Rzecz nieunikniona.

- A czyż inni też nie chcieli żyć?

- Są różne stopnie chcenia.

Opuścił zasłony ciała i włosów i zmazał buty. Warknął:

- Mam prawo żyć, jeśli tylko mogę.

- Gdzie tak jest napisane?

- W takim razie nic nie jest napisane.

- Zastanów się.

Krzyknął wściekle na tekturową skałę przed nieporuszonymi, czarnymi stopami:

- Nie zastanowię się! Stworzyłem ciebie i mogę stworzyć swoje własne niebo.

- Stworzyłeś je.

Przebiegł spojrzeniem drgającą wodę, wzdłuż wychudzonych nóg i kolan, poczuł deszcz i pianę, i dzięki zimno kładące się na jego ciele.

Zaczął mamrotać:

- Wolę to. Dałeś mi możliwość wyboru i przez całe moje życie prowadziłeś mnie starannie ku temu cierpieniu, ponieważ ten wybór był moim wyborem. Och tak! Pojmuję ten wzór. Bez względu na to, co bym robił w całym swoim życiu, i tak znalazłbym się w końcu na tym samym pomoście, w tym samym czasie, i wydałbym ten sam rozkaz - słuszny rozkaz,

zły rozkaz. Jeśli jednak tak jest, jeśli wspinałem się, coraz wyżej, coraz dalej od piwnicy, po trupach wykorzystanych i pokonanych ludzi, jeśli niszczyłem ich, by stworzyć stopnie pozwalające odejść od ciebie, to dlaczego mnie dręczysz? Jeśli ich zjadałem, to kto dał mi usta?

- W twoim słowniku nie ma takiego słowa.

Przykucnął znowu i spojrział z wściekłością na twarz. Krzyknął:

- Zastanowiłem się! Wolę tak, jak jest, ból i całą resztę!

- Od czego?

Wpadł w bezsilną pasję i zaczął bić te buty.

- Od czarnej błyskawicy! Wracaj, skąd przyszedłeś! Wracaj!

Kaleczył skórę rąk o zalaną wodą skałę. Jego usta kwakały i wraz z nimi wszedł do ostatniej z rozpadlin.

- Biedny, szalony marynarz na skale!

Potoczył się niezdarnie Ulicą Główną.

Szalejcie, ryczcie, chluszczcie!

Niech rozpęta się wiatr, deszcz, grad, plamy krwi,

Burze i tornada...

Biegał po bocianim gnieździe, potykając się o porozrzucone kamienie.

*...huragany i tajfuny...*¹⁵

Półświatło, światło burzowe. Światło było poukładane w linie, a morze w grzbiety i doliny. Potworne fale przebijały się ze wschodu na zachód w nie kończącej się procesji, a skała była dla nich igraszką. Ona jednak pruła przed siebie, wypalając w nich biały szlak, drwiąc z zatopienia, wyrzucała przed siebie Skałę Ocalenia, rozbijając nią grzbiety jak dziobem okrętu. Cios trafiał w taki grzbiet jak kamienny dziób, roztrzaskując go w tuman

¹⁵ Zniekształcony cytat z *Króla Leara* (akt III, scena 2)
Dmijcie wichry, niech pękają wam wzdęte policzki!
Sza! Pęd! Wodospady, huragany chluszczcie,
Zalejcie nasze wieże, topcie blaszane kurki.
A wy, ognie siarczone, mordercy naszych myśli,
Heroldy groźnych grzmotów, co dęby druzgoczą,
Osmalcie włos mój biały! Piorunie, co świat wstrząsasz,
Splaszcz tego globu napuszoną krągłą [...]

dymu, który przelewał się przez dziobówkę, uderzając tuż pod pomostem bojowym. Wtedy grad pocisków przetaczał się przez pomost, pozbawiając jego ciało przytomności i oddechu. Rzucił się na kwadratowy kamień, leżący tam, gdzie przedtem stała stara kobieta z zamaskowaną głową. Dosiadł go okrakiem, zwrócony twarzą do wiatru i fal. I znów w tle pojawiła się muzyka i trajkoczące usta:

- Szybciej! Szybciej!

Skała przedzierała się naprzód. Dźgnął ją piętami, jakby nosił ostrogi.

- Szybciej!

Każda z fal była sama w sobie wydarzeniem. Nadpływała, kłębiąc się i kiwając, a burzowe światło pędziło i migotało na jej grzbiecie jak iskierka mrugająca w mózgu. Za skałą ocalenia pojawiała się również płycizna, przez co bliższa część fali unosiła się splątana i wściekła, rycząc, prac naprzód. Skała Ocalenia stawała się plamką w wodnym odmęcie, który wirując, przekształcał się w pianę i żuł jak usta. Cały grzbiet fali, na przestrzeni stu jardów, leciał naprzód i wpadał w akry spienionego harmidru, rzuconego do ataku na skałę jak armia.

- Szybciej!

Jego ręka wymacała identyfikator i wyciągnęła go przed siebie.

Usta wykrzyknęły z głębi centrum:

- Pluję na twoje współczucie!

Gdzieś w oddali, za falami i chmurami, rozległ się znajomy dźwięk. Nie był tak głośny jak huczenie morza, muzyka czy głos, lecz centrum zrozumiało. Oderwało ciało od skalnej płyty i wtoczyło je do rowu. Gdy się wtaczało, oko dostrzegło przecinającą niebo na zachodzie czarną wic błyskawicy i centrum skurczyło klapki z ciała i włosów. Znów rozległ się dźwięk łopaty uderzającej o metalowe pudło.

- Prawo na burt! Zabiję nas oboje, uderzę w tamto drzewo z tej strony i roztrzaskasz się ze szczętem i szlag cię trafi. Nic nie było napisane.

Centrum wiedziało, co należy zrobić. Było mądrzejsze niż usta. Kazało wgramolić się ciała na skałę, do zbiornika z wodą. Zagrzebało się w szlamie i skręcających się spiralnie szumowinach. Wysunęło ręce naprzód, szarpnęło wodę i legło płasko w zbiorniku. Trzepotało jak foka na skale, a strumień słodkiej wody wylewał się z jego ust. Dotarło do zatkanego wylotu po tamtej stronie i wypchnęło kamienie. Rozległ się zgrzyt, grzechot kamieni i popłynęła kaskada kamieni i wody. Szeroka przestrzeń burzowego światła, fale. W oślizgłym zagłębieniu, gdzie niedawno była słodka woda, leżało jakieś ciało.

- Szalony! Dowód szaleństwa!

Kazało wijącemu się ciału wyczołgać się stamtąd i posłało je na miejsce, gdzie przedtem było Bocianie Gniazdo.

Odnogi czarnej błyskawicy pokrywały niebo, rozbrzmiewały dźwięki. Jedna z odnóg pomknęła do morza, przez wielkie fale, znikła. I tam została. Morze przestało się poruszać, skamieniało, zmieniło się w papier, pomalowany papier rozdarty czarną linią. Skała była namalowana na tym samym papierze. Całe namalowane morze przechylało się, lecz nic nie spływało do czarnego pęknięcia, które się w nim pojawiło. Pęknięcie było zupełne, absolutne, po trzykroć prawdziwe.

Centrum nie wiedziało, czy rzuciło ciało w dół, czy też odwróciło cały świat. Tuż przed jego twarzą była skała; uderzył w nią szczypcami homara, które zagłębiły się w niej. Centrum patrzyło na skałę między szczypcami.

Absolutna błyskawica rozlała się szeroko. Teraz nie było już odgłosów, ponieważ odgłosy stały się nieistotne. Z przechylnego, znieruchomiłego morza nie dochodziła żadna muzyka, żaden dźwięk.

Usta kwakały jeszcze przez chwilę, a potem zaśliniły się i zamilkły.

Nie było ust.

Centrum wciąż nie ustępowało. Pozwoliło błyskawicy zrobić swoje, wedle praw rządzących w tym niebie. Dostrzegło jakimś sposobem widzenia bez pomocy oczu, że kawałki nieba pomiędzy odnogami czarnej błyskawicy zostały zastąpione dziurami nicości. To sprawiło, że cały lęk dręczący centrum, cały jego gniew rzygnęły, nie potrzebując ust. Centrum wrzasnęło w dziurę nicości bezgłośnie, bezsłownie:

- Sram na twoje niebo!

Linie i wici obmacały palcami morze. Segment burzy odpadł jak zeschnięty liść i zrobiła się luka, która połączyła przez horyzont morze i niebo. Teraz błyskawica znalazła gady unoszące się na morzu i szybujące bez ruchu i w kierunku każdego z nich pomknęła wić. Gady stawiały opór, zmieniając nieco kształt, a potem także one wypadły i znikły. Skałę Ocalenia przecięła dolina nicości.

Centrum skupiło się na skale między szczypcami. Ta skała była twardsza od skały, jaśniejsza, bardziej zbita. Raniła ząbkowania trzymających ją mocno szczypców.

Morze wygięło się i znikło. Nie było widać wycofujących się fragmentów, jedne wchłonęły drugie, wysuszone, zniszczone, wymazane jak błąd.

Linie absolutnej czerni obmacały palcami skałę, a ona okazała się w równym stopniu pozbawiona wszelkiej treści, co wymalowana woda. Poleciały kawałki i dokoła szczypiec nie

było nic, prócz wyspy papierowej substancji, a centrum wiedziało, że wszystko, co je otacza, jest nicością.

Skąła między szczypcami była solidna. Była kwadratowa i na jej powierzchni widniały jakieś napisy. Czarne linie wpadły w głąb, przeszły na drugą stronę i połączyły się.

Skąła między szczypcami znikła.

Nie zostało już nic, tylko centrum i szczypcy. Były ogromne, silne i rozpalone do czerwoności. Zamknęły się jedne na drugich. Skurczyły się. Rysowały się jak świetlny znak na tle absolutnej nicości i całą swoją siłę wkładały w ten kurczowy uchwyt. Ząbkowania szczypiec pękły. Były migotliwe, prawdziwe i zamknięte.

Błyskawica wczołgała się do środka. Centrum nie zdawało sobie sprawy z niczego poza szczypcami i zagrożeniem. Skupiło całą swoją świadomość na pokruszonych ząbkowaniach i jaskrawo błyszczącej czerwieni. Błyskawica zbliżyła się. Część jej grotów mierzyła w centrum, czekając na chwilę, kiedy będą mogły je przeszyć. Inne ustawiły się naprzeciwko szczypiec, igrając nad nimi, wężąc w poszukiwaniu jakiejś słabości, dręcząc je ze współczuciem, beczasowym i bezlitosnym.

14.

Nabrzeże - jeżeli można użyć takiego słowa w odniesieniu do długiej sterty otoczków - niemal całkowicie pokrywały fale przyływu. Podpłynął do niego dryfter¹⁶, zastopowawszy silnik - ostatni odcinek drogi wśród ponagleń zachodniego wiatru. Za nim lśnił zimowy zachód słońca, przez co dla osoby patrzącej z plaży zaczynał niebawem wyglądać jak czarny kształt, z którego zeszyły wszystkie kolory i który zmieszano z niskimi, wiszącymi nad horyzontem chmurami. Woda miała ołowiany odcień, z wyjątkiem drogi, którą przepłynął dryfter - jaśniejsza dolina czerwieni, różowości i czerni, biegnąca z powrotem do oślepiającego horyzontu pod słońcem.

Obserwator na plaży ani drgnął. Stał, stopami tkwiąc w głębokich bruzdach wrytych przez jego buty w suchym piasku, i czekał.

Na rufie dryftera zadzwonił telegraf i statek zatrzymał się z gwałtownym wirem jaśniejszej wody wzburzonej przez śruby. Odbijacz zazgrzytał o kamień. Dwóch mężczyzn wyskoczyło na nabrzeże w poszukiwaniu pachołków, których tam nie było. Ze sterówki wychyliło się gestykujące ramię. Mężczyźni zahaczyli liny o otoczaki i tak znieruchomieli.

Na nabrzeże wyszedł jakiś oficer, skierował się szybkim krokiem w stronę plaży i zeskoczył na suchy piach. Wiatr szarpnął trzymane przezeń papiery, które zaszeleściły jak liście pokryte kurzem kończącego się lata. Lecz w tym miejscu poza nimi nie było żadnych liści. Jedynie piasek, domek, skały i morze. Oficer brnął przez suchy piasek, szeleszcząc papierami, i zatrzymał się o jard przed obserwatorem.

- Pan Campbell?

- Jo. Pan pewnie przyłynął w sprawie...?

- Zgadza się.

Pan Campbell zdjął czapkę i ponownie nasunął ją na głowę.

- Trochę kazał pan na siebie czekać.

Oficer spojrział nań poważnie.

- Nazywam się Davidson, tak przy okazji. Kazałem na siebie czekać, tak? Czy pan wie, panie Campbell, że wykonuję tę pracę siedem dni w tygodniu?

¹⁶ Mały statek rybacki do połowów sieciami dryfującymi (przyp. red.).

Pan Campbell poruszył raptownie butami. Spojrzał głęboko w szarą i pobrużdżoną twarz Davidsona. Z jego ust dochodziła lekko słodka woń, a oczy, patrzące bez mrugnięcia, były osadzone troszkę za szeroko.

Pan Campbell zdjął czapkę i ponownie ją nałożył.

- Ach tak. Coś takiego.

Dolna część twarzy Davidsona zmieniła wyraz, który przerodził się w ponury grymas.

- Wie pan, ta wojna raczej się rozprzestrzeniła.

Pan Campbell pokiwał powoli głową.

- Przepraszam za to, co powiedziałem. Smutne żniwo dla pana, kapitanie. Nie wiem, jak pan to znosi.

Grymas znikł.

- Nie zamieniłbym się.

Pan Campbell potrząsnął głową i spojrzał na Davidsona.

- Nie? Proszę o wybaczenie, sir. Chodźmy, pokażę panu, gdzie je znaleźliśmy. - Odwrócił się i ruszył z trudem przez piasek. Zatrzymał się i wskazał miejsce, gdzie wodne ramię zamykał kamienisty cypel. - Tam było, wciąż w pasie ratunkowym. Rzecz jasna sam pan zobaczy. Była tam rozbita skrzynka i puszka. I wodorosty. Przy północno-zachodnim wietrze zawsze się tam zatrzymują - jak wszystko, co unosi się na wodzie.

Davidson spojrzał nań z ukosa.

- Może to wszystko wydaje się panu ważne, panie Campbell, ale mnie chodzi o identyfikator. Czy zdjął go pan z ciała?

- Nie. Nie. Staralem się, o ile to możliwe, niczego nie dotykać.

- Brązowy krążek mniej więcej rozmiarów jednopensówki, prawdopodobnie noszony na szyi.

- Nie, niczego nie dotykałem.

Na twarz Davidsona znów powrócił grymas.

- Czyli że zawsze jest jakaś nadzieja.

Pan Campbell złożył ręce, zatarł je niespokojnie i odchrząknął.

- Zabierzecie je dziś wieczór?

Teraz Davidson spojrzał mu w twarz.

- Sny?

Pan Campbell spojrzał na wodę.

- Żona... - Zerknął w zbyt szeroko osadzone oczy, na twarz, która zdawała się wiedzieć więcej, niż mogła znieść. Tym razem nie uciekł wzrokiem, lecz skulił się nieco i odrzekł z nagłą pokorą: - Jo.

Davidson skinął głową, niespiesznie.

Na plaży przed domkiem stali dwaj marynarze. Trzymali nosze.

Pan Campbell wskazał palcem.

- Jest w przybudówce przy domku, sir. Zrobiliśmy wszystko, by zmniejszyć niemiłe wrażenia. Użyliśmy parafiny.

- Dziękuję.

Davidson ruszył z wysiłkiem przez plażę, a pan Campbell podążył za nim. Niebawem stanęli. Davidson obrócił się i spuścił wzrok.

- No cóż...

Wsunął rękę do kieszeni na piersi i wyciągnął płaską butelkę. Spojrzał panu Campbellowi w oczy, wykrzywił dolną część twarzy, odkorkował i pociągnął łyk, odrzuciwszy do tyłu głowę. Marynarze patrzyli nań bez słowa.

- Więc do dzieła.

Davidson wyjął latarkę z kieszeni w spodniach i ruszył w stronę przybudówki. Dał nurka w zepsute drzwi i zniknął.

Marynarze stali bez poruszenia. Pan Campbell czekał w milczeniu i przyglądał się przybudówce, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Obrzucił wzrokiem omszałe kamienie, zapadnięty i liszajowaty dach, jak gdyby przemawiały one jakimś głębokim i naturalnym językiem, który ludzie mają zaszczyt rozumieć jedynie w wyjątkowej sytuacji.

Z wnętrza nie dochodził żaden odgłos.

Nawet na pokładzie dryftera nie toczono żadnych rozmów. Ciszę przerywał jedynie dźwięk wody przelewającej się po małej plaży.

Ciiicho.

Słońce było półkolem w łożu szkarłatu i szarego błękitu.

Davidson wyszedł. Niósł, zwisający z podwójnego sznurka, niewielki krążek. Jego dłoń powędrowała do kieszeni na piersi. Skinął głową w kierunku marynarzy.

- Do roboty.

Pan Campbell obserwował, jak Davidson grzebie wśród papierów. Przyjrzał się krążkowi, przysunąwszy go do oczu, a potem przepisał starannie wszystkie dane na kartkę. Następnie odłożył krążek, przykucnął i wytarł ręce w suchy piasek. Pan Campbell rozłożył ramiona w geście bezradności i opuścił je.

- Nie wiem, sir. Jestem starszy od pana, lecz po prostu nie wiem.

Davidson nie odezwał się ani słowem. Wstał i wyjął butelkę.

- Nie potraficie tu przewidywać przyszłości?

Pan Campbell spojrział na przybudówkę z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

- Proszę sobie nie żartować, sir. Nie godzi się mówić takich rzeczy.

Davidson oderwał butelkę od ust. Obydwie twarze zbliżyły się do siebie. Campbell studiował linie na tamtym obliczu tak samo, jak przyglądał się przybudówce. Znow uciekł wzrokiem i pobiegł spojrzeniem w kierunku miejsca, gdzie słońce kryło się za horyzontem - najwyraźniej na zawsze.

Marynarze wyszli z przybudówki. Nieśli nosze, które już nie były puste.

- W porządku, chłopaki. Dla każdego mam po szczeniaczku. No dalej.

Obydwaj marynarze ruszyli ostrożnie przez plażę w kierunku nabrzeża. Davidson zwrócił się do pana Campbella.

- Muszę panu podziękować, panie Campbell, w imieniu tego biednego oficera.

Pan Campbell oderwał wzrok od noszy.

- Te pasy ratunkowe są strasznie zdradliwe. Budzą w człowieku nadzieję, kiedy już właściwie nie ma żadnych szans. Są okrutne. Nie musi mi pan dziękować, panie Davidson.

Spojrzał na Davidsona w zapadającym zmierzchu, uważnie, prosto w oczy. Davidson skinął głową.

- Być może. Lecz ja panu dziękuję.

- Nic nie zrobiłem.

Obydwaj odwrócili się, obserwując marynarzy z noszami, zmierzających w stronę nabrzeża.

- A pan robi to codziennie.

- Codziennie.

- Panie Davidson... - Pan Campbell urwał, a Davidson odwrócił się i spojrział na niego. Pan Campbell nie od razu spojrział mu w oczy. - ...oto odwieczne spotkanie dwóch ludzkich istot. Zetknęliśmy się tutaj, najwyraźniej przez przypadek; coś, czego nie da się przewidzieć i co nigdy już się nie powtórzy. Przeto chciałbym zadać panu pewne pytanie, spodziewając się brutalnej odpowiedzi.

Davidson zsunął czapkę na tył głowy i zmarszczył brwi.

Pan Campbell patrzył na przybudówkę.

- Popękane, zbezczeszczone. Obracają się w proch, przegniłe krokwie, zapadnięty dach - ruina. Czy uwierzyłby pan, że ktoś kiedykolwiek tam żył?

Teraz wśród zmarszczek pojawiło się zadziwienie.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Ci wszyscy biedni ludzie...

- Ludzie, których ja...

- To żniwo. Smutne żniwo. Pan nie wie nic o moich... jak by to rzec... oficjalnych poglądach, panie Davidson; lecz żyjąc przez te wszystkie dni nie opodał tego biednego rozsypującego się... Panie Davidson, czy sądzi pan, że ktoś... przeżył? Czy to wszystko? Tak jak ta przybudówka?

- Jeżeli martwi się pan o Martina... to znaczy, czy cierpiał, czy nie...

Urwali na chwilę. Za dryfterem słońce tonęło jak płonący statek, poszło na dno, zostawiając po sobie chmurę jak dym.

Pan Campbell westchnął.

- Jo - powiedział. - Właśnie o to mi chodzi.

- Więc niech pan się o niego nie martwi. Widział pan ciało. On nawet nie zdążył zrzucić gumiaków.